

Tysiąc i jeden światów

Bohdan Petecki



calibre 0.9.43

BOHDAN PETECKI

TYSIĄC I JEDEN ŚWIATÓW

1983

ŚWIECIE, ŚWIECIE!

— Świecie, świecie!

Świat zamrugał, zdziwiony.

Czy świat może mrugać? Niektórzy uczeni fizycy utrzymują, że tak, chociaż określenie „mrugać” zastąpili słowem długim i trudnym do zapamiętania, a zrozumiałym jedynie dla nich samych. Teraz jednak świat zamrugał w sposób zgoła nienaukowy. Za otwartym oknem pokoju na dziewiątym piętrze przepuścił parkę ścigających się wróble. Nagły przelot dwóch roztrzepotanych cieni i znowu zupełny spokój. Wyglądało to właśnie tak, jakby błękitne czerwcowe niebo zamrugało ze zdziwienia.

— O, świecie, świecie! — rozległo się znowu.

Żartobliwe zawołanie ojca, które Bolek po raz pierwszy powtórzył w jedenastym miesiącu życia (powiedział wtedy powoli i wyraźnie: „fsfiesie, fsfiesie, ouu...”), a które odtąd służyło mu do wyrażenia wszystkich bez wyjątku uczuć, dziś zabrzmiało nie tylko poważnie, lecz zgoła tragicznie.

Nie, nie. W chwili gdy zaczynamy naszą opowieść, jej bohater nie stoi w obliczu żadnej p r a w d z i w e j tragedii. Natomiast faktem jest, że ma prawo żywić głębszą urazę do świata. Pomimo że ten świat, upalny, pogodny i piękny jak rzadko kiedy, zdaje się tak wiele obiecywać. Pomimo — a może raczej właśnie dlatego?

Bo zważcie sami. Jest dwudziesty pierwszy czerwiec, drugi dzień wakacji. Zgodnie z dawno ułożonym planem pojutrze, dwudziestego trzeciego, Bolek wraz z rodzicami i babcią miał wyruszyć w podróż, jakiej mógłby mu pozazdrościć nie tylko każdy z jego rówieśników — czternastolatków, lecz także ogromna większość dorosłych mieszkańców kuli ziemskiej. Podróż z bajki. Podróż marzenie.

W przedpokoju piętrzy się już stos pakunków, plecaków i brezentowych worków — mieszczących wszystko, co powinni zabrać ze sobą ludzie zamierzający spędzić wakacje na bezludnej wyspie. Obok pękatych tobołków leżą: zgrabnie zwinięty wielki namiot, dwie turystyczne butle z gazem i sprzęt do nurkowania. A na dole, przed domem, czeka czerwony fiacik z rozłożystym bagażnikiem, przystosowanym do dźwigania dużej gumowej łodzi. Tym fiacikiem rodzina Milejów — to jest babcia Emilia zwana Miłą (Miła Milej — prawda, że takie połączenie imienia i nazwiska byłoby nader stosowne dla każdej babci?), mama Alicja, pan domu i szef wyprawy Henryk oraz nasz bohater — chciała pojutrze wyruszyć w drogę, by przez Czechosłowację, Węgry i Jugosławię dotrzeć w Grecji do portowego miasta Saloniki. Tam miała spotkać się z przyjacielem Henryka Mileja, doktorem Andreasem Uranisem, aby następnie razem z nim, z jego żoną Pinelopi oraz dwojgiem dzieci, Eleną i Pelosem, popłynąć na jedną z setek przepięknych malutkich wysepek, rozrzuconych po słynnym Morzu Egejskim.

Oczywiście nie każdemu wolno bawić się w robinsonów na bezludnych wysepkach należących do Grecji. Ale doktor Andreas Uranis był wicedyrektorem Instytutu Archeologicznego w Atenach i brał udział w wielu wyprawach, których uczestnicy badali dno Morza Egejskiego, wyławiając z niego skarby starożytnej sztuki oraz przedmioty należące do żeglarzy czy kupców przemierzających te wody przed tysiącami lat. Dlatego władze państwowe pozwoliły mu założyć wakacyjny obóz na wysepce, którą sobie upatrzył i ochrzcił imieniem muzy historii, Klio. Bo wyspa była tak malutka, że na morskich mapach figurowała jedynie jako czarna kropczka bez nazwy.

Doktor Uranis zaproponował ojcu Bolka, by wraz z całą rodziną spędził z nim tegoroczny urlop na Klio. Obaj panowie poznali się i zaprzyjaźnili w Atenach, gdzie Henryk Milej, dziennikarz, przebywał trzy lata jako korespondent popularnej gazety.

Kiedy przyszedł list (gdzieś pod koniec mroźnego lutego) mama Bolka pokręciła z

powątpiewaniem głową.

— Na wyspę? Bezludną? My wszyscy? — spojrzała pytająco w stronę babci.

— A niby czemu nie?! — zaperzyła się ta ostatnia. — Pewnie myślicie, że jestem już stara i do niczego się nie nadaję! Akurat! Właśnie że chcę jechać na wyspę. Będę mieszkać wśród kwiatów jak prawdziwa nimfa, będę się pluskać w wodzie i palić ognisko. Może wreszcie trochę się ogrzeję... Brrr! — babcia demonstracyjnie zaszczekała zębami. W pokoju było rzeczywiście chłodno.

— No właśnie! — podchwycił ochoczo Bolek. — Czemu by nie?!

— Czemu by nie... — powtórzył niepewnie ojciec patrząc pojednawczo na mamę.

Po tygodniu burzliwych dyskusji pan domu wysłał do swojego przyjaciela z pięknej Grecji długi i serdeczny list, w którym podziękował za zaproszenie, informując zarazem, jak zwykli mówić dyplomaci, że zaproszenie zostało przyjęte z zadowoleniem.

Dyskusje w domu państwa Milejów toczyły się oczywiście nadal, ale już wokół kwestii czysto praktycznych. Mama przestała zerkać w stronę babci i Bolka, bo przecież nie było powodów do obaw. W końcu któż, jeśli nie czternastoletni harcerz i zapalony turysta, jest powołany do biwakowania na bezludnej wyspie? A babcia Miła, energiczna, ruchliwa, o zawsze uśmiechniętych niebieskich oczach i mlecznobiałych włosach, stanowiła jaskrawe przeciwieństwo osoby, którą można by nazwać staruszką. Nie mówiono zatem więcej o niebezpieczeństwach zamierzonej podróży. Zaczęto się natomiast spierać o wybór trasy, miejsca noclegów, a przede wszystkim o sprzęt i zapasy, jakie należy zabrać z sobą. Po pierwszej przymiarce powstał spis bagaży, których przewiezienie wymagałoby wynajęcia całego pociągu towarowego lub kolumny największych ciężarówek. Przyszło więc skreślać z listy jedną pozycję po drugiej — i to właśnie okazało się najtrudniejsze. Mama Bolka, która była lekarzem, nie chciała nawet słyszeć o uszczupleniu zasobów przeróżnych proszków, ampułek, tabletek,

plastrów i bandaży, jakimi wypchała spory toból, darząc go mianem „podręcznej apteczki”. Na próżno ojciec argumentował, że nie wybierają się przecież na wojnę i nie będą toczyć krwawych bitew z piratami, a na Klio darmo byłoby szukać jadowitych skorpionów, krokodyli, złośliwych nosorożców lub innych drapieżników.

— Odpowiadam za wasze zdrowie — powtarzała nieustępliwie mama — i nikt nie będzie mi dyktował, czego nie mam mieć ze sobą.

Sam ojciec natomiast uważał, że zabranie maszyny do pisania nie jest żadnym kaprysem, a wręcz obowiązkiem względem czytelników jego gazety, których z pewnością zainteresowałyby reportaże z wysp greckich i kronika niezwykłych wakacji spędzonych na Morzu Egejskim.

— Weźmiesz mały notesik i będziesz w nim zapisywał najważniejsze fakty — orzekła babcia.

— Resztę zapamiętasz. Jako chłopiec miałeś chwalebny zwyczaj zabieranie z sobą na wakacje zeszytów i podręczników, nie zdarzyło się jednak, żebyś choć raz przed końcem lata zajrzał do któregoś z nich. Z biegiem czasu nie stałeś się wcale mądrzejszy, co, jako twoja matka, stwierdzam z pewnym ubolewaniem.

— Mogłaby mama nie mówić takich rzeczy przy dziecku — bąknął z niesmakiem ojciec. —

Poza tym moja walizkowa maszyna nie zajmie nawet jednej setnej części miejsca, jakie zdaniem mamy powinniśmy zarezerwować dla tej monstualnej piramidy konserw, kaszek, makaronów, ziemniaków, sucharów, marynat, dżemów i licho wie czego jeszcze...

— Ale maszyna jest niejadalna — ucięła babcia, której miała podlegać wyspiarska kuchnia.

— Ciekawa jestem, co powiesz, kiedy po całym dniu pływania i nurkowania dam ci na kolację naleśniki z papieru, przełożone kalką.

Bolek przyznawał w duchu rację kolejno mamie, ojcu i babci, ale nic nie mówił. Postanowił, że włączy się do dyskusji tylko w wypadku, gdyby ktoś chciał skreślić z listy choćby jeden drobiazg należący do wyposażenia łodzi i sprzętu do nurkowania bądź któryś z tak absolutnie

niezbędnych każdemu robinsonowi przedmiotów, jak: saperka, toporek, torebka gwoździ, zapas sznurka i drutu, nóż myśliwski, szkło powiększające, słój kleju i jeszcze kilkanaście innych drobiazgów.

W końcu jednak drogą wzajemnych ustępstw osiągnięto porozumienie i zaczęły się właściwe przygotowania. A teraz i one zostały zakończone. Samochód, już częściowo załadowany, czekał na parkingu pod domem, a reszta spakowanych bagaży w przedpokoju. I właśnie wtedy los wypłatał rodzinie Milejów paskudnego psikusa. Wypłatał go właściwie babci, ale skrupiło się na wszystkich. Bo babcia, ciesząca się na ogół dobrym zdrowiem, ni stąd, ni zowąd w upalne, słoneczne dni pogodnego czerwca zapadła na gripę. Wezwany przez mamę kolega lekarz zapisał antybiotyki stwierdzając równocześnie z głupkowatym, jak osądził Bolek, uśmiechkiem, że przez najbliższy tydzień o żadnym wyjeździe nie ma mowy. A co dopiero o włączędze przez kilka krajów i prymitywnym koczowaniu na bezludnej wyspie.

I jak tu się dziwić, że Bolkowe „świecie, świecie!” brzmi dziś tak żałośnie.

Babcia zaproponowała, aby rodzice wraz z Bolkiem jechali sobie jakby nigdy nic, dodając, że wyzdrowieje o wiele prędzej, jeśli nie będzie mieć wokół siebie rodziny. Był to jednak nietrudny do zdemaskowania zabieg dyplomatyczny: babcia nie chciała psuć pozostałym domownikom wymarzonych wakacji. Ale przecież było zupełnie jasne, że domownicy nigdy nie zgodziliby się zostawić jej samej. Tak czy owak, fakt pozostawał faktem i podróż do Grecji oraz nadzieje na cudowne wyspiarskie przygody rozpierzchły się w tak zwanej sianej mgle.

Teraz Bolek rozejrzał się po pokoju. Na stole pod ścianą leżały już złożone mapy Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii i Grecji oraz karteczki z krótkimi opisami miejscowości, które zasługiwały, aby się w nich po drodze zatrzymać. Chłopiec smętnie pokiwał głową i wyszedł na balkon.

Upał wzmógł się jeszcze. Dziewięć pięter niżej przedszkolaki wraz z wychowawczynią ukryły

się w cieniu. Osiedle, w którym mieszkali państwo Milejowie, leżało na skraju śródmieścia i graniczyło z wielkim parkiem leśnym. Zaraz za ostatnimi domami błyszcząły w słońcu tafle czterech jezior, wokół których popołudniami gromadziły się tłumy spragnionych ochłody mieszczuchów. Dalej ciągnął się szeroki pas niezbyt wysokiego lasu. Dopiero z mgielki na samej linii horyzontu wyrastały maleńkie z tej odległości bloki innych osiedli oraz fabryczne kominy. Bolek westchnął.

— Co tak wzdychasz? — zabrzmiał tuż obok niego pogardliwy głos. — Brzuch cię boli?

Siedzisz w mieście? Ja jadę dzisiaj nad morze. A właściwie lecę. Samolotem.

Na bliźniaczym balkonie stał wysoki, silnie zbudowany chłopiec z krótko przystryżoną rudą czupryną. Był to August Karp, najmniej sympatyczny ze szkolnych kolegów Bolka, a zarazem jego sąsiad z tego samego piętra. August zawdzięczał swe rzymskie imię ojcu, Tytusowi.

Legenda rodzinna państwa Karpów głosiła, że Tytus Karp pragnąc, aby jego syn stał się osobistością bardziej wybitną niż on sam, nazwał go Augustem, motywując to tym, że August był większym cesarzem aniżeli Tytus. Na razie jednak August Karp był wielki tylko w jednym sensie tego słowa: liczył metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Poza tym stopnie miał gorsze od Bolka, za to zdecydowanie dalej skakał, szybciej biegał, lepiej jeździł na rowerze, a także zdradzał skłonności do nadużywania swoich iście bokserskich pięści.

— Nic mnie nie boli. Siedzę w mieście, bo babcia się rozchorowała — mruknął niechętnie

Bolek. — Ma grypę...

— No tak, jeśli się jeździ na wakacje z mamusią i babcią! — August zaśmiał się szyderczo. —

Ja już jutro wypłynę sobie daleko w morze. Potem pobiegam po plaży, pokopię piłę... będę tam miał bardzo fajną paczkę. A do mojej babci napiszę kartkę i poradzę jej, żeby nie jadła lodów, bo się przeziębi.

Bolek przestał słuchać. Zacisnął zęby, machnął z wściekłością ręką i błyskawicznie wycofał

się do pokoju. Nie miało sensu dyskusja z kimś takim jak August. Bałwan!

Uspokoił się trochę i spojrzął na zegarek. Za piętnaście pierwsza. O pół do drugiej trzeba będzie zbudzić babcię, która osłabiona gorączką drzemie w swoim pokoju, i podać jej herbatę, aby mogła popić nową porcję pigułek. Antybiotyki należy zażywać dokładnie co sześć godzin. A rodzice wrócą do domu dopiero około czwartej.

Zza otwartych drzwi, jakby wprost z upalnego nieba, dobiegało wyzywające pogwizdywanie Augusta. Bolka ponownie ogarnęła złość. Żeby pękł ten głupi zarozumialec!

— Świecie, świecie! — zawołał półgłosem. I pomyśleć, że taki typ będzie jutro pływał w morzu! A tu nie można nawet wyjść na balkon, bo on od razu zacznie pleść głupstwa. Świecie, świecie! Mógłby mu powiedzieć, że wybiera się na bezludną wyspę... dopiero zrobiłby minę! Ale to byłoby poniżej godności, a poza tym... poza tym, przecież nie jedzie. Niech już pędzi nad to swoje morze, byleby go więcej nie oglądać.

— A przedtem — wysyczał w nowym przypiływie pasji — przedtem niech zleci na łeb razem z tym balkonem, na którym stoi i gwizdże!

W tym momencie coś okropnie zachrobotło i zaraz powietrze przeszył straszliwy wrzask.

— Ratunku! Ratunku!!! — ryczał ktoś, jakby żywcem obdzierany ze skóry. Tym kimś był ponad wszelką wątpliwość August Karp, ale tego mógł się domyśleć tylko jego szkolny kolega.

Głos Augusta przypominał wycie konającego potwora z japońskiego filmu.

Bolek dwoma susami wypadł na balkon. Zdołał jeszcze ujrzeć walącą się w dół prostokątną płytę z pomalowaną na brązowo poręczą i przyczepioną do niej kurczowo sylwetką swego nieznośnego sąsiada.

— Nie! Nie! — krzyknął Bolek. — Ja wcale nie chciałem... — urwał, ponieważ balkon, który spełnił jego życzenie i runął wraz z Augustem, ni stąd, ni zowąd w niedostrzegalnym ułamku sekundy, zamiast roztrzaskać się dziewięć pięter niżej, wrócił na swoje dawne miejsce. Wokół

znowu zapanowała cisza, przerywana tylko świergotem ptaków i dalekimi piskami rozbawionych przedszkolaków.

Bolek stał dłuższą chwilę jak skamieniały, po czym odetchnął głęboko i otarł pot z czoła. Co to było? Przywidzenie? Może zaraził się od babci i ma gorączkę? Przecież ten wielki, ciężki balkon, z żelazną balustradą i korytkami pełnymi kwitnących begonii, najwyraźniej leciał w dół jak spadający samolot. I to akurat w tym momencie, kiedy on, Bolek, powiedział...

— Zupełnie jakbym był czarnoksiężnikiem i mógł robić wszystko, o czym tylko pomyślę — szepnął chłopiec zdławionym głosem, bo co innego czytać o czarnoksiężnikach w bajkach, a co innego odnaleźć nagle, po czternastu latach błogiej niewiedzy, potężne mroczne siły w sobie samym.

No, może nie wszystko — poprawił się w myśli z ulgą. Przecież ten balkon jest już znowu tam, gdzie zawsze. Czyli, nie spadał naprawdę, bo balkony nie latają w dół i w górę jak wróble. Ale skądinąd... widział wyraźnie. I słyszał krzyk Augusta. Dziwne.

Pocieszające było tylko to, że August Karp, wrzeszczący czy gwizdzący, zniknął z pola widzenia. Pewno wrócił do mieszkania.

Bolek pomedytował chwilę, po czym pokręcił głową i ponownie spojrzął na odległe stawy i las na horyzoncie. Jak okiem sięgnąć, ani jednej chmurki. Cisza, jaka ogarnia miasto tylko w upał i tylko w okresie wakacji. Na małych sztucznych plażach wokół jeziorok powoli gromadziło się coraz więcej ludzi. Po nakarmieniu babci kolejną porcją pigułek można by tam właściwie pójść i przynajmniej do czwartej popływać w letniej, choć niezbyt czystej wodzie. Tylko czy taka kąpiel sprawiłaby przyjemność komuś, kto miał w perspektywie biwakowanie na bezludnej wyspie i nurkowanie w kryształowych głębiach, pełnych kolorowych ryb i podwodnych dziwów? Już lepiej, żeby zaczęło padać — pomyślał nieszczęsny Bolek. — Świecie, świecie! — złapał się za głowę. — Żeby chociaż lało. Żeby zerwała się burza z gradem i piorunami. A najlepiej

śnieżyca.

Zaledwie to powiedział, niebo pociemniało. Niskie, ołowiane chmury, które wzięły się nie wiadomo skąd, przeszył złowrogi błysk i natychmiast huknął ogłuszający grzmot. Równocześnie o szyby uderzyły gnane wichrem fale deszczu.

— Ja nie chcę! Ja nie chcę! — rozległ się na balkonie piskliwy głosik, porwany i zdławiony przez nawałnicę.

Burza szalała coraz gwałtowniej. Bolek usiłował wycofać się do pokoju, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

A jednak j e s t e m czarnoksiężnikiem — zakołatała mu w głowie szalona myśl. — Jestem czarnoksiężnikiem. Przedtem, z tym balkonem, mogło mi się zdawać, ale teraz... No dobrze, skoro jednak rzeczywiście jestem czarnoksiężnikiem, to wszystko od razu powinno się dziać tak, jak tego zapragnę. A tymczasem wołam „nie chcę, nie chcę”, a burza nic! Zważywszy okoliczności, rozumowanie świeżo upieczonego mistrza czarnej magii było nad podziw rzeczowe.

Burza istotnie nic sobie nie robiła z protestów chłopca. Grzmoty rozbrzmiewały coraz częściej. Parapety rozdzwoniły się pod ciosami wielkich bryłek gradu.

— Świecie, świecie! — zawołał przerażony Bolek. — Niech natychmiast znowu będzie pogoda!

Niebo zabłysło przygaszonym złotem. Po podmuchach lodowatego wiatru upalne powietrze zapiekło w płucach jak ogień. Po chmurach nie zostało ani śladu. Na dole wokół domów skwery i alejki były suche, spieczone od słońca i zakurzone. Nieliczni przechodnie snuli się ospale, poubierani w lekkie kolorowe koszulki i bluzki. Próżno byłoby szukać wzrokiem bodaj jednej kałuży pozostałej po ulewie. A zatem nie było ulewy!

— Co to się właściwie dzieje? — wyszeptał struchlały chłopiec.

— Wariant załamania czasoprzestrzeni o specyfice klimatycznej, wymieniony w poprzednim rozkazie, został zastąpiony przez wariant określony w rozkazie drugim — odpowiedział mu jakiś łagodny głos.

Rzecz osobliwa. Ten głos nie dobiegał ani z wnętrza pokoju, ani też w ogóle z jakiegokolwiek konkretnego kierunku. Przychodził zewsząd i znikąd. Najwłaściwsze byłoby stwierdzenie, że rozbrzmiewał wyłącznie w głowie Bolka.

— Kto... kto mówi? — wydukał chłopiec.

— Pomocniczy automat do wybierania pożądaných równoległych załamania rzeczywistości — padło wyjaśnienie.

— Eeee... Aaaa... Automat?

— Nie jestem „EA”. Mam symbol: jeden, jeden, dwa, jeden, dwa, dwa.

Zapanowało milczenie. Bolek cofnął się pół kroku w stronę drzwi balkonowych, ale musiał przystanąć, na skutek sprzeciwu własnych kolan, które nagle zatraciły swą przyrodzoną sprężystość. Rozglądał się przy tym dokoła, szukając źródła tajemniczego głosu.

Na sąsiednim balkonie nadal było pusto. Zresztą, gdyby August rzeczywiście chciał robić głupie kawały, to przecież i tak nie byłby w stanie sprawić, aby nad miastem w słoneczny dzień nastąpiło nagle urwanie chmury, a potem równie raptownie zapanowała znowu idealna pogoda. Tego nie potrafiłby nawet prawdziwy rzymski cesarz. No dobrze, ale w pobliżu nie ma absolutnie n i k o g o !

Chłopiec zadarł głowę i przez chwilę szukał pod balkonami i parapetami okien gadającego automatu o symbolu jeden, jeden i ileś tam. Nadaremnie. Spuścił więc oczy i spojrzał uważnie pod nogi. W bajkach spotyka się przecież krasnoludki tak małe, że trzeba by je oglądać przez lupę, a mówiące jak normalni ludzie.

Krasnoludka jednak nie było, natomiast w rogu balkonu obok pustych doniczek,

przygotowanych do przesadzania kwiatków, co stanowiło ulubione zajęcie mamy, leżała czarna, jak ulepiona z sadzy, tenisowa piłeczka.

Piłeczka to piłeczka. Są białe, żółte, pomarańczowe. Mogą być i czarne.

Nie — odpowiedział sobie Bolek. — Właśnie, że nie mogą. Mecze tenisowe są przecież często transmitowane przez telewizję. Czarnej piłki nie byłoby widać na ekranie.

Pochylił się, wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął koniuszkiem palca kulistego przedmiotu, który natychmiast drgnął i potoczył się w stronę krawędzi balkonu. Bolek odruchowo chwycił go całą dłonią i podniósł do góry.

W dotknięciu czarna kulka nie przypominała już piłeczki tenisowej. Przede wszystkim była zbyt lekka. Nie ważyła więcej niż bombka na choinkę i wydawała się równie krucha. Poza tym miała osobliwą powłokę, bardzo gładką, a zarazem wcale nie śliską. Chłopiec od razu rozluźnił uścisk palców, — żeby przypadkiem nie zgnieść swojej zagadkowej zdobyczy.

Automaty typu jeden, jeden są budowane z niezniszczalnych materiałów — usłyszał. —

Jestem odporny na ciśnienia panujące w superwielkich polach grawitacyjnych. Mogę bez szkody znieść przelot z dowolną szybkością przez najgęstsze warstwy atmosfery.

Chłopiec od razu puścił piłkę—niepiłkę tak, że upadła na nową posadzkę balkonu.

Rzeczywiście, nie stłukła się, skoczyła lekko dwa razy i znieruchomiła. Bolek sam nie wiedział, kiedy znalazł się w pokoju. Dopiero stamtąd zawołał:

— Co to? Co to?

— Powiedziałem. Automat jeden, jeden, dwa, jeden, dwa dwa — odpowiedź i tym razem została przekazana jakby przez jakiś delikatny głosik wewnątrz głowy Bolka.

— Więc to jednak ty przedtem mówiłaś... to znaczy, mówiłeś — stwierdził po dłuższej pauzie chłopiec, nieco uspokojony faktem, że znajduje się w bezpiecznej odległości od czarnej bombki, a ta leży spokojnie na balkonie i nie zdradza złych zamiarów.

Minęło znowu kilkanaście sekund, zanim Bolek zdołał sformułować następne pytania:

— Automacie, skąd się tutaj wziąłeś i czy to ty spełniałeś moje życzenia jak jakaś wróżka?

Czy możesz zrobić wszystko, co ktoś sobie wymarzy?

— Należę do gwiazdolotu patrolowego, który uległ awarii i musiał odrzucić część pojemników z zapasowym sprzętem. W miejscu, w którym teraz jesteśmy, znalazłem się zupełnie przypadkowo. Nie znam współrzędnych punktu lądowania...

— Jak to? — przerwał gorączkowo chłopiec. — Chcesz mi wmówić, że pochodzisz z innej planety?!

— Odpowiadam na pytanie. Przybywam z kosmosu, nie wiem, co znaczy określenie „inna planeta”. Planet jest wiele, wszystkie w danym momencie należą do wspólnej czasoprzestrzeni. Zmieniwszy wariant jej załamania...

— Nie jesteś z Ziemi?

— Z Ziemi? Stąd? Nie. Czy mam odpowiadać?

Bolek milczał, więc głos mówił dalej:

— Nic mi nie wiadomo o spełnianiu życzeń. Mogę tylko na polecenie rozmaitych istot żywych przenosić te istoty do równoległych rzeczywistości, w punktach i momentach gwarantujących pożądane warunki. Czy mnie zrozumiałeś?

— Tak... oczywiście! To znaczy, nie... Zupełnie nie! — powtórzył chłopiec, tym razem z głębokim przekonaniem.

— Załamania czasoprzestrzeni są przez istoty rozumne nazywane światami. Geometryczna organizacja kosmosu obejmuje nieskończoną ilość równoległych światów. Stwarzam wokół siebie i osoby wydającej polecenia zamkniętą, nieprzenikliwą strefę, po czym przenoszę ją do innego świata, w którym akurat dzieje się coś, co mój rozkazodawca pragnąłby przeżyć, zobaczyć czy usłyszeć — tłumaczył cierpliwie głos.

Po dłuższym namyśle Bolek uznał, że jego aż nadto uzasadniona ciekawość nie została w należytych stopniu zaspokojona. Cofnął się jeszcze o krok w głąb pokoju i zawołał:

— Co to wszystko znaczy? Jesteś z gwiazdolotu przybyłego na Ziemię. A czemu nikt o tym nie wie? Pewnie coś knujecie! Czytałem różne historie o inwazji obcych cywilizacji. W dodatku zmieniasz jakieś światy. Tu nic nie wolno zmieniać bez nas, mieszkańców tej planety!

Rozumiesz?!

— Cały czas spełniam polecenia istoty rozumnej mieszkającej na tej planecie — odrzekł z niezmaconym spokojem automat. — Na twoje żądanie przeniosłem cię do równoległej rzeczywistości, w której akurat walił się wskazany przez ciebie balkon, i do innej, gdzie szalała burza. Na twój rozkaz wróciliśmy tutaj.

Chłopiec przełknął głośno ślinę. Więc jednak! Nie stał się co prawda czarnoksiężnikiem, ale los obdarzył go magiczną piłeczką, spełniającą życzenia jej posiadacza. Bajeczne! Zupełnie, jakby nagle znalazł na swoim balkonie cudowną lampę Aladyna. Bo w ostatecznym rachunku to wszystko jedno, czy robi się czary mrucząc zaklęcia lub strzelając palcami, czy też w sposób bardziej skomplikowany, poprzez jakieś „przesiadki” do innych światów. Ba-jecz-ne!

— Nie ma mowy o jakimkolwiek zagrożeniu Ziemi ze strony moich konstruktorów i gwiazdolotu, na którego pokładzie przybyłem — włączył się głos automatu po krótkiej chwili. — Bezwzględne poszanowanie i ochrona wszelkiej materii ożywionej jest podstawowym prawem obowiązującym w naszej cywilizacji. Wpaja się to także automatom.

— Więc gdybym cię wziął do ręki, a potem wsadził do kieszeni, żebyś był zawsze ze mną, to także nic byś mi nie zrobił? — upewniał się na wszelki wypadek Bolek.

— Nie. Podniosłeś mnie przed chwilą. Teoretycznie mógłbym umieścić cię w równoległej czasoprzestrzeni, w której cierpiałbyś na ból zęba lub topił się w bagnie, ale tylko pod warunkiem, że sam zażądałbyś ode mnie takiej zmiany. Moje centrum informatyczne

podpowiada mi, że tego rodzaju życzenia z twojej strony są bardzo mało prawdopodobne.

— Na pewno, na pewno — przytaknął gorąco chłopiec wstrząśnięty wymienionymi przez automat możliwościami. — Ale... jeśli nie chcecie napadać na mieszkańców Ziemi, to co tu właściwie robicie?

— Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Mam konkretne przeznaczenie i nie posiadam wiadomości, które uznano za zbędne dla automatów typu jeden, jeden...

— Więc co teraz będzie? — przerwał Bolek. — Zostaniesz u nas... to znaczy, u mnie?

— Tak.

— A ten gwiazdolot? Czy tam są żywi ludzie, przepraszam, żywe istoty?

— Tak, dwie. Oprócz nich automaty. Jeden koordynacyjny i kilka zestawów specjalistycznych.

— I zepsuł się... to znaczy, ten statek?

— Tak.

— A co się stanie, gdy go naprawią?

— Spróbują mnie odnaleźć. Nie wolno zostawiać żadnych urządzeń w obszarach cywilizacji, z którymi nie nawiązano jeszcze kontaktu. Istoty należące do tych cywilizacji mogłyby pomyśleć, że grozi im inwazja, lub też wykorzystać te aparaty do niewłaściwych celów. Zapewne nie wiesz, że mieszkańcy niektórych światów zwalczają się wzajemnie. Tworzą odrębne grupy i rywalizują ze sobą. Przypadkowe udostępnienie supernowoczesnego sprzętu technicznego którejs z takich grup mogłoby spowodować tragiczne skutki.

Bolkowi zrobiło się przykro. Całe szczęście, że ta osobliwa piłeczka tak niewiele wie o świecie, do którego trafiła. Inaczej na pewno byłaby mniej szczerą...

— Czekaj no — zagadnął szybko, żeby zmienić temat — jak to jest, że ty mnie rozumiesz?

Znasz mój język? A ja słyszę ciebie tak, jakbyś mówił wewnątrz mojej głowy. Czemu?

— Jestem wyposażony w aparaturę do wytwarzania i wysyłania fal biologicznych — odparł automat. — Informacje, jakie te fale niosą, są odbierane przez wszystkie żywe istoty na wyższym stopniu rozwoju. Mózg każdego odbiorcy, na którejkolwiek z planet, przyjmuje je w znanym sobie języku. Potrafię odbierać twoje myśli i porządkować je tak, by tworzyły logiczną całość. Natomiast ty, wydając mi polecenia, musisz mówić do mnie głośno. Wysyłane przez ciebie fale są bardzo słabe.

— Jesteś wyposażony w mnóstwo rzeczy — zauważył z lekkim przekąsem Bolek. — A przecież wyglądasz jak zwykła piłeczka tenisowa. Gdzie to się wszystko mieści?

— Poszczególne podzespoły są zminiaturyzowane — wyjaśnił Jeden–Jeden. — Kwestia techniki.

Nastała chwila milczenia. Niebo za oknami nadal było bezchmurne i rozpalone. Przedszkolaki odeszły widać nad pobliskie jeziora, bo w dole panowała cisza.

— Słuchaj — odezwał się wreszcie chłopiec wracając do najważniejszej sprawy, związanej z tajemniczą wizytą kosmicznego automatu. — Co powinienem zrobić, abyś mógł mnie przetransportować do tych jakichś innych światów, czyli zmieniać to, co jest, na coś innego?

— Wybiorę dowolny wariant załamania czasoprzestrzeni na każdy twój rozkaz.

— Tylko mój?

— Obecnie tak.

Bolek pomyślał jeszcze parę sekund, po czym powziął męską decyzję.

— To chcę być o pięć centymetrów wyższy i bardzo silny!

Automat nie odpowiedział, ale chłopiec wcale nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i przewracając po drodze krzesło pobiegł do przedpokoju, gdzie stało wielkie prostokątne lustro. Tam z najwyższą uwagą począł studiować swoje odbicie. W pierwszej chwili wydało mu się nawet, że naprawdę urósł. Ucieszony, unióśł ramiona i napiął mięśnie jak kulturysta pozujący do

fotografii. Niestety. Muskūły były — dokładnie takie same, jak zawsze. A i ze wzrostem sprawa nie przedstawiała się za dobrze.

Przed lustrem stał chłopak w niebieskich džinsach i tegoż koloru koszulce z krótkimi rękawami. Trzymał się na nogach pewnie, chociaż jak sam zauważył, te nogi mogłyby być odrobinę grubsze. Za to zwisające bezwładnie po niedawnym wysiłku ręce były stanowczo za długie. Wprawdzie rodzice pocieszali ich posiadacza, że wszystko jest w najlepszym porządku, bo za parę lat jego sylwetka zyska idealne proporcje, ale kto to może wiedzieć, co będzie za parę lat.

Nad torsem, który niczym szczególnym się nie wyróżniał, widniała owalna twarz o lekko zadartym nosie i przymrużonych niebieskich oczach. Zachmurzone teraz czoło ginęło pod potarganymi kosmykami jasnych włosów. W sumie cała postać nie była ani za duża, ani za mała, ani szpetna, ani uderzająca niezmierną pięknnością. Stanowczo jednak nie posiadała żadnej cechy, której mógłby się wstydzic czternastoletni Ziemianin płci męskiej. Ba, ale ów Ziemianin liczył przecież na interwencję czarodziejskiego automatu, przybyłego z kosmosu. A tymczasem, po starannym zlustrowaniu swego odbicia i dojrzałym namyśle, musiał stwierdzić, że nie urósł ani o milimetr.

— Świecie, świecie! — westchnął Bolek nie kryjąc gorzkiego zawodu. Następnie skierował się z powrotem w stronę balkonu. Stał w otwartych drzwiach, wbił pogardliwy wzrok w kulisty przedmiot spoczywający za progiem i wycedził:

— Mówiłem, że mam być większy... to znaczy, wyższy. I silniejszy. Potrafisz tylko mądrze gadać. Widać tam, u ciebie... — urwał. Pomyślał bowiem, że ten Jeden–Jeden jest mimo wszystko przybyszem z gwiazd i że może lepiej mu się nie narażać. Zakończył więc tonem łagodnego wyrzutu: — I po co było obiecywać?

— Niczego ci nie obiecałem — odezwała się czarna kulka. — Bo ty niczego ode mnie nie

chciałeś.

— Jak to?! Miałem być duży i bardzo silny!

— Nie rozumiem. Nie jestem w stanie sprawić, aby żywa i rozumna istota zmieniła swój organizm, jego barwę i charakterystykę. Nie mogę też niczego zmieniać w świecie, który mnie otacza.

Chłopiec zamrugał oczami. Coś zaczęło mu świtać. Przecież wówczas, gdy najpierw spadał balkon wraz z tym mądrałą Augustem, a potem, kiedy ni stąd, ni zowąd rozszalała się burza, on, Bolek, poprzedzał swoje wypowiedane głośno „życzenia” słowami: „świecie, świecie!” A automat Jeden–Jeden zastrzegał się, że nie robi żadnych czarów, tylko „wybiera”, jak to określał, inne warianty załamania czasoprzestrzeni. Czyli po prostu inne światy!

— Rozumiem, rozumiem! — rozległ się w pokoju zwycięski okrzyk. — No, to uważaj, niech będzie taki świat ... nie, poczekaj — Bolek mówił coraz wolniej, z zastanowieniem. — Przenieśmy się tam, gdzie ja wyrosnę o pięć centy... chwileczkę — przerwał znowu. — No dobrze, a kiedy już znajdziemy się w tym innym świecie, to w jaki sposób wrócimy do tego? Czy także trzeba coś specjalnego powiedzieć?

Było to pytanie świadczące o chwalebnej przezorności. Wprawdzie nie stałoby się znowu wielkie nieszczęście, gdyby świat na zawsze zmienił się tylko o tyle, żeby niejaki Bolek Milej był trochę wyższy i silniejszy, ale w przyszłości warto by przecież postawić kosmicznemu cudotwórcy ciekawsze zadania. Wówczas możliwość powrotu do tego pokoju, gdzie jest tak swojsko i bezpiecznie, stałaby się kwestią życia lub śmierci. Gdyby na przykład Bolek zechciał z bliska poznać świat, w którym akurat nieustraszony szeryf walczy sam jeden z odzianymi na czarno opryszkami, i gdyby przypadkiem ci ostatni, wbrew prawom obowiązującym na westernach, strzelali równie dobrze jak obrońca sprawiedliwości?

— Mogę towarzyszyć każdej istocie, która zażąda ode mnie przeniesienia w inny moment

załamania czasoprzestrzeni — odpowiedział automat. — Będę zawsze przy tobie i kiedy tylko zechcesz, wrócimy do wyjściowej rzeczywistości. Posiadam takie urządzenie, które samo unieważni pierwszy rozkaz, jeśli w jego wyniku jakiegokolwiek żywej istocie zagrozi poważne niebezpieczeństwo.

Bolek przypomniał sobie „upadek” balkonu wraz ze stojącym na nim Augustem.

— Tak — rzekł Jeden–Jeden, gdy chłopiec wspomniał na głos przygodę swego sąsiada. —

Rozkazałeś, abym umieścił cię w świecie, w którym ten balkon właśnie odrywa się od ściany, i musiałem ten rozkaz wykonać. Jednak na balkonie stał żywy człowiek. Twoje polecenie zostało automatycznie cofnięte. Zanim roztrzaskał się o ziemię, wszystko wróciło do pierwotnego stanu.

Bolek pomyślał chwilę, po czym spytał:

— A czy ktoś, kto wrócił z... no, skądś, gdzie jest inaczej, wie o tym, co widział i przeżył?

— Pamięć o wydarzeniach, które rozegrały się podczas pobytu w równoległej rzeczywistości zachowuje jedynie osoba wydająca mi rozkazy.

— To znaczy ja?

— Obecnie tak.

— Czyli August nie ma pojęcia, że wrzeszczał ze strachu? Szkoda.

— Nie ma pojęcia. Tak samo nie pamiętają niczego inne istoty, które uczestniczyły w tych wydarzeniach lub je obserwowały.

Bolek westchnął, ale niebawem poczuł nowy przyływ energii. Wzrost i kulturystyka mogą poczekać. Na razie trzeba załatwić stare porachunki.

— Czy dobrze cię zrozumiałem? — zaczął spoglądając bacznie na czarną piłeczkę. — Kiedy powiem, że czegoś sobie życzę, to ty nie robisz nic, bo nie jesteś od tego, żeby spełniać czyjeś kaprysy. Ale jeśli przed tym życzeniem zawołam: „świecie, świecie!”, wtedy przenosisz mnie tam, gdzie dzieje się to, co chcę, żeby się działo. Czy tak?

— Tak. Pierwsze „świecie” dotyczy rzeczywistości wyjściowej, drugie oznacza, że mam wybrać wariant załamania czasoprzestrzeni spełniający podane warunki.

— Dobrze — Bolek skinął głową mówiąc sobie w duchu, że jego ojciec ma bardzo mądre powiedzonka. — Wobec tego uważaj: świecie, świecie, niech będę silniejszy od Augusta Karpa, niech lepiej od niego jeżdżę na rowerze i niech szybciej biegam!

Automat nie odpowiedział. Chłopiec czekał jakiś czas, po czym postanowił działać.

Co tam — myślał sobie. — Jeśli i teraz źle sformułowałem życzenie, to najwyżej wrócę z podbitym okiem. Nie pierwszy raz...

Wyszedł na balkon, pochylił się, ostrożnie uniósł czarny przedmiot i szepnąwszy na wszelki wypadek „przepraszam” umieścił go w kieszeni dżinsów. Szybko wybiegł z mieszkania. Przed drzwiami państwa Karpów przyhamował, przygładził włosy, po czym zadzwonił.

Otworzył mu August. Na widok kolegi, którego dziś jeszcze miał pozostawić w rozpalonym mieście, uśmiechnął się od ucha do ucha:

— Dzień dobry, babciu... to jest, chciałem powiedzieć, cześć, Bolek.

Bolek nie zwrócił uwagi na „przypadkowe” przejęzyczenie Augusta i zachował olimpijski spokój:

— Cześć. Nudzi mi się, więc pomyślałem, czy nie zechciałbyś pojeździć ze mną na rowerze.

— Na rowerze? — powtórzył August. — No, ostatecznie... — zgodził się łaskawie. — Co, pójdziemy na tor?

„Torem” nazywali młodszy mieszkańcy osiedla bieżnię stadionu położonego tuż za ostatnimi blokami. Stadionu tego od dawna nikt nie pielęgnował, ponieważ na jego miejscu miał powstać nowy węzeł drogowy, ale bieżnia, pokryta drobnym ubitym żużlem, dobrze służyła miejscowym szybkobiegaczom oraz rowerzystom.

— Na tor? Dobrze... — przystał Bolek z udanym zakłopotaniem, mającym świadczyć, że jest

w pełni świadomy czekającej go klęski.

August zaśmiał się wyzywająco, porwał leżące na półeczce klucze i zatrzasnął za sobą drzwi.

W stronę stadionu jechali asfaltowymi ścieżkami ramię przy ramieniu, nie wrywając się do przodu i nie wdając w żadne rozmowy. Bolek od czasu do czasu dotykał palcami kieszeni

upewniając się, czy naprawdę tkwi w niej cudowna piłeczka. Bo świat dokoła był zwyczajny.

Domy, auta, sklepy, ludzie... to, co widzi się wyszedłszy z domu. A przecież jest to już jakiś inny świat, w którym pewien chłopiec stał się silniejszy niż był.

— No, jedź — wykrzyknął August, kiedy obaj stanęli wreszcie na linii oznaczającej start i metę osiedlowych wyścigów. — Zacznę cię gonić, dopiero jak będziesz na zakręcie — zaśmiał się pogardliwie.

— Nie. Ruszemy razem. Trzy okrążenia jak zwykle?

Nosiciel cesarskiego imienia przestał się śmiać. Na wszelki wypadek obejrzał dokładnie swój rower. Stwierdziwszy, że dętki są dobrze napompowane a wszystkie śrubki dokręcone, wzruszył ramionami.

— Jak chcesz — mruknął.

— No, to uwaga. Raz, dwa, trzy... start! — zakomenderował Bolek.

No i okazało się, że piłeczka spełniła obietnicę. Na pierwszym zakręcie August widział już tylko plecy swojego współzawodnika oddalającego się z niewiarygodną prędkością, a do mety dojechał dobre pół okrążenia za nim.

— Coś pokreśliłeś! — wrzasnął z wściekłością. — Masz nową przerzutkę, co? Pokaż!

Bolek bez ociągania zademonstrował rywalowi swój pojazd. Pobity tak niespodziewanie as, na próżno jednak szukał chytrze wmontowanego w ramę odrzutowego silniczka lub nowej rewelacyjnej przerzutki. Rower był taki jak zawsze.

— Jeszcze raz! — zażądał August.

Bieg został powtórzony. Tym razem dotychczasowy mistrz osiedla został w tyle o trzy czwarte okrążenia. Dojechał do mety, odrzucił rower, kopnął go z wściekłością, po czym ocierając sobie pot z czoła wydyszał:

— Jak to zrobiłeś? Noo, jak ty to zrobiłeś?!

— Co zrobiłem? — spytał z niewinną miną Bolek. — Chodzi ci o wyścig? Po prostu wygrałem. Odtąd stale już będę z tobą wygrywał — dodał niezbyt skromnie, nieznacznie poklepując się po kieszeni.

— Akurat! — warknął August. Prychnął gniewnie i w nagłym porywie pasji zamachnął się na swojego pogromcę. Dziesięć sekund później leżał przewrócony na łopatki, czując na piersiach kolana Bolka, a pod plecami ostre drobiny żwiru.

— Puść — wychrypiał.

Zwycięzca podniósł się, otrzepał i zaczął cichutko pogwizdywać melodię modnej piosenki. To było więcej, niż mógł znieść przyzwyczajony do łatwych sukcesów osiłek. Porwał rower, wskoczył na siodełko i pognął w stronę domu, jakby go ścigały latające talerze z automatami, nie usposobionymi zgoła tak pokojowo do mieszkańców Ziemi, jak pewna czarna piłeczka.

Ta została teraz wydobyta z kieszeni i uniesiona w górę.

— Hura! — zawołał Bolek. — Brawo! Jesteś cudowna!... To znaczy, cudowny! — poprawił się. — Cudowny! — powtórzył z zapalem. — Ten nowy świat jest nadzwyczajny.

Uśmiechnął się z całego serca do swojego spadłego z nieba skarbu, pogłaskał go czule palcami i schował do kieszeni. Następnie wsiadł na rower i od razu mocno nacisnął na pedały. No! Teraz sobie pogadamy! — wykrzyknął wyjeżdżając ze stadionu na asfaltową drogę. Nie wyjaśnił, z kim ani też o czym, łatwo jednak można się było domyśleć, że zapowiedziana rozmowa wpłynie w zasadniczy sposób na los świata. A może i niejednego świata? Bo przecież czarny automat twierdził, że jest ich nieskończenie dużo.

Doniosłe zmiany musiały jednak poczekać. August nie przebolewał bowiem swojej porażki. Gdy tylko rozpędzony Bolek wypadł zza pierwszego bloku, z bocznej alejki natarł na niego pogiębiony przed chwilą rywal. Nisko pochylony nad kierownicą, pedałowal zawzięcie, nie spuszczaając płonącego wzroku z tylnego koła roweru swego pogromcy. Było aż nadto jasne, co zamierza.

I stało się. Nawet najlepszy cyklista nie zdoła utrzymać równowagi, gdy tył jego pojazdu nagle przesunie się o sto osiemdziesiąt stopni. Bolek wystrzelił z siodełka i z wyciągniętymi przed siebie rękami poleciał jak ptak prosto na maskę nadjeżdżającej właśnie wielkiej ciężarówki służącej do wywozu śmieci. Chłopiec usłyszał jeszcze krzyk trwogi napastnika, który, acz zaślepiiony wściekłością, nie życzył sobie tak dobitnych skutków swego podstępного ataku, i... nagle ujrzał, że znowu najspokojniej siedzi przed drzwiami balkonu, mając nad głową czyściutkie niebo, a przed sobą skromną piłeczkę, przybyłą nie wiadomo skąd.

Minęła dobra minuta, zanim Bolek zdał sobie sprawę, co się właściwie stało, a dwie dalsze, zanim mógł wykrztusić pierwsze słowa:

— Tu... my... nic...

— Słucham? — spytał wewnątrz jego głowy znajomy łagodny głos.

Chłopiec odchrząknął i trochę oprzytomniał.

— Leciałem pod auto — stwierdził. Wspomnienie tej strasznej chwili spowodowało, że jego ramiona pokryły się gęsią skórką.

— Dlatego nastąpiło automatyczne anulowanie polecenia — wyjaśnił Jeden–Jeden. —

Wróciliśmy do rzeczywistości wyjściowej.

— W samą porę! — wyrwało się bohaterowi niefortunnej przygody. — Ale... —

spochmurniał znowu — to znaczy, że nie jestem już bardzo silny i nie jeżdżę tak dobrze na rowerze?

— Nie. Posiadasz te same właściwości co przedtem.

Bolek westchnął. Pomyślał jednak, że przecież zawsze może poprosić piłeczkę, aby przemieniła świat na taki, w którym on będzie, powiedzmy, nowym Tarzanem, i poweselał.

Nasunęła mu się natomiast inna wątpliwość:

— Powiedziałeś, że tylko ten, kto mówi ci, co się ma stać w tej zmienionej... zmienionej...

— Czasoprzestrzeni — odpowiedział automat.

— ...właśnie. Że tylko on pamięta potem, po powrocie, co się działo tam... Rozumiem. Teraz August nic nie wie, że go nalałem... chciałem powiedzieć, że z nim wygrałem. A... inni? Ten kierowca i przechodnie?

— Nie pamiętają. Oczywiście, gdybyś ponownie wybrał ten sam wariant rzeczywistości, znaleźlibyśmy się z powrotem w punkcie, gdzie te istoty przebywają, i wtedy wiedziałyby o wszystkim. Wówczas ty wpadłbyś pod ciężarowy samochód, do czego moim zespołom bezpieczeństwa nie wolno dopuścić.

Bolek zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Może to i lepiej, że August nie pamięta, jak jego ofiara szybowała głową naprzód prosto w ogromną śmieciarkę, ale... Czyli tamten świat, w którym byliśmy przed chwilą, istnieje nadal? — zmarszczył brwi. — I są tam takie same domy, taki sam stadion, drogi, ludzie, auta i w ogóle?

— Tak. Istnieje nieskończona ilość załamania czasoprzestrzeni, można przenieść się do każdej, o jakiej tylko pomyślisz. Nie zostałem jednak przystosowany do wyjaśniania teoretycznych podstaw geometrii wszechświata.

Bolek zrozumiał, że i on wcale nie jest „przystosowany” do roztrząsania zawiłych problemów jakiejś supergeometrii, ale wyjaśnienie automatu nie zaspokoiło jego ciekawości.

— Przyszło mi na myśl, że jeśli ktoś widział, jak lecę pod auto, a potem nagle zniknąłem mu z oczu, to jest teraz okropnie zdziwiony. Może boi się, że zwariował, a może opowiada bajki o

ataku kosmitów?

— Każda rzeczywistość przypomina powierzchnię stawu. Możesz ją bełtać i mącić, a ona i tak wygładzi się jak lustro. Przenosząc się w równoległe warianty czasoprzestrzeni nie powodujemy żadnych trwałych następstw dla żywych mieszkańców światów, które odwiedzamy. Wybieramy odpowiednie warunki dla siebie nie wciągając w tę grę innych. To jest tak, jakby owe światy istniały wyłącznie w teorii, a przybierały materialne kształty tylko wówczas, gdy je sobie wyobrazimy i zapagniemy znaleźć się w krainie własnej wyobraźni...

Bolek jednak nie słuchał. Twarz mu się rozjaśniła. Niech лихо porwie wszystkie tajemnice kosmosu i te „rzeczywistości”, które raz istnieją, a kiedy indziej nie. Są przecież wakacje.

Wakacje spisane już na straty. Chyba przedwcześnie. Bo teraz, dzięki czarnej piłeczce, wszystko będzie tak, jak być powinno. Zaraz jej powie...

Otworzył usta, ale po krótkim namyśle zamknął. Nie wystarczy powiedzieć przybyłemu z kosmosu automatowi, że ma „wybrać”, jak on to mówi, taki „wariant” świata, w którym Bolek wraz z rodziną będzie już na upatrzonej wysepce Morza Egejskiego. Najpierw trzeba zrobić generalne porządki. Spokojnie i z rozwagą, żeby czegoś nie przegapić. Posprzątać ten świat, aby raz na zawsze pozbyć się głupstw i przykrości zatruwających życie przynajmniej niektórym jego mieszkańcom. On, Bolek, wie przecież, czego potrzeba mu do szczęścia. A więc, do dzieła!

GENERALNE PORZĄDKI

— Świecie, świecie!... nie, poczekaj — Bolek zamachał gwałtownie rękami na znak, że cofa hasło wywoławcze. — Słuchaj — rzekł z zastanowieniem. — Zrób tak, żebyśmy przenieśli się do świata, o jakim w tej chwili myślę, dopiero wtedy, kiedy skończę o nim mówić. Kiedy wyliczę już wszystko, co tam ma być. Dobrze?

— Dobrze — zgodziła się piłeczka. — Tylko musisz mi dać znak, gdy przyjdzie czas.

— Powiem „już”! Póki nie usłyszysz „już”, nie rób nic.

— Pamiętam.

— A więc... — w niebieskich oczach chłopca odmalowało się skupienie. — Niech będzie tak... Po pierwsze — przystąpił do rzeczy człowiek, w którego rękach znalazły się losy wszystkich możliwych światów — niech babcia będzie zupełnie zdrowa. I... mogłaby mieć o pięć lat mniej. Tak samo mama i ojciec. Ja także niech już nigdy więcej nie mam anginy i będę...

— O pięć lat młodszy? — odpowiedział przybysz z kosmosu.

Bolek aż cofnął się o krok.

— Co? Skądże znowu! — zawołał przerażony. — Nie, nie! Dlaczego młodszy? Przeciwnie, mógłbym... — zawahał się, ale w końcu odrzucił myśl, która przyszła mu do głowy — niech mam tyle lat, ile mam — zdecydował. — Tylko mógłbym być znowu odrobinę silniejszy, trochę lepiej pływać, nurkować i biegać. Żeby w szkole zawsze dobrze mi się wiodło, bez żadnych głupich wpadek — dyktował. — Żebyśmy w domu mieli kolorowy telewizor i żeby samochód nigdy się nie psuł, bo tata wtedy jest taki zły, że... zresztą, mniejsza z tym — urwał. Nie musi przecież tłumaczyć, dlaczego wyraża jakieś życzenie. Automat ma je tylko spełnić, a nie oceniać, czy to życzenie jest słuszne czy nie.

— A właśnie — podjął chłopiec — wspomniałem o tacie. — Więc niech tata nigdy na mnie nie krzyczy, nawet kiedy się bardzo zdenerwuje i ma trochę racji, tylko niech spokojnie tłumaczy, co i jak. W ogóle mógłby częściej ze mną rozmawiać i chodzić do kina, a nie siedzieć kołkiem przy maszynie do pisania. A mama niech nie burczy. Kiedy jest uśmiechnięta, to w domu robi się weselej. I żeby nikt się z nikim nie kłócił. Aha, i żeby ten... August stał się równym, miłym kolegą... bo tu blisko nikt inny z mojej klasy nie mieszka — zakończył.

Następnie wyprostował się, przymknął oczy i krzyknął: — Uwaga, już!

Nic się nie zmieniło. Kiedy Bolek uniósł powieki, ujrzał nad sobą zwykły błękit nieba, nieco niżej sąsiednie domy, jeszcze niżej drzewa i skwery, a pod nogami czarną kulkę. Mamy i taty nie

było, więc nie mógł sprawdzić, czy stali się bardziej pogodni i uśmiechnięci. Ale w rogu pokoju zamiast starego telewizora ujrzał nowy, z większym ekranem i wieloma błyszczącymi gałkami, obok których umieszczono różnobarwne prostokąciki. A więc stało się!

W tym momencie drzwi z korytarza otworzyły się dość gwałtownie. Chłopiec szybko zrobił w tył zwrot i ujrzał babcię Miłę. Jej twarz wręcz promieniała zdrowiem i energią. Poza tym babcia przez parę ostatnich lat nie wyglądała tak kwitnąco i młodo jak dzisiaj.

— Cóż to za leniuchowanie? — padło od progu. — Już wszystko zapakowałeś? Jeśli na wyspie usłyszę, że czegoś zapomniałeś, to za karę będziesz przez tydzień zmywał naczynia! Po wszystkich!

— Babciu! Jesteś zdrowa! Odmłodziłaś! Hurra! — wrzasnął Bolek.

— Co ci jest? — babcia Miła natychmiast zmieniła ton. — Boli cię coś? Chory jesteś?

Bolek zaśmiał się, aż szyby odpowiedziały zaniepokojonym dzwonieniem. Pomyśleć tylko!

Babcia jego podejrzewa o chorobę, a przecież sama jeszcze przed chwilą leżała z gorączką i czekała na kolejną porcję pigułek.

— Nie jestem chory. Mam tylko taką piłeczkę!... — nie zważając na cichy jęk przestraszonej babci skoczył na balkon, porwał z podłogi czarny automat i uniósł go wysoko nad głowę. — Hurra! Jedziemy do Grecji! Będzie cudownie! — trzymając nad sobą czarodziejską piłkę wykonał serię radosnych podskoków.

— Jestem odporny na wstrząsy — usłyszał nagle wewnątrz swoich skroni łagodny głos — ale istoty żywe odczuwają także wstrząsy psychiczne. Człowiek, który właśnie wszedł do pokoju, jest, jak mi się zdaje, szczególnie na nie podatny. Nie wolno mi sprawiać przykrości żadnej żywej istocie.

Bolek znieruchomiał. Okazało się jednak, że „istota żywa”, której automat chciał oszczędzić nazbyt mocnych wrażeń, wykazała zgoła zdumiewającą odporność na wstrząsy. Kiedy minęło

pierwsze zaskoczenie, spowodowane przedziwnym zachowaniem Bolka, babcia Miła pokiwała głową i powiedziała zupełnie spokojnie:

— Zwariował. No cóż, nie ma rady. Wobec tego wracam do moich zajęć. Mam jeszcze kilka pustych słoików, które muszę napełnić. Kiedy już będziemy na tej wyspie i kiedy wreszcie porządnie się najesz, to może ci przejdzie. Na razie będę udawać, że nic nie zauważyłam.

Zgodnie z tym postanowieniem babcia odwróciła się z godnością i opuściła pokój.

Bolek odprowadził ją rozradowanym spojrzeniem, po czym nagle spowaźniał i przyjrzał się z uwagą swojej piłeczce.

— Czy kiedy do mnie mówisz, to tego na pewno nie może usłyszeć nikt inny? — spytał z niepokojem.

— Nikt. Ty spośród mieszkańców tego świata pierwszy nawiązałeś ze mną kontakt. Jestem tak skonstruowany, że utrzymuję łączność zawsze tylko z jedną istotą rozumną — wyjaśnił automat.

Uspokojony Bolek pomyślał teraz o tajemniczych kosmitach, którzy sporządzili tak wspaniały automat.

— Słuchaj — zaczął poważnie — czy mógłbyś przenieść mnie tam, gdzie ty powstałeś?

Tym razem Jeden–Jeden zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— Do ojczyzny moich konstruktorów? — zapytał w końcu.

Chłopcu wydało się, że głos w jego głowie zabrzmiał nieco mniej ciepło niż dotychczas.

Potwierdził jednak zdecydowanie:

— Tak.

— W zasadzie nic nie stoi na przeszkodzie. Chcę cię jednak uprzedzić, że znajdziesz się w rzeczywistości zupełnie innej niż ta, do której przywykłeś, a nawet innej niż te, jakie możesz sobie wyobrazić. Wątpię, czy zdołasz zrozumieć sposób myślenia i postępowania mieszkających

tam istot.

— Nie szkodzi. Czekaj... chcesz mnie ostrzec? Uważasz, że to niebezpieczne?

— Nie. Obecny wariant załamania czasoprzestrzeni jest dla ciebie wyjściowy. W razie jakiegokolwiek zagrożenia powrócisz tutaj. Tylko jeśli ja znajdę się w moim pierwotnym świecie, to nie wiem, czy będę mógł nadal zachować z tobą kontakt. Wówczas, gdyby nic ci nie zagrażało i nie włączył się mój automatyczny zespół bezpieczeństwa, mógłbyś tam zostać już na zawsze.

Bolek wzdrygnął się nieznacznie. Nie. Co to, to nie...

— A jeślibyś poczekał na mnie tutaj? — spytał po chwili.

— Wówczas taka możliwość przestanie istnieć.

— Ale powiedziałaś przecież, że musisz towarzyszyć komuś, kogo przenosisz do innej... no, do innego świata?

— Nie powiedziałem „muszę”, tylko „mogę”. Automaty udzielają informacji dokładnych i prawdziwych. Mogę ci towarzyszyć. Jednak gdybyś tego ode mnie zażądał, byłbym zmuszony spełnić twoje polecenie i poczekać na ciebie w twoim pokoju.

— Więc żądam! — zawołał szybko chłopiec. — A w ogóle to nie myśl, że chcę tam być, żeby szpiegować czy zrobić cokolwiek, co nie podobałoby się twoim ziomkom... chciałem powiedzieć, twoim konstruktorom. Ale, widzisz, jeszcze nikt z ludzi nie odwiedzał innych planet i ich mieszkańców. Nie dziw się, że jestem ciekawy.

— Tak. Ludzie są ciekawi. Nie dziwię się.

— No, to zostań tutaj, a mnie przenieś tam... zaraz chwileczkę... — przerwał sobie Bolek tknięty nową myślą. — Jeśli nie będę cię miał przy sobie, to gdyby coś mi tam groziło, także od razu znajdę się z powrotem tutaj?

— Nie. Jeśli ja zostanę w tej rzeczywistości, to niestety ty nie będziesz już objęty działaniem

moich automatycznych zespołów bezpieczeństwa. Mogę stworzyć wokół siebie strefę, wraz z którą przeniosę cię dokąd zechcesz, ale jeśli sam pozostanę na zewnątrz tej strefy, to ty będziesz zdany już wyłącznie na siebie.

Zapadła cisza. Nagle oczy chłopca zabłyśły. Bruzda na jego czole wygładziła się.

— Słuchaj, automacie! Właśnie coś wymyśliłem. Powiedz, czy nie moglibyśmy zrobić w ten sposób, żebym odwiedził twój świat tylko przez godzinę, a po upływie tego czasu wrócił z powrotem? Niezależnie od okoliczności.

— Proszę.

— Świetnie — zawołał Bolek uradowany, że znalazł tak sprytne rozwiązanie trudnego problemu. — No, to hop! — krzyknął nieco ciszej niż zamierzał, ponieważ perspektywa „podróży” do istot mieszkających gdzieś wśród gwiazd i budujących tam kulki zamieniające światy z taką łatwością, napawała go mimo wszystko pewną rezerwą. Ale nic się nie stało.

Chłopiec czekał jakiś czas, aż wreszcie stracił cierpliwość:

— Wciąż jestem tutaj! Zaspiałeś czy co?

— Nie odebrałem sygnału upoważniającego mnie do zmiany wariantu — wyjaśniła piłka.

— Świecie, świecie! — zawołał Bolek, tym razem bardzo głośno. — Niech będę tam, skąd ty przybywasz!

Balkon, drzwi do pokoju, sąsiednie domy, drzewa, stawy i niebo — wszystko to znikło w mgnieniu oka. Zamiast znajomego osiedla Bolek ujrzał nieskończoną przestrzeń zalaną szkłem. Nigdzie nie było widać słońca ani innego źródła światła, a jednak ta przestrzeń błyszczała jak wielka kryształowa gwiazda. Jej lśnienie było zarazem mocne i łagodne. Gdziekolwiek się popatrzyło, tam natychmiast światło przygasało, jakby spadała zasłona sporządzona z przezroczystej, lecz przy ciemniowi szyby. Wtedy wydawało się, że światło pada skądś z boku lub z tyłu.

Bolek stał dłuższą chwilę wstrzymując oddech, nim zdecydował się wreszcie zrobić pół kroku do przodu. Jego otoczenie odpowiedziało na ten nieznaczny ruch miękkim falowaniem, jakby tutejsze powietrze, sprawiające wrażenie szklanego, posiadało zarazem właściwości gęstej, idealnie czystej cieczy.

— Miłego dnia. Czy masz świeże pragnienia? — zabrzmiał w tym momencie tuż za przybyłym z Ziemi chłopcem melodyjny głos.

Bolek odwrócił się, ale ujrzał jedynie jakąś bezkształtną plamę błękitu, ledwie widoczną w kryształowej perspektywie.

— Dziękuję. Nie chce mi się pić — wyszeptał na wszelki wypadek.

Odpowiedział mu cichutki śmiech.

— To ja dziękuję — wyśpiewał ten sam muzykalny głos. — Nie miałem o czym myśleć.

Dzień nie przyniósł mi żadnych zadań. Obecnie pójdę zastanowić się nad istotą humoru. Życzę ci dobrych, trudnych pragnień — ostatnie słowa brzmiały coraz ciszej, jakby mówiący zaczął się szybko oddalać. Było to widać pożegnanie.

Bolek zamrugał powiekami i odetchnął głęboko. Teraz dopiero poczuł zapach i smak tego powietrza, które wyglądało jak szklane, ale na szczęście pozwalało się wciągać w piersi bez dodatkowego wysiłku. Posiadało jakiś cierpko-słodki aromat, orzeźwiający i dość miły, choć całkowicie inny niż atmosfera, do której przywykły płuca człowieka. W ogóle wszystko tu było inne. Tego zresztą należało się spodziewać. Mieszkaniec Ziemi nie potrafiłby sobie wyobrazić świata, gdzie żywe istoty tkwią jak muszki wtopione w ogromną bryłę białego bursztynu i gdzie niewidoczne twory przemawiają takim głosem, jakby grały na harfie, życząc sobie nawzajem całkiem serio i serdecznie „trudnych pragnień”. Co to miało znaczyć? I jak należało temu komuś odpowiedzieć? Przecież uprzejme wprawdzie, ale z całą pewnością niezbyt błyskotliwe odezwanie się Bolka ów niewidzialny osobnik potraktował jako żart. I to niezły żart, skoro zdołał

zachęcić go do rozmyślenia o humorze w ogóle.

— Nie miał o czym myśleć — mruknął do siebie z przekąsem ziemski chłopiec. — No, to teraz ma. Im tu, zdaje się, brakuje zmartwień. Albo trafiłem do jakiejś luksusowej dzielnicy, gdzie mieszkają znudzeni bogacze. Tylko czy świat zbudowany z jednej przeogromnej gudy kryształu może mieć dzielnice?

Bolek wzruszył ramionami i rozejrzał się. Jeśli ma choć z grubsza poznać ojczyznę konstruktorów czarnych piłeczek, winien dokądś pójść, obejrzeć jakieś domy, miasta, fabryki. Cóż, kiedy tu jak okiem sięgnąć wszystko jest tak samo nijakie, gładkie świecące. Nie ma nawet horyzontu, bo wszędzie gdzie człowiek popatrzy, biegnie w dal przejrzysta perspektywa, pozornie nieskończona, ale to chyba niemożliwe. Gdzieś przecież kończy się ten lód czy to szkło i poza tę granicę wzrok już nie sięga.

Zaledwie to pomyślał, ujrzał przed sobą jakąś jasnobrązową ścianę albo zasłonę także przezroczystą, lecz dalej, w głębi, widać było niezmierną, ciemnogrnatową przestrzeń otwartego nieba. Co ciekawe, zabarwienie zasłony nie mąciło w najmniejszym stopniu nieskazitelnej czystości owego granatu.

— Horyzont — powiedział zdumiony chłopiec. — Całkiem niepodobny do ziemskiego, ale co tu w ogóle jest podobne do czegokolwiek? Tym bardziej — dodał po chwili — że właśnie pomyślałem o horyzoncie.

— Gratuluję spełnienia — odezwał się zupełnie blisko srebrzysty alt. — Kompozycja jest piękna i pełna. Miałeś bardzo miłe pragnienie.

— Kto mówi? — spytał bez zastanowienia chłopiec. Natychmiast zdał sobie sprawę, że powinien był milczeć, jeśli nie chciał się zdradzić jako obcy, ale było już za późno. Znowu usłyszał cichutki życzliwy śmiech:

— Widocznie jesteś bardzo młody. Specjalnie odrzuciłeś złotą nić, wiążącą cię z naszą

myślową wspólnotą, prawda? To nic złego. Zanim jako dojrzałe elementy geometrycznej jedności znajdujemy swoje miejsce w symetrii światów, stworzonej niezliczone pokolenia naszych przodków wewnątrz asymetrycznego kosmosu, często się buntujemy. Mimo to staraj się nie upuszczać tej nici. Możesz wywołać u siebie nazbyt konkretne pragnienia i spełniając je odbierzesz tym, którzy cię prowadzą, swobodę wyboru własnych wyobrażeń. Jestem strażnikiem...

— Strażnikiem?! — powtórzył mimo woli Bolek, chociaż dopiero co powziął postanowienie, że nie odezwie się już ani słowem.

— Oczywiście. Tylko strażnicy są upoważnieni do rozmawiania bezpośrednio z twoimi myślami. Taki sposób kontaktowania się z dziećmi nie jest dla nich miły, ale kiedy będziesz starszy, to sam zrozumiesz, że strażnicy są jeszcze, niestety, niezbędni. Przestrzeń wokół nas kusi i grozi równocześnie. A artyści, kuszeni i zarazem odczuwający lęk przed nieznanym, stają się niekiedy nieobliczalni. Ponieważ zaś nasza społeczność jest zbiorowiskiem artystów poszukujących stale nowych pragnień, musimy strzec osiągniętej harmonii i spokoju istot o uboższej wyobraźni. Musimy także dbać o to, aby jednostki nazbyt prężne nie posunęły się za daleko. Nie myśl o tym, co ode mnie usłyszałeś. Nasz świat nie jest jeszcze doskonały, ale ty na razie powinieneś się tylko dobrze bawić. Życzę ci miłego dnia.

Głos ucichł. Bolek potrząsnął głową raz, potem drugi, wreszcie westchnął:

Niby dlaczego tutaj każą nie myśleć o tym, że świat jest niedoskonały? I czy to ludzie mieliby być tymi „elementami geometrycznej jedności”? Artyści? Istoty o uboższej wyobraźni? Bzdury! Gdzie tu w ogóle są jakiegokolwiek istoty? Nic, tylko cudacznie podświetlone szkło! Co prawda, to szkło chwilami gada... Hmm... Tak czy owak, kręcą się tutaj jacyś strażnicy. Piłeczka nic o nich nie wspominała. I co ma znaczyć ta jakaś „złota nitka”, te pytania o kogoś, kto „prowadzi”? Czy tutaj nie ma przyzwoitych domów z rodzicami i dziećmi? I czy dzieciom tylko dlatego nie wolno

uciekać od tej złotej nitki, żeby rodzice nie musieli zaprzętać sobie głowy konkretnymi sprawami, bo powinni w spokoju zajmować się jedynie własnymi pragnieniami? Społeczeństwo artystów. Hm... No dobrze, ale kto w takim razie buduje gwiazdoloty i superautomaty? Całe szczęście, że będę tu tylko przez godzinę. Ciekawe, ile minut już minęło.

Niestety, opuszczając Ziemię, Bolek zapomniał spojrzeć na zegarek. Skoro jednak już się tu znalazł, to wypadałoby coś zobaczyć, a nie tylko słuchać milutkich głosików, wygadujących niestworzone rzeczy.

Chłopiec wyprostował się, wciągnął do płuc potężny haust pachnącego powietrza i powoli ruszył przed siebie. Przestrzeń wokół niego zaczęła się delikatnie mienić, jakby w jej kryształowej masie falowały cienkie pasemka kolorowych minerałów. Brązowa zasłona zniknęła, a wraz z nią perspektywa granatowego nieba.

Wszystko jedno — rzekł sobie w duchu chłopiec. — Jak tak będę szedł i szedł, to może w końcu dokądś dojdę...

Nagle usłyszał słabe buczenie, a raczej coś w rodzaju świergotu, jaki wydają cicho pracujące silniczki elektryczne. Ten odgłos przybliżał się błyskawicznie. Zaraz potem ktoś powiedział: — Popatrz, to przecież Ziemianin. Któryś z nich wyobraził sobie Ziemianina. Oni rzeczywiście już nic nie mają do roboty.

— Cóż dziwnego. Wszystkie prace za nich odwalamy. Zresztą, zamieniłbyś się? — rzekł drugi. Obaj rozmawiający byli z pewnością mężczyznami. Ich głosy brzmiały mocno i niemal normalnie.

— Tylko skąd właściwie tutejszy fantasta miałby wiedzieć, jak wygląda Ziemianin — zainteresował się osobnik, który przemówił jako pierwszy. — Czyżby to zrobił ktoś z naszej bazy kosmicznej?

— Wykluczone — padła odpowiedź. — Zresztą, ten Ziemianin nie jest wcale tak bardzo

udany... Popatrz... Jakiś chudy i minę ma nieszczególną. Tak wyglądają tam dzieci. W każdym razie tak wyglądały, kiedy opracowywano materiały przywiezione przez poprzednią ekspedycję. Kiedy wróci Zamknięty Krąg, przekonamy się, czy na Ziemi wszystko zostało po staremu.

— Mimo to — powiedział po chwili milczenia pierwszy — spróbuję poprawić tę figurkę. Niech ci nasi beztroscy wizjonerzy wiedzą, że byliśmy tutaj. Ktoś się pewnie oburzy, ale dzięki temu może spłynie na niego nowe natchnienie. Przecież niczego tak się u nas nie ceni, jak wzruszeń i wrażeń pobudzających wyobraźnię. Poczekaj...

Ostatnie słowo zabrzmiało tuż przy uchu „nieudanego” mieszkańca Ziemi, który jednak był zbyt przejęty nowym spotkaniem, aby obrazić się na niewidzialnych zuchwalców mówiących o nim z tak karygodnym brakiem szacunku. Wspominali o jakiejś bazie kosmicznej — kołatało mu w głowie. — Wiedzą, jak wyglądają ludzie. Pewnie to oni latają w kosmosie, zajmują się nauką i techniką oraz budują automaty. Od nich na pewno można by się czegoś dowiedzieć. Hm... Na razie biorą mnie za wytwór czyjejś wyobraźni. Czy bezpiecznie byłoby się zdradzać przed takimi specjalistami? A nuż potraktują mnie jak szpiega? W dodatku nie podoba im się moja mina...

Teraz dopiero Bolek skrzywił się z urazą. W następnym ułamku sekundy skrzywił się jeszcze bardziej, ale tym razem z czystego strachu. Poczul bowiem na swojej twarzy dotyk czegoś miękkiego i elastycznego, jakby dużej gąbki, która najpierw przylgnęła do jego nosa, ust i brody, a następnie zacisnęła się tam mocno, jak na pewno nie potrafiłaby żadna żywa gąbka zamieszkująca morskie głębiny.

— Uumue!!! — rozległ się w kryształowej ciszy rozpaczliwy okrzyk ofiary zdradzieckiej napaści. Okrzykowi temu towarzyszył gwałtowny skok do tyłu. Gąbka natychmiast cofnęła się także, ale zaraz wróciła. Teraz jednak nie próbowała już zmiażdżyć Bolkowi nosa. Oparła się tylko na jego głowie i znieruchomiała. Chłopiec wrzasnął znowu, ile sił w płucach:

— Ratunku! Nie chcę!

— On tu istnieje naprawdę! — stwierdził ze zdumieniem pierwszy z nieznanym. — On jest plastyczny! Dotykam go!

— Istota z Ziemi? Niemożliwe! Pokaż...

— Nie ma nic do pokazywania. Przecież ich pamiętasz. Razem zmykaliśmy krąg galaktyczny na ostatnim patrolu...

— Ratunku!!!

— On krzyczy — zauważył z niesmakiem drugi. — Czy mu się coś stało?

— Nie. Gdybyśmy go naprawdę uszkodzili, to nie mógłby tak ryczeć. Oni są znacznie bardziej uzależnieni od swojego ciała niż my. Przypuszczam raczej, że chce nam coś powiedzieć i złości się, że go nie rozumiemy.

— No, to lećmy z nim do bazy. Tam potrafią nawiązać; z nim kontakt. Wystarczy użyć najprostszego automatu przetwarzającego fale biologiczne.

— Tak zrobimy — zgodził się pierwszy napastnik. W tej samej chwili gąbka przeniosła się z czaszki Bolka pod jego plecy i siedzenie. Bohaterski podróżnik przez światy wrzasnął jeszcze głośniejsze, ponieważ poczuł, że opuszcza powierzchnię lądu i unoszony potężną siłą coraz prędszej pomyka w górę.

— Słuchaj, jemu jednak coś chyba jest? — ponownie zatroskał się drugi głos.

Cały orszak stanął w miejscu. Obyło się bez łagodnego wytracania szybkości czy hamowania.

Bolek po prostu błyskawicznie znieruchomiał. Stracił nawet na moment oddech, żołądek podszedł mu pod gardło, ale oprzytomniawszy nieco odczuł coś na kształt nikłego zadowolenia, że już nie leci.

— Poczekaj. Zastanówmy się — zaproponował teraz osobnik, któremu chłopiec zawdzięczał przerwanie pionowego lotu. — Skąd mógł się tutaj znaleźć żywy człowiek z Ziemi? To jedna sprawa. Natomiast druga wiąże się z tym, co powiedziałeś, przed chwilą. Jeśli oni naprawdę są

aż tak zależni od swojego ciała, to może muszą stale mieć wokół siebie atmosferę? A przecież my polecimy z nim do bazy satelitarnej przez przestrzeń kosmiczną. Czy to mu nie zaszkodzi, jeśli weźmiemy go tak jak jest, bez skafandra i butli z powietrzem? Tam, na Ziemi, oni zdaje się bez przerwy oddychają.

— Zaskodzi! — krzyknął przeraźliwie Bolek czując, że wszystkie włosy stają mu sztorcem na głowie. Chcą go ciągnąć ze sobą przez próżnię kosmosu?! W letniej koszulce bez rękawów?!

— Rzeczywiście, oddychają — odrzekł po namyśle pierwszy z porywaczy. — Ale chyba są już tak cywilizowani, żeby przetrzymać bez przykrości krótką podróż bez powietrza. Natomiast skąd on się tu wziął, jest rzeczywiście zagadkowe. Bo sami Ziemianie nie są jeszcze zdolni do pokonywania tras galaktycznych. Zwłaszcza że w naszym układzie nie wylądował żaden obcy statek, bo bazy orbitalne odkryłyby go natychmiast. Ciekawe...

— Poczekaj — głos długiego zadrżał z przejęcia. — Przecież w ich rejonie przeprowadza się teraz nowe badania. Nie wiesz przypadkiem, czy statek tej ekipy nadaje normalne sygnały?

— Wszystko wam powiem! — zawołał Bolek. — Posłuchajcie! Ja spotkałem pewien przedmiot należący do was! Puśćcie mnie! Nie mogę tak lecieć w kosmos!

— Czy nadaje sygnały? — powtórzył z wahaniem zagadnięty nie reagując na krzyki chłopca.

— Nie, nie wiem, czy nadaje. Mogę się jednak zapytać. Nawiążę łączność. Chwileczkę...

Chłopiec jęknął. Kiedy wreszcie minie ta feralna godzina, po upływie której znajdzie się znowu pod błękitnym niebem, bezpieczny i szczęśliwy, w przededniu podróży na wyspy na ślicznym ziemskim morzu?

— Miałeś słuszność — zabrzmiał ponownie głos. — Wczoraj baza straciła kontakt z patrolem i to akurat w chwili, gdy gwiazdolot wchodził w orbitę. Powiedziałem im o tym stworzeniu, które znaleźliśmy, a oni polecieli natychmiast dostarczyć go do pierwszego laboratorium satelitarnego.

Wygląda na to, że nasza ekipa straciła kontrolę nad automatami obronnymi i że przynajmniej

jeden z nich dostał się w ręce istoty mieszkającej na Ziemi... Wtedy zapewne ta istota zażądała, aby przeniesiono ją na naszą macierzystą planetę. Postanowiono natychmiast wysłać statek ratunkowy z żywą załogą, przedtem jednak szef bazy chce pogadać z tym tutaj. Liczy, że poda im dane dotyczące miejsca upadku automatu. Dzięki temu łatwiej będzie go odnaleźć. A więc...

— A więc — wpadł mu w słowo towarzysz — dość gadania. My i tak się z nim nie porozumiemy, bo on przecież nie ma pojęcia ani o wzmacnianiu pól mózgowych, ani tym bardziej o modulacji fal biologicznych. Lecimy do bazy.

— Lecimy.

Bolek poczuł, że jego ciało ponownie nabiera prędkości. Ogarnął go lodowaty ziąb. Świat dookoła nie był już sporządzony z subtelnie podświetlonego szkła. Stał się czarny, aksamitny, przepastny. Zabłyśły maleńkie gwiazdy. Chłopiec zaczął się dusić. Próbował jeszcze dać znać swym prześladowcom, że jeśli chcą się czegoś od niego dowiedzieć, to muszą natychmiast wrócić z nim na dół, ponieważ żaden człowiek nie przetrzyma kosmicznego spaceru bez specjalnego skafandra, ale nie zdołał nic powiedzieć. Zamknął oczy i stracił przytomność.

— Upłynęła godzina — oznajmiła pilleczka ze swego miejsca w rogu balkonu. — Minął czas, jaki zgodnie z poleceniem miałeś spędzić w świecie, z którego przybywam. Automat jeden, jeden, dwa, jeden, dwa, dwa informuje, że podczas twojej nieobecności nikt nie próbował nawiązać ze mną kontaktu.

Bolek powoli uniósł powieki. Jeszcze z trudem chwycił gorące czerwcowe powietrze, jeszcze mimo woli szukał nad sobą gwiazd w czarnym aksamicie obcego nieba, jeszcze kulił się, jakby nadal leciał przez lodowatą próżnię. Minęła dobra minuta, zanim jako tako przyszedł do siebie. A przyszedłszy do siebie, zamiast się ucieszyć ze szczęśliwego powrotu, wpadł, w furję:

— Ładnie mnie urządziłeś! — wydyszał. — Najpierw utknąłem wewnątrz jakiegoś szklanego słoja, który niby był przezroczysty, ale nic nie widziałem. Ani kawałka tej twojej planety. Coś do

mnie wprawdzie gadało, tyle że zupełnie od rzeczy. Życzono mi miłych pragnień. Potem przyszedł jakiś strażnik. Z tym przynajmniej mogłem się porozumieć, co wcale nie znaczy, że powiedział mi coś mądrego o waszym świecie. Myślał, że jestem dzieckiem, i pouczał mnie, żebym pilnował jakiejś „złotej nitki”. Też coś! Zrozumiałem tyle, że tam mieszkają sami artyści, zajmujący się wyłącznie wymyślaniem czegoś, co i tak nigdy nie będzie istnieć naprawdę. A po strażniku pojawiły się jakieś dwa typy spod ciemnej gwiazdy i choć słyszeli, że krzyczałem, to porwali mnie ze sobą i ponieśli ponad atmosferę. Nie mieli żadnego pojazdu i nie dali mi nawet skafandra. A ty mówiłeś, że nie spotka mnie tam nic nieprzyjemnego. Dobrze sobie! Jeszcze chwilka, a byłbym teraz wędrującą pod gwiazdami kupką lodu.

— Przepraszam — rzekł łagodnie Jeden–Jeden. — Nie przewidziałem, że spotkasz pracowników bazy kosmicznej. Oni przebywają przeważnie na satelitach i bardzo rzadko odwiedzają planetę. Co do kontaktów z jej stałymi mieszkańcami, to ostrzegałem, że ich nie zrozumiesz. Cywilizacje we wszechświecie ogromnie różnią się od siebie. Tu i ówdzie Ziemiainin nie odgadłby nawet, że przebywa w zamieszkałej krainie. U nas na przykład panuje idealna harmonia, ale jej twórcą jest za każdym razem jeden osobnik. Harmonia ta dotyczy wyłącznie jego. Widok krajobrazu wspólny dla wszystkich byłby zakłóceniem praw jednostki. Dlatego ty, jako przybysz z zewnątrz, nic nie widziałeś.

Bolek wzruszył ramionami.

— Też mi harmonia! — burknął. — I cóż by mi z tego przyszło, że oglądałbym sobie najpiękniejsze rzeczy czy widoczki, jeśli istniałyby one jedynie w mojej wyobraźni i nie mógłbym z nikim o nich porozmawiać? Jeszcze nie zwariowałem... chociaż to z pewnością nie twoja zasługa — zakończył.

— Zgodnie z informacjami, jakie wniesiono do mojej pamięci, sama natura ma charakter asymetryczny — odrzekła piłka. — Tam skąd pochodzę harmonia tworzona jest sztucznie, a jej

osią bywa zawsze pojedyncza rozumna istota. Tutaj, na Ziemi, istnieje ład zbiorowy. Niestety, nie rozporządzam zespołami ocen wartości, nie potrafię powiedzieć, co jest lepsze, a co gorsze.

Wracając do twojej przygody, miałeś doprawdy szczęście...

— Raczej pecha — wtrącił ponuro chłopiec.

— Prawdopodobieństwo spotkania z pracownikami baz kosmicznych wynosiło jeden do miliona. Oni mają odmienny stosunek do mieszkańców innych planet. Stale latają do różnych światów i poznają ośrodki życia, w których rozpoznanie istot rozumnych wymaga nieraz długich obserwacji.

— Co do człowieka, to chyba nie jest aż tak okropnie trudne — zauważył jeszcze bardziej ponuro Bolek.

— Gdyby wiedzieli, skąd przybywasz...

Chłopiec drgnął:

— Wiedzieli! — zawołał. — Domyślili się... a raczej nie, oni już tutaj byli. Tak powiedzieli!

Poza tym odgadli, że jestem u nich dzięki tobie, to znaczy, że wasz statek miał awarię, w wyniku której rozsypały się piłki... przepraszam, automaty, i że jeden z nich wpadł w ręce ludzi. Chcieli polecieć ze mną do jakiejś bazy, która właśnie organizuje wyprawę ratunkową.

— W takim razie wkrótce przybędą na Ziemię.

Bolek przez chwilę nic nie mówił, tylko wpatrywał się w kulisty przedmiot z taką uwagą, jakby ujrzał go po raz pierwszy w życiu.

— Co wtedy będzie? — spytał w końcu.

— Najprawdopodobniej odnajdą uszkodzony gwiazdolot. Trafiają do niego, ponieważ w razie katastrofy każda z jego części wysyła specjalne sygnały.

— Czy ty także cały czas wysyłasz jakieś sygnały?

— Nie. Jestem samodzielnym automatem obronnym. Nie należę do elementów statku.

— Więc ciebie nie znajdą?

— Nie mam pewności. Będą mnie jednak szukać.

— A w jaki sposób mogliby do ciebie trafić?

— Obliczając tor upadku z miejsca gdzie nastąpiła awaria. Teoretycznie możliwe jest również zlokalizowanie punktu, gdzie następuje początek zmiany wariantów czasoprzestrzeni.

— Rozumiem — Bolek skrzywił się niechętnie. — A co zrobią, jeśli tu przypadkiem przybędą?

— Zabiorą mnie z powrotem.

— Czy wtedy babcia znowu będzie chora? To znaczy, czy zmieni się cały obecny świat, który już sam uznałeś jako wyjściowy?

— Tak. Anulują wprowadzone zmiany. Na to nic nie poradzę. Oni mają bezwzględne pierwszeństwo wydawania poleceń. Poza tym mogą mnie w każdej chwili przeprogramować. Bolek znowu zastanawiał się przez jakiś czas.

— No dobrze, przypuśćmy, że łatwo byłoby im odnaleźć cię tutaj, u mnie. A gdybym pojechał razem z tobą w jakieś inne miejsce? Daleko stąd.

— Nie potrafię przewidzieć, jak mogłoby to wpłynąć na poszukiwania. Czy chcesz mnie przenieść?

— Owszem. Na bezludną wyspę Morza Egejskiego. Wezmę cię ze sobą na wakacje.

Wyruszymy już pojutrze. Zobaczysz, jak będzie fajnie!

— No i co? Lepiej ci trochę? Widzę, że tak, bo nic nie robisz, czyli zachowujesz się normalnie

— zabrzmiał w tym momencie głos babci Miłej, która weszła do pokoju taszcząc cztery wielkie słoje napełnione marynatami. Bolek skoczył, żeby pośpieszyć babci z pomocą, ale jego dobra wola nie znalazła zrozumienia.

— O nie! Nie po to się męczyłam, żebyś zaraz wszystko rozwalił. Poza tym te słoiczki nie są

wcale ciężkie — to chytre kłamstwo zostało wypowiedziane niejako na zapas. Babcia przewidywała bowiem, i zupełnie słusznie, że jej syn, a ojciec Bolka, kończąc pakowanie rzeczy w samochodzie, będzie się łapał za głowę i używał wszystkich możliwych sposobów, aby przekonać współtowarzyszy wyprawy o fizycznej niemożliwości załadowania do osobowego fiata całego dobrze zaopatrzonego sklepu spożywczego.

Na razie jednak jej syna nie było jeszcze w domu, a wnuk ograniczył się do pełnego wyrzutu mruknięcia: „nic bym nie potłukł”. Babcia ostrożnie ustawiła swoje skarby na podłodze, po czym odsapnęła, wyprostowała się i spojrzała na Bolka ze zwycięskim uśmiechem.

— Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie wyjedziemy — powiedziała wesoło. —

Sprawdź jeszcze raz, czy wszystko zabrałeś. Nie zapomnij o masce do nurkowania i płetwach dla mnie. Nie wiem czemu, ale czuję się tak, jakby mi dziesięć lat ubyło.

Nie dziesięć, tylko pięć — chciał sprostować chłopiec. Na szczęście w ostatniej chwili ugryzł się w język. Udało mu się nawet zachować powagę, chociaż miał szczerą ochotę parsknąć głośnym śmiechem, co z pewnością nie zostałoby przychylnie przyjęte przez sędziwą amatorkę nurkowania. Nie powiedział więc nic, poszedł od razu do przedpokoju i wyciągnął z pawlacza jeszcze jeden komplet sprzętu pływackiego.

Tata zwariuje — pomyślał z uciechą, rzucając ciężkie płetwy na piętrzący się w przedpokoju stos kolorowych pakunków.

Jednak tata, przyszedłszy do domu razem z mamą, którą spotkał po drodze, zachował niezmaconą pogodę ducha. Oczywiście nie wiedział o chorobie babci Miłej, bo ta choroba istniała w dawnym świecie. No i był wesoły właśnie jak tata, któremu nagle ubyło pięć lat. Już od progu zawołał:

— Ale pogoda, co?! Mamy trening przed słońcem Olimpu! A propos, czy wiecie, że z naszej Klio widać Olimp? Będziemy biwakować pod opieką wszystkich greckich bogów. Co z

obiadem? — zmienił temat. — Nie jadłem dzisiaj w stołówce. Jestem głodny jak wilk.

— Mała dietka przyda ci się przed podróżą — orzekła jego żona. — Zauważyłam, że twoje letnie spodnie zwęziły się podejrzanie od ubiegłego roku. Ale niech będzie. Przygotuję coś do jedzenia, jeśli mama pozwoli mi wejść do swojego królestwa.

— Niechętnie. Bardzo niechętnie — dobiegł z kuchni głosi babci. — No, ostatecznie weźcie sobie po kromce chleba. Byle szybko!

— Chleb tuczy — powiedział szybko pan domu. — Taki obiad nie wyjdzie na zdrowie moim spodniom.

Obiad był jednak znakomity. Mamie udało się bowiem zmylić strażę, to znaczy pod jakimś pozorem wywabić z kuchni, babcię Miłę, i z przygotowanego do zamarynowania mięsa przyrządzić pyszny gulasz po węgiersku. Babcia, zasiadłszy przy stole, natychmiast odkryła zbrodnię, ale wzniosła tylko oczy ku niebu i nic nie powiedziała.

Bolek, który przezornie umieścił swój czarny automat w szufladzie biurka, popadł w głębokie zamyślenie. Teraz, kiedy siedział przy stole razem z rodzicami i babcią, wydało mu się zupełnie niemożliwe istnienie innych światów, a już zwłaszcza takich, w których każdy sam dla siebie tworzy jakąś własną „harmonię” i troszczy się wyłącznie o to, żeby mu nikt nie przeszkadzał, gdy wymyśla piękne „pragnienia” i gdy potem udaje, że te pragnienia zaspokaja.

Właśnie udaje, bo przecież nie robi tego naprawdę. I cóż by to miało za sens żyć w takim świecie. Równie dobrze można by odbywać najpiękniejsze podróże, choćby do Grecji, jedynie we śnie. I to samemu, bez jednej przyjaznej duszy, tak że nie byłoby ani z kim popływać, ani pogadać, ani posiedzieć przy ognisku.

Chłopca uderzyła głęboka cisza, jaka zapanowała przy stole. Rozejrzał się po twarzach współbiesiadników i zrozumiał, że ostatnie zdanie musiał wypowiedzieć na głos.

— Nic, nic — rzekł szybko.

Henryk Milej westchnął.

— Świecie, świecie — pokręcił głową. — Tu mowa o niewysłowionych rozkoszach, jakie czekają nas na pięknym Morzu Egejskim, a ten myśli o niebieskich migdałach. Spakowałeś chociaż swoje rzeczy? Pamiętaj, że odpowiadasz za sprzęt.

— Wszystko jest przygotowane — mruknął Bolek. — Żebyś tylko zdołał zabrać to do auta.

— Dla mnie też ma być maska do nurkowania i płetwy — przypomniała babcia. — Inaczej zabiorę je któremuś z was.

— Chcesz pływać z nami? — zdziwił się nieopatrznie pan domu.

— A po co niby jeździ się na wyspy? Pływałam, kiedy was jeszcze nie było na świecie!

Pan Milej znowu westchnął.

— W takim razie weź dla mamy dwa kostiumy — powiedział do żony — żeby mogła przebrać się po kąpieli. Tam będzie wprawdzie bardzo ciepło, ale mimo wszystko trzeba uważać...

— Jajo mądrzejsze od kury! — burknęła w odpowiedzi babcia. — Twój tata — zerknęła porozumiewawczo na Bolka — raz jeden dostał ode mnie łanie. Miał wtedy cztery lata. Byliśmy na wakacjach, nad morzem. Pod wieczór, kiedy zachodziło słońce, nigdy nie mogłam wyciągnąć go z wody. Ryczał jak osioł, tylko głośniej. Usłyszysz w Grecji ryk osłów, to zrozumiesz, co wtedy działo się na plaży. Pewnego dnia, gdy po nieopisanych męczarniach udało mi się go wreszcie wywlec na brzeg, wytrzeć i przebrać, skorzystał z mojej chwilowej nieuwagi, aby wleźć z powrotem do morza w butach, spodniach, koszuli i sweterku. Nic wtedy nie powiedziałam, odwróciłam się jakby nigdy nic i poszłam do domu. Mój przyjemniaczek taplał się jeszcze chwilę, ale potem zaraz pobiegł za mną. A ja udawałam, że go nie widzę. Zaczął mnie przepraszać, potem szlochać jak bóbr. Ja dalej nic. Z kamienną twarzą szłam prosto przed siebie. Dopiero w domu rozebrałam go i wlepiłam... no, co wlepiłam, to wlepiłam. A teraz on mnie

poucza, co mam zrobić po kąpieli, żeby się nie przeziębic. Koniec świata!

— Koniec świata! — zaśmiał się trochę nieszczerze ojciec. — Bolku, nic nie słyszałeś, prawda?! Bo gdybyś przypadkiem usłyszał, to byłoby bardzo niepedagogiczne.

— Niepedagogiczne. A kiedy przy dziecku robisz aluzje do wieku twojej matki, dziwiąc się, że jeszcze ma ochotę pływać, to niby jest pedagogiczne? Właśnie, że będę pływać i wracać do obozowiska tylko wtedy, kiedy zawołacie mnie na gotowy obiad. Ja także jadę na wakacje. Dość mam napychania waszych brzuchów przez cały rok.

— To co robią w przedpokoju te weki, puszki, słoje i paczki? — spytała z uśmiechem mama.

— To wszystko dla mnie — odrzekła bez chwili namysłu babcia. — Po baraszkowaniu w wodzie będzie mi się chciało jeść. A wy gotowicie mnie głodzić. Nie potraficie przecież zrobić nawet porządnej jajecznicy.

— Nieprawda! — wyrwało się Bolkowi. — Jajecznicę smażę taką, że na obozach wszystkim ślinka cieknie.

— aTak, ale tam nie będzie kurzych jajek. Tylko łabędzie.

— Coś się mamie pomyliło — stwierdził ze śmiertelną powagą ojciec.

— Nic mi się nie pomyliło. Mówiliście przecież, że z tej wyspy widać Olimp. A pod Olimpem zawsze znajdowano łabędzie jajka. Z jednego wykluli się nawet ludzie czy jacyś bogowie.

— To całkiem nowa wersja mitu o Zeusie i Ledzie — zauważyła mama. — Będziemy ją musieli opowiedzieć Uranisom. Nie wiem jednak, czy z tego rodzaju surowców wypadałoby robić jajecznicę. Byłoby to coś w rodzaju ludożerstwa.

— Dlatego zabieram jedzenie — odparowała z żelazną logiką babcia.

Wszyscy się roześmieli, a ojciec Bolka zawołał:

— Świecie, świecie! Na następny urlop wybiorę się sam jak palec i nie zostawię wam nawet adresu. Przynajmniej nikt mi nie będzie przypominał, że miałem niedobrą matkę, która mnie

katowała, kiedy byłem malutki. Poza tym — w oczach taty odbiło się rozmarzenie — poza tym może i ja spotkam jakąś cudowną, białą łabędzicę.

Bolek przestał przysłuchiwać się rozmowie, choć przybrała nader interesujący obrót. Wszyscy w domu są dzisiaj tacy weseli i zadowoleni z życia. Dlaczego tak nie może być zawsze? Czy koniecznie trzeba aż „przesiąść się” do innego świata przy pomocy kosmicznej piłeczki, żeby widzieć wokół siebie szczęśliwych ludzi?

Bo zwykły powszedni dzień w zwykłym prawdziwym świecie nie był wcale tak różowy, jak by człowiek mógł sobie życzyć. Tato, który sam o sobie mówił, że jest w gorącej wodzie kąpany, zbyt często wpadał w pasję i pokrzykiwał. Prawda, że złość mijała mu tak szybko, jak przychodziła, jednak musiał upłynąć pewien czas, zanim z rodzinnego nieba zniknęły ostatnie ślady chmur. Z kolei mama miała zwyczaj narzekania na codzienne czynności, na brak atrakcyjnych rozrywek i miłych wrażeń, a robiła to najczęściej wówczas, gdy tato wpadał w szal pracy i od świtu do nocy stukał na maszynie. Maszerowała po mieszkaniu z kąta w kąt sztywno wyprostowana. Zagadnięta o coś, odpowiadała albo mrukliwymi monosylabami, albo wygłaszała sążniste przemówienia, w których jej syn, a nierzadko i mąż, występowali jako wcielenie bałaganiarstwa i egocentryzmu. Babcia... o, babcia to zupełnie inna historia. Pokpiwała sobie wprawdzie nader chętnie ze wszystkich i ze wszystkiego, czyniła to jednak tak, że nigdy nikogo nie uraziła. Ale gdy ojciec się złościł lub gdy mama narzekała na swój nieszczęsny los kobiety zepchniętej na margines życia, wtedy babcię bolała wątroba i musiała polegiwać. Zresztą, nawet w dniach miłych i beztroskich, chociaż nigdy się nie skarżyła, często było widać po jej przybladłej twarzy, że czuje ciężar przeżytych lat. Poza tym i mama, i tato nierzadko wracali z pracy ani źli, ani zrzędlivi, tylko przybici.

A teraz w domu tak sympatycznie i wesoło. Aż szkoda, że te ca sprawą piłeczki, która spełniając życzenie Bolka przeniosła go w świat, w którym mama nie będzie zrzędzić, tato

krzyczeć, babcia chorować...

Właśnie — chłopiec wrócił w swoich rozważaniach do punktu wyjścia — przecież tak niewiele trzeba, aby czuć się szczęśliwym bez interwencji jakiegoś tam nieziemskiego automatu. Najtrudniej byłoby uzdrowić babcię, chociaż kto wie... Gdyby zawsze w życiu mogła się tylko uśmiechać, gdyby nikt nie robił jej przykrości, to pewnie do dziś nic by nie dolegało i wcale nie trzeba by jej odmładzać, bo po prostu starzałaby się o wiele wolniej. — Świecie, świecie! — wyrwało się Bolkowi.

— Co? Przedrzeźniasz starego ojca? — spytał redaktor Milej.

— Nie przedrzeźnia, tylko bierze przykład — sprostowała mama, zanim chłopiec zdążył się wytłumaczyć. — Robi to zresztą od trzynastu lat.

— A niby czegoż mógł się w tym domu nauczyć? — zauważyła z ubolewaniem babcia. —

Przy dyplomowanym szarlatanem, jako że wszyscy lekarze, którzy nie potrafią wyleczyć zwykłego kataru, są szarlatanami, a jak ich coś boli, idą ze złości do kolegi, bo chcą mieć przynajmniej satysfakcję, że on także nic nie umie. No, i przy zawodowym naprawiaczu świata, czyli dziennikarzu. Tylko wzdychać. On nikogo nie naśladuje. To wypływa mu prosto z serca.

Rozumiem go doskonale.

— Mama jest dziś niemożliwa — rzekł z uśmiechem ojciec. — Chociaż, jeśli chodzi o lekarzy...

— O to, że czasem chorujesz — wtrąciła słodkim głosem mama — nie powinieneś mieć pretensji akurat do mnie. Jak wiesz, nie jestem psychiatrą...

— Świecie, świecie! — zawołał pan domu. Natychmiast jednak spojrzał na syna i wybuchnął głośnym śmiechem.

Wkrótce po obiedzie Bolek znowu został sam w pokoju. Parę minut stał nad mapami krajów, przez które mieli przejeżdżać w drodze do Salonik. Przejrzał raz jeszcze listę sprawdzając po raz

setny, czy nie zapomniał o jakimś ważnym drobiazgu należącym do powierzonego jego pieczy sprzętu biwakowo–sportowego. Następnie przeciągnął się leniwie i powoli wyszedł na balkon. Upał był jeszcze większy niż przed południem. Ludzie wracający z pracy do domu snuli się noga za nogą. Nad stawami zebrał się już taki tłum, jak na stadionie w czasie pasjonującego meczu.

Bolek wyobraził sobie, że jest na plaży i wchodzi do chłodnej czystej wody. Zanurza stopy, kolana, wreszcie rzuca się przed siebie zgrabnym szczupakiem i płynie, płynie...

Podróż przez Czechosłowację, Węgry, Jugosławię i Grecję byłaby na pewno niezapomnianą przygodą. Ale i tak przecież będą musieli przebyć tę trasę w drodze powrotnej. A więc może...

Pokiwał głową, jakby przytakując własnym myślom. Następnie szybko wrócił do pokoju, wyjął z szuflady piłeczkę, schował ją głęboko do kieszeni dzinsów i zawołał:

— Świecie, świecie! Niech wszystko na Ziemi zostanie tak jak jest teraz, tylko my bądźmy już na tej wyspie, którą pan Uranis nazwał Klio. Oczywiście z całym bagażem. Niech obóz będzie już rozbity, a ja niech stoję właśnie nad brzegiem morza. No, hop!

AMFORA

— Świecie, świecie! — powtórzył Bolek tonem najszczerzego zachwytu.

Niebo nad nim wyglądało tak, jakby wykuto je z czystego kryształu, i chłopiec w pierwszej chwili musiał pomyśleć o dziwnej planecie, z której przybyła jego czarna piłka. Było to jednak uczciwe ziemskie niebo: lazurowe, pełne słońca, sięgające wygiętej linii horyzontu, gdzie szmaragdowe morze zmieniało barwę wpływając w smugę jasnioletowej mgiełki.

Maleńka zatoczka w kształcie wydłużonej podkowy wrzynała się w ciemne skały wyspy. Na lewo sterczała groźna, wysoka ściana, z której wierzchołka zwisały gałęzie zdziczałych drzewek figowych i krzewów obsypanych kwiatami. Z prawej strony luźne głazy pięły się nieregularnymi tarasami ku półokrągłej grani. Owe głazy, nie licząc pojedynczych kępek kolczastej trawy oraz mchu, były zupełnie łyse i niemal tak białe jak zaszuszone kości przedpotopowych gadów. Tylko w jednym miejscu, tu gdzie właśnie stał Bolek, fale marszcząc się na płyciźnie obmywały sierpowaty placyk tworzący miniaturową plażę.

Nagle za plecami świeżo upieczonego wyspiarza rozległo się wysoce podejrżane parsknięcie. Bolek chciał się odwrócić, ale nie zdążył. Pchnięty przez coś, co natarło na niego z impetem rozpędzonego słonia, wystartował jak ptak i przeleciawszy kilkanaście metrów wylądował na brzuchu w wymarżonym Morzu Egejskim. Na szczęście zatoka była płytka, a jej dno pokrywała ubita warstwa drobniutkiego żwiru. Chłopiec zerwał się błyskawicznie, odwrócił i zanurzony po pas przybrał pozycję bokerską. Jeszcze minutę temu oddałby nie wiadomo co, aby znaleźć się w wodzie. No dobrze, ale przecież nie w sandałach, koszuli i spodniach, których kieszeń wypychał czarny przedmiot, posiadający bezcenne właściwości.

Tknięty lękiem o cudowną piłeczkę Bolek, zamiast od razu przystąpić do rozprawy z napastnikiem czy napastnikami, lekko dotknął kieszeni.

— Nic ci się nie stało? Hej, automacie?!

— Oczywiście, że nie — odezwał się znajomy głos. — Jestem odporny na działanie składników, jakie zawiera ciecz, w której się znalazłem.

Uspokojony posiadacz biletu z przesiadką do wszystkich światów teraz dopiero ruszył w stronę brzegu. Jego dłonie znowu zwały się w pięści.

Usłyszał głośny śmiech przypominający rzenie dwóch koni, z których jeden mógłby być potężnym ogierem, a drugi młodziutkim źrebięciem. Bolek lubił konie, a zwłaszcza źrebięta, mimo to jednak nie spojrzął na osoby, które stały na wprost niego, tuż nad brzegiem morza, i które skądinąd na pewno nie były końmi. Jego wzrok poszybował wyżej, ponad plażę, ku niewielkiej zielonej łączce, okolonej głazami i odłamkami skał. W głębi po białych kamieniach jak po pokruszonych stopniach starożytnego amfiteatru spływał strumyk, podobny do warkocza uplecionego ze srebra. A bliżej, pośrodku dolinki, stały dwa prostokątne namioty, z podniesionymi i połączonymi okapami, tworzącymi dużą werandę. Były tam leżaki i krzeselka turystyczne, dwa stoły, dwie kuchenki gazowe, a także, na specjalnie ułożonych płaskich kamieniach, naczynia, garnki i kubki. Słowem, całe biwakowe gospodarstwo. Przed jednym z namiotów siedziała babcia i pracowicie układała coś w pomarańczowym rondlu. Tuż obok, na rozłożonym polowym łóżeczku, leżała kobieta w białym kostiumie kąpielowym, z twarzą osłoniętą lekkim włóczkowym kapeluszem z olbrzymim rondem.

Więc to jest nasze obozowisko na Klio — stwierdził w duchu Bolek. — Jestem tutaj.

Naprawdę jestem. Ale fajnie!

Na plaży znowu zabrzmiał radosny śmiech. Chłopiec natychmiast przypomniał sobie, że uległ haniebnej napaści, i rzucił się w stronę brzegu.

— Eo, Belik, hrangzankran! — dobiegł go wesoły okrzyk, który w rzeczywistości brzmiał może trochę inaczej, ale tak czy owak, był najzupełniej niezrozumiały.

— Losnoskokos! — odpowiedział drugi głos.

— Dobrze, dobrze — zamruczał Bolek. Zatrzymał się stojąc w płytkiej ciepłej wodzie, wodził wzrokiem po dwóch smukłych sylwetkach widniejących na Skraju plaży.

Oczywiście, Uranisowie. Córka i syn przyjaciela ojca, znanego greckiego archeologa. A ta pani w białym kostiumie to z pewnością ich matka. Żeby jeszcze wiedzieć, co oni do mnie wykrzykują...

Jednak niezależnie od tego, co chcieliby mu powiedzieć sprawcy przymusowej kąpeli, Bolek od razu zrozumiał, że zemstę będzie musiał odłożyć na później. Przecież on dopiero przed chwilą kazał się automatowi przenieść w ten świat, który tutaj istniał już nie wiadomo jak długo. Może przyjechali do Grecji wczoraj, a może tydzień temu? W obozowisku zdążyły się zapewne przyjąć pewne obyczaje i kto wie, czy przymusowe kąpanie gapiów nie należało do codziennego rytuału. A jemu nie wolno wyjawić, że w tym miejscu jest od teraz. Więc najlepiej nie robić nic i udawać, że wszystko jest w porządku.

Na razie przyjrzał się uważnie rodzeństwu Uranisów. Chłopiec był średniego wzrostu, szczupły, z kruczą czupryną. Miał na sobie żółte spodenki kąpielowe i białe gumowe pantofle. Prawą rękę trzymał wyciągniętą i wskazując Bolka śmiał się od ucha do ucha. Natomiast jego siostra...

Ona również się śmiała, ale jej głos brzmiał zupełnie inaczej. Inaczej, bo... po prostu prześlicznie. Zresztą, jak miałyby się śmiać osóbką zgrabna jak sama Afrodyta, która zresztą nie tak daleko stąd wyszła ponoć kiedyś z morskiej piany. Osóbką opalona na kolor ciemnooliwkowy, o długich włosach i ciemnych oczach, stojąca z lekko uniesionymi ramionami, w niezwykle wdzięcznej pozie, godnej dłuta rzeźbiarza. Tylko skończonemu idiotcie mogło się nasunąć porównanie ze żrebakiem — pomyślał Bolek ze złością.

Jasne, że nawoływania, które przed chwilą usłyszał, musiały znaczyć coś, na co on powinien znaleźć mniej więcej dorzeczną odpowiedź. Pięknie. Co jednak należy odpowiedzieć Afrodycie,

która mówi: „eo Belik, hrangrankran”?! „Belik” to pewno ja — odgadł. — Ale reszta?

Chłopiec sposepniał. Na domiar złego zauważył, że stojąca na brzegu para zaczyna przejawiać oznaki zniecierpliwienia. Pewnie. Stanowczo minął czas, w jakim Uranisowie spodziewali się dowiedzieć, co ofiara ich napaści sądzi o nich samych i ich niegodziwym postępku. No i dowiedzieli się wreszcie.

— Rotunda bualla bang! — przeszył cichą zatoczkę straszliwy okrzyk, w którym brzmiały złość i groźba, ale nade wszystko ostateczna desperacja.

Sylwetki na plaży zakołysały się niespokojnie. Na szczęście w tyra właśnie momencie zza namiotów wyszła jeszcze jedna kobieta. Z uczuciem niewysłowionej ulgi Bolek poznał własną mamę.

— Bolek?!

— Jestem tutaj.

Obie postacie stojące nad zatoczką odwróciły się twarzami w stronę przybyłej. Dobiegł głos przyciszonej rozmowy.

— Eli i Pelos chcieliby wiedzieć, dlaczego w największy upał przychodzisz nad morze ubrany i w ogóle, co się z tobą dzieje? — przetłumaczyła mama.

— Nic się nie dzieje — odrzekł bez przekonania zapytany. — Nic się nie dzieje — powtórzył po chwili do siebie. Powiedzmy, że nic. Eli i Pelos. Aha. Pelos to chłopiec. A Eli... — rozmarzył się w duchu. — Jakie śliczne imię!...

Mama znowu zniknęła Bolkowi z oczu, kryjąc się za namiotami. Eli i Pelos nie odzywali się już. Stali obok siebie i patrzyli na kolegę z obcego kraju, który tkwił po kolana w wodzie ubrany jak na spacer po mieście i sprawiał wrażenie, jakby głęboko rozmyślał o istocie świata i sensie życia.

A Bolek rzeczywiście myślał. Wreszcie wyprostował się, delikatnym ruchem dotknął kieszeni

i powiedział cicho:

— To był paskudny kawał. Skoro przeniosłeś mnie na Klio, to mogłeś pamiętać także o spodenkach kąpielowych. Jak teraz Wyglądam?

— Tak samo, jak wyglądałeś w poprzednim wariancie załamania czasoprzestrzeni — odpowiedział głos wewnątrz jego głowy. — Przecież nic nie miało się zmienić poza tym, żeby wasze wakacyjne plany były zrealizowane.

— Chciałem się wykąpać — burknął chłopiec — ale nie w ubraniu. W dodatku nic nie wiem o obozowisku. Wyszedłem na durnia. Dokąd na przykład pójdę po wodę... — tu jego wzrok padł na wpływający w dolinę potok. — Gdzie będę spał... — w głębi pierwszego namiotu dostrzegł trzy składane łóżeczka, z których jedno, wysunięte do przodu było przykryte jego własnym śpiworem. — Jak tu się pływa — zatoczył ręką łuk i w tym momencie ujrzał wyciągnięte na brzeg dwie gumowe łodzie, a obok nich pontony, z których sterczały płetwy, maski i fajki do nurkowania. — No, w ogóle! — zakończył ze złością. — Poza tym niby jestem tutaj od dawna, więc wszyscy mnie znają, a ja ich nie. Mam się przedstawić na nowo? I po jakiemu? Po polsku?

— Przecież są z tobą twoi rodzice i babcia — zdziwiła się łagodnie piłeczka. — Oni cię znają.

— No, a pozostali?! Pan Uranis, jego żona, Pelos i... Eli?

— Istotnie, oni mówią innym językiem niż ty. Nie rozumiem tego. Przecież mieszkacie na jednej planecie...

— No to co? Ta planeta jest dosyć duża. A u was... — tu przypomniał sobie, że w kryształowym świecie konstruktorów czarnych automatów nikt w ogóle nie mówi, przynajmniej w ludzkim znaczeniu tego słowa, i spochmurniał jeszcze bardziej. Gdyby tak mieć te wzmacniacze... czego to? Fal biologicznych? Eee, do licha z wszystkimi falami! — Chciałbym z nimi normalnie rozmawiać! — zażądał. — Nie przy pomocy jakichś małpich okrzyków!

— Małpich? Owszem słyszałem o takich stworzeniach. One są bardzo podobne do ludzi.

Sądzę jednak, że czymś powinny się różnić od istot rozumnych. Niestety, na ten temat nie posiadam szczegółowych informacji.

— Może to i lepiej — bąknął chłopiec. — A czy nie wiesz przypadkiem, w jakim języku rozmawiają z nimi mój tato i mama?

— Nie...

— Ale ja wiem! — przerwał Bolek. — Zupełnie zapomniałem. — Przecież gdy przyszedł list z propozycją spędzenia wspólnych wakacji na Klio, ojciec wspomniał, że cała czwórka Uranisów mówi biegle po angielsku. Dodał też z dumą, że on sam będzie się mógł porozumieć w ich ojczystym języku. Nie darmo tak długo mieszkał w Atenach. — Wiem — powtórzył. — Uważaj, piłko... to znaczy, automacie! Wprowadźmy poprawkę do tutejszego świata. Niech ja mówię po angielsku... i po grecku — dodał zuchwałe. — Tylko tak, żeby nikt nie był zdziwiony.

— Jeśli przeniesiemy się do świata, w którym ty, jako mój dyspozytor, będziesz znał język angielski i grecki, to obecni tu ludzie musieli przebywać w tym świecie od jego początków. Nikt się niczemu nie może dziwić.

— No, to hop.

— Słucham?

— Powiedziałem przecież! Mówię po angielsku i po grecku! Aha, wiem, wiem — zreflektował się. — Świecie, świecie... już!

Morze zaszumiało. Słońce chyliło się powoli ku zachodowi, a spod słońca wielkiego i rumianego jak czarodziejskie jabłko, przypląnęła nagle wysoka, pojedyncza fala. Uderzyła Bolka i zrosiła jego włosy drobnymi kropelkami. Następnie z sykaniem i mrużeniem cofnęła się.

Chłopiec podskoczył, klasnął w dłonie i pobiegł przez wodę prosto w stronę rodzeństwa

Uranisów. Zatrzymał się tuż przed nimi, nabrał do płuc powietrza i siląc się na obojętny ton powiedział:

— Przepraszam. Stałem sobie na brzegu i... no, stałem sobie na brzegu — wyznał postępując się płynnie piękną mową spadkobierców wielkiego Homera. — A więc stałem sobie i myślałem — rzekł jeszcze raz chłopiec. — Wcale nie miałem zamiaru pływać. Dlatego przyszedłem w ubraniu.

Twarze Eli i Pelosa Uranisów odrobinę pojaśniały. Najwidoczniej fakt, że osobnik w niebieskiej koszuli zechciał wreszcie wyjść na plażę, podziałał na nich uspokajająco. Chwilę później Pelos zaśmiał się już po swoim, to znaczy tak, że wzgórze wokół polanki odpowiedziały gromkim echem.

— Stałeś? To pięknie! Mój tato także czasem się zamyśli, kiedy przypomni sobie jakiś grobowiec sprzed dziesięciu tysięcy lat albo szczególnie poczwarną figurkę z Myken! I wtedy mógłby wejść w ubraniu nie tylko do morza, lecz nawet do kotła ze smołą. Nie wiedziałem, że mamy przyjemność z przyszłym uczonym. No dobrze, ale przecież umówiliśmy się zaraz po obiedzie, że przed wieczorem popłyniemy obejrzeć dno pod skałą-tarczą! — wskazał dłonią na lewo, gdzie wyspa spadała w morze pionowym kamiennym urwiskiem.

Aha, umówiłem się — myślał znowu Bolek. — Pewno — przytaknął sam sobie. — Niby dlaczego nie miałem się umówić? Może nawet obiecałem babci, że umyję garnki? Takie przenoszenie się ze świata do świata jest bardzo fajne, ale kryje w sobie niebezpieczne pułapki. Stanowczo muszę pogadać z piłeczką, żeby jakoś udoskonałiła swoje działanie.

— Eo, Belik! — odezwała się z kolei dziewczyna. — Jeśli już skończyłeś rozmyślanie, to może jednak pójdziesz się przebrać? Co do mnie, to czekam jeszcze dwie minuty i idę do wody. Bolek pomknął do namiotu powtarzając w duchu: „Eli–Belik, cudownie, Eli–Belik”.

Wrócił niemal od razu. Teraz miał na sobie tylko błękitne kąpielówki z dużą kieszenią zapinaną na zamek błyskawiczny. Ta kieszeń była zupełnie okrągła, jakby jej posiadacz postanowił zabrać ze sobą na podmorską wyprawę dorodną pomarańczę.

— Eo, dokąd to?! — zatrzymał Bolka okrzyk Eli. Chłopiec zrobił z rozpędu jeszcze kilka kroków i stanął. Dziewczyna popatrzyła na niego, pokręciła głową, po czym wskazała dłonią pontony i sprzęt do nurkowania.

— Myślisz, że wszystko będziemy nosić sami? — spytała z wymówką w głosie.

— Aa... ummm... zapomniałem. Widzisz, ile kłopotów? — dodał ciszej pod adresem swojej czarnej piłeczki. — Koniecznie musimy pogadać.

— Tak. Proszę uprzejmie. Słucham?

— Przecież nie teraz! — syknął ze złością podróżnik po światłach biegnąc w stronę pontonu.

— Co nie teraz? — zainteresował się Pelos. Czarnowłosy brat Eli siedział na burcie dobrze nadmuchanej łódki i wciągał cienkie, szczelnie przylegające do kostek skarpetki. Żaden doświadczony płetwonurek nie wyrusza pod wodę bez takich skarpetek.

Nic, mówiłem do piłki — miał już na końcu języka Bolek, ale w ostatniej chwili zreflektował się. Zreflektował, a zarazem przestraszył. Jak niewiele brakuje, żeby wyszedł na zupełnego wariata.

— Nie teraz? Dlaczego nie teraz? — zagadał chytrze i rzucił się w stronę swoich płetw, które na szczęście leżały na samym wierzchu, co ustrzegło go przed następną wyspą.

Pelos i jego siostra zamilkli. Z poważnymi minami sprawdzali sprzęt. Nieraz już odwiedzali ojca, gdy ten prowadził badania archeologiczne, z których wiele zaczynało się lub kończyło w przybrzeżnych wodach Morza Egejskiego. Wiedzieli, że nurkowanie to pyszna zabawa, ale że zabawa ta może być niebezpieczna, jeśli przystąpi się do niej lekkomyślnie, bez starannych przygotowań.

Bolek także pływał od zbyt dawna, by teraz nieopatrzenie się śpieszyć. Wciągnął skarpetki, włożył płetwy dopasowując je nie za luźno i nie za ciasno, tak by w wodzie nie mogły spowodować kurczu stopy. Następnie sprawdził, czy ustnik jego fajki do nurkowania nie jest

pęknięty albo obluzowany, równie uważnie obejrzał elipsoidalną maskę, aż wreszcie zadowolony z wyników przeglądu stał i kłapiąc płetwami o ubity żwir podszedł do pustego pontonu leżącego najbliżej brzegu. Tam poczekał na Eli i Pelosa, po czym wszyscy razem weszli do wody. Kiedy ponton przestał trzeć o dno, pierwsza wskoczyła do niego Eli i od razu zaczęła pracować lekkim wiosłem podobnym do pingpongowej paletki. Chwilę później Pelos zawołał do Bolka:

— No, stary, hop! — co miało oznaczać zaproszenie do zajęcia miejsca obok jego siostry. Zaproszenie zabrzmiało tym sympatyczniej, że słowo „stary” zostało wypowiedziane po polsku. Swojsko zabrzmiało również „no” oraz „hop”, ale to mógł być tylko zbieg okoliczności. Natomiast „stary”...

— Musicie koniecznie przyjechać do nas! — krzyknął Bolek. — Pokażę wam Kraków, Warszawę, Gdańsk, pojedziemy w Pieniny i Tatry, pozeglujemy po Mazurach!

— Mazurach — powtórzyła z prześlicznym uśmiechem Eli.

— I od razu będziecie mogli ze wszystkimi rozmawiać! Pelos mówi już po polsku jak... jak...

— Jak stary! — dokończył wybuchając śmiechem młody atenczyk.

— To właśnie chciałem powiedzieć — przytaknął przybysz z nad Wisły i też zaśmiał się głośno. Po czym jednym susem wskoczył do pontonu.

— Brrr! Ty słoni! — powitała go Eli otrząsając się z wody.

— Przepraszam!

— Nie szkodzi — odpowiedział pogodnie Pelos. — Myśmy ciebie także wykąпали.

— Wybaczam ci — dziewczyna kiwnęła łaskawie główką. — Ostatecznie w mojej ojczyźnie myśliciele zawsze cieszyli się wyjątkowymi względami. A co do naszej wizyty w Polsce, to przecież rzecz jest już załatwiona. Nasi rodzice umówili się na lipiec w przyszłym roku. A potem w sierpniu mamy znowu wszyscy przyjechać tutaj. Zapomniałeś?

— Co?... tak... nie, oczywiście — wybełkotał Bolek, ponownie posyłając pełne wyrzutu

spojrzenie w stronę swojej wypchanej kieszonki. Ponieważ jednak do automatu Jeden–Jeden musiałby przemówić, co na pewno nie spodobałoby się nawet Eli, poprzestał jedynie na głębokim westchnieniu, popartym ledwie słyszalnym szeptem „świecie, świecie”. Następnie, przestraszony, że piłka może to zrozumieć po swojemu i narobić jakiegoś zamieszania, dodał prędko:

— Czy nie powinniśmy teraz podplłynąć pod tę skałę?

Pelos, który wsiadł do pontonu po Bolku, przestał wiosłować i spojrzał w górę. Wysoko nad nimi, na szczycie pionowej skały, rosły wyczesane wiatrami niskie rozłożyste drzewa i krzewy.

— Jeszcze jakieś dwadzieścia metrów — Eli pokręciła głową. — Tutaj nurkowaliśmy wczoraj, ale kiedy doszliśmy do tej jaskini, musieliśmy już wracać na kolację. Zapamiętałam sobie to drzewko — i ona popatrzyła w górę. Na tle nieba ostro rysowały się ciemnozielone gałęzie karłowatej pinii.

A więc jest i jaskinia — rzekł sobie w duchu Bolek. — Co więcej, sam do niej wczoraj zaglądałem. Hmm...

Przez chwilę płynęli w milczeniu. Wreszcie Pelos zdecydowanym ruchem wiosła skierował ponton koi brzegowi. Określenia „brzeg” nie należy rozumieć zbyt dosłownie. Pod pionową skałą leżało kilka ogromnych głazów, które kiedyś, bardzo dawno temu, osunęły się z góry. To wszystko. Gdyby morze było choć trochę mniej spokojne, nie mogliby nawet marzyć o nurkowaniu w tak dzikim miejscu.

— Kto pierwszy zostaje? — spytał poważnie Pelos, kiedy zatrzymali się w odległości kilku metrów od splukanego przez sztormy głazu, do którego przywarło kilka kępek morskiej roślinności.

Tym razem Bolek natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Jest ich troje. Zgodnie z regułami sztuki pływackiej ktoś musi zostać w pontonie, aby w razie czego pośpieszyć z pomocą tym, którzy pójdą pod wodę.

Cisza przeciągała się. Słyszać było tylko delikatne chlupotanie wody wśród skalnych zakamarków. Wznoszącą się nad nimi kamienną ścianę oświetlało słońce, a przecież to morskie uroczysko, tchnące majestatycznym spokojem, zdawało się pogrążone w głębokim mroku. Ramiona Bolka pokryły się gęsią skórą. Pomyślał, że w wodzie od razu poczułby się raźniej, ale nawet nie mruknął. Z pewnością żadne z nich nie miało ochoty na samotne czuwanie w pontonie. Wreszcie z piersi Pelosa wyrwało się głębokie westchnienie.

— No, dobrze — powiedział zrezygnowanym tonem. — Ostatecznie jestem mężczyzną i do pewnego stopnia gospodarzem. W dodatku popełniłem nieostrożność. To ja spytałem, kto zostaje. Więc skaczcie. Ale już, zanim się rozmyślą!

— On naprawdę jest mężczyzną... w każdym razie miejmy nadzieję, że nim będzie — Eli powiedziała to bardzo niewyraźnie, bo właśnie zakładała miękką gumową maskę z szybką w kształcie małego półmiska. — Z wami tak właśnie należy postępować — ciągnęła. — Przeczekać najgorsze. Już, już! — zawołała widząc, że jej brat marszczy gniewnie brwi i otwiera usta. — Zamiast na mnie krzyczeć, powinniście mi raczej podziękować. Zdradziłam wam nasz największy kobiecy sekret — ostatniemu słowu towarzyszył głośny plusk. Uosobienie dziewczęcej mądrości zniknęło pod wodą, pozostawiając na powierzchni rozchodzące się coraz dalej i wolniej koła.

— Mądrała! — burknął Pelos, ale w następnej chwili spojrzał bystro na swego towarzysza. — No, idź za nią! Nie powinna być sama.

Bolek pomyślał, że dobrze świadczy o czarnowłosym troska o siostrę, więc przechylił się do tyłu, jak to robią nurkowie uzbrojeni w prawdziwe aqualungi, i prosto z burty pontonu znalazł się w innym świecie. Tym razem bez interwencji czarodziejskiego automatu z kosmosu.

Na głębokości trzech, czterech metrów woda była chłodna, ale idealnie czysta. Bolek od razu ujrzał przed sobą biały kostium Eli przesuwający się powoli na tle ciemnej skały. Długie włosy

dziewczyny rozsunęły się na pojedyncze pasemka, linie smukłego ciała załamywały się w promieniach słabego światła i Eli wyglądała jak postać z bajki.

W pewnym momencie przytrzymała się dłonią głazu i obejrzała. Ujrzawszy za sobą Bolka dała mu znak, żeby podpłynął bliżej. Chłopiec zrobił kilka szybszych ruchów płetwami i zobaczył czarny otwór o wyszczerbionych krawędziach. Grota. A więc to tutaj. Eli trafiła bezbłędnie.

Bolek uniósł prawą dłoń, co w języku nurków oznacza uznanie, a następnie pokiwał głową i spojrzał w górę. Niestety, człowiek nie jest rybą. Nie jest nawet wielorybem, który może pozostawać pod powierzchnią wody przez całą godzinę.

Para odkrywców podążyła ku światłu na powietrze. Bolek wynurzył się zaraz po Eli i od razu usłyszał głos Pelosa:

— No i co? Znaleźliście?

— Tak! — odkrzyknęła dziewczyna. Zdjęła maskę i przepłukała ją. — Wiecie — zawołała nagle — otwór nie jest wcale tak głęboko, jak nam się zdawało. Dosięgam go stopą... o, o! — zakończyła, jakby obaj chłopcy naprawdę mogli dostrzec, co jej stopy robią pod wodą.

Bolek jednak postanowił sprawdzić tę informację. Nabrał do płuc powietrza i ponownie dał nurka. Szybko odnalazł wlot do jaskini i wtedy na jego głowie spoczęło nagle coś miękkiego, a jednocześnie zdradzającego wyjątkową ruchliwość. Podwodny napastnik, usadowiwszy się na samym czubku czaszki chłopca, zaczął spychać go w przepastną głębinę. Bolek nadludzkim wysiłkiem woli zagryzł wargi, żeby nie wrzasnąć i zamachał gwałtownie rękami. W wyniku tej akcji złapał coś, co napierało na jego głowę. Teraz z kolei usłyszał stłumiony odgłos, bardzo przypominający okrzyk protestu. Czując, że się dusi, puścił swoją zdobycz i rozpaczliwymi wyrzutami ramion popłynął w górę.

Kiedy znowu ujrzał wokół siebie otwarte morze i mógł zaczerpnąć tchu, Eli ciągle jeszcze

krzyczała.

— To on! Wiedziałam, że to on!

— Wcale nie wiedziałaś — zaprzeczył ze stoickim spokojem jej brat wygodnie rozparty w pontonie. — Gdybyś wiedziała, to poczekałabyś, aż wypłynie, i dopiero potem zaczęłabyś wrzeszczeć.

— Ale on mnie przestraszył! To mogła być ośmiornica — odparowała dziewczyna. Spojrzała na Bolka, który wystawiając z wody głowę patrzył na nią okrągłymi oczami pełnymi strachu, ale już zmieszanego z oburzeniem.

— To ty mnie topiłaś — wydyszał wreszcie. — Nogą? Dlaczego?

Eli zaniemówiła.

— Co się stało? Kto cię topił?... aaa, rozumiem — zaniepokojony Pelos zmienił nagle ton i roześmiał się: — A to dopiero! Dobrana z was para, nie ma co.

— Oparłam stopę na występie skały — tłumaczyła Eli zerkając z niesmakiem na brata. — Ale ta skała osunęła się pode mną, a potem coś złapało mnie za kostkę...

— To nie był występ skały, tylko moja głowa — wyjaśnił Bolek. — A potem ja... no, przecież nie wiedziałem, że to ty. Myślałem...

— ...o ośmiornicy — podpowiedział usłużnie Pelos. — Spotkały się dwie naraz, i to niezwykle groźne.

— Przecież — Bolek powoli odzyskiwał jasność myśli — tam nie mogło być żadnego występu ani stopnia, bo otwór jaskini jest rzeczywiście wysoko. Najwyżej półtora metra pod powierzchnią. Nie spróbowałbyś od razu zajrzeć do wnętrza? — zwrócił się do Pelosa. — Morze jest spokojne, więc ponton nie odpłynie. Bo tam na dół musimy pójść we troje. Ktoś powinien zostać przy otworze jaskini, kiedy my... to znaczy, chciałem powiedzieć, kiedy inni będą w środku — poprawił się widząc, że Pelos zmarszczył czoło.

Ale brat Eli przypomniał sobie, że czuje się gospodarzem na Klio, przynajmniej w stosunku do przybysza z Polski, i rzekł z samozaparciem:

— No, dobrze. Tym razem jeszcze poczekam na was przy wejściu. Ale nie liczcie na nic więcej. Zresztą i tak nie możecie siedzieć tam dłużej niż trzydzieści sekund, bo musicie mieć zapas czasu na wypadek, gdyby w drodze powrotnej coś wam się przytrafiło. Wprawdzie dzisiaj nie ma wiatru...

— Pod wodą nigdy nie ma wiatru — zauważył nieco od rzeczy Bolek.

— Co? Aa... oczywiście — przytaknął nieco zaskoczony Pelos. — No, to kiedy odpoczniecie po walkach z ośmiornicami.

— Ja już odpocząłem — powiedział prędko Bolek. — Może jednak Eli...

Przerwał, bo Eli cichutko i z właściwą sobie gracją zniknęła pod wodą. Poprawił więc maskę i skoczył w stronę, gdzie czarna głowa dziewczyny wpływała powoli w czeluść podwodnej jaskini.

Trzydzieści sekund pod błękitnym niebem, kiedy leży się z przymkniętymi oczami i oddaje błogiemu leniuchowaniu, to bardzo niewiele. Pół minuty wewnątrz podwodnej groty może oznaczać całą wieczność. Nurkowanie pod głazami jest najbardziej niebezpieczne. Zawsze istnieje możliwość, że coś się zawali albo że uderzy się o skałę, albo wreszcie, że z jakiejś szczeliny wyskoczy stwór uzbrojony w jadowite żądło lub zęby ostre jak chirurgiczne noże.

Bolkowi przyszło nawet do głowy, że postępują trochę nierozważnie zapuszczając się do jaskini bez ojca czy pana Uranisa. Ale Eli i Pelos zachowywali się tak, jakby ich wyprawa była uzgodniona z rodzicami.

Chwilka, którą Bolek strawił rozmyślając, co mogłoby, a co nie mogłoby się zdarzyć, wystarczyła, by Eli zniknęła w czarnej sztolni, wykutej przez naturę pod skalistym brzegiem Klio.

Chłopiec zachnął się na siebie za swoje gapiostwo i, schylając głowę, mocno uderzył

płetwami. Natychmiast i jego ogarnął nieprzenikniony mrok. Woda zdawała się gęsta jak czarna farba. Po pewnym czasie wypatrzył jednak niewyraźną jaśniejszą plamę. Zaraz potem plama przybrała kształt Eli. Siostra Pelosa poruszała powolutku płetwami stojąc w miejscu, a właściwie nie tyle stojąc, co wisząc głową w dół. Bolek podpłynął bliżej i ujrzał, że dziewczyna dotyka wyciągniętymi rękami dna, szukając czegoś. Nagie woda zmętniała. Eli zaczęła się powoli prostować unosząc w dłoniach jakiś przedmiot. Bolek wytężył wzrok i rozpoznał zarysy sporego naczynia, posiadającego po obu stronach pałkowate uchwyty. Eli wraz ze swą zdobyczą płynęła w stronę wyjścia, więc chłopiec cofnął się, żeby ją przepuścić. Raptem dziewczyna puściła naczynie. Bolekowi mignęły jej otwarte jak do krzyku usta. Podkurczyła nogi, a następnie wyprostowała je gwałtownie, chcąc zapewne nadać swemu ciału przyśpieszenie, które pozwoliłoby jej od razu opuścić jaskinię. Niestety, ten ruch sprawił, że zamiast do przodu, ruszyła prosto w górę. Bolek rzucił się w jej stronę, ale nie zdążył. Eli uderzyła głową w sklepienie grotty i zaczęła powoli, jak na zwolnionym filmie, osuwać się w dół.

Chłopiec błyskawicznie chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą ku plamie światła, która oznaczała zbawcze wrota podziemi. W pewnym momencie zauważył tuż pod swoją maską przesuwający się węzowy kształt. Ryba — przemknęło mu przez myśl.

Ryba miała może metr długości i przypominała węgorza. Przesuwała przed nosem Bolka, wyginając w pośpiesznych skrętach swoje opływowe ciało, i zniknęła.

Jaskinia została wreszcie z tyłu. Jeszcze kilka rozpaczliwych uderzeń płetwami, i słońce.

— Szybko! — krzyknął Bolek. — Tutaj!

Ale Pelos był już przy nich. Wspólnymi siłami wciągnęli nieprzytomną Eli do pontonu i zaczęli ją ratować, zgodnie z wszystkimi regułami pierwszej pomocy. Obaj znali te reguły na pamięć. Obaj musieli pod okiem swych ojców nie raz i nie dwa odbywać przewidziane dla ratowników ćwiczenia. Od najmłodszych lat byli przecież prawdziwymi wodniakami.

Usunąwszy z tchawicy siostry wodę, Pelos zaaplikował jej sztuczne oddychanie. Bolek, co chwilę odwracając głowę, by spojrzeć na ofiarę podwodnej przygody, wiosłował ile sił ku brzegowi. Jednak zanim jeszcze ponton zazgrzytał o dno, wysiłki Pelosa zostały uwieńczone powodzeniem. Jego siostra uniosła powieki. W następnej chwili zakrztusiła się i zaczęła kaszleć.

— Bardzo dobrze! — zawołał nadrabiając miną Pelos. — W ten sposób wykrztusisz z siebie resztki Morza Egejskiego!

Błądą twarz Eli rozjaśnił nikły, przelotny uśmiezek, ale natychmiast skrzywiła się niemiłosiernie i dotknęła dłonią głowy. Syknęła, cofnęła rękę i przyjrzała się swoim palcom. Były czerwone.

— Nic się nie martw — ciągnął ze sztuczną wesołością Pelos. — Poszerzyłaś trochę wejście do jaskini. Teraz łatwiej będzie do niej trafić.

W tym momencie ponton przybił do brzegu. Brat Eli natychmiast spoważniał, a nawet zmarkotniał.

— Jeśli w tym stanie zaniesiemy ją do namiotu, to już nigdy nie puszczą nas samych pod wodę — stwierdził. — A mamy... Pamiętasz, co mówiły przed południem, gdy powiedzieliśmy, że chcemy zbadać tę jaskinię?

A więc jednak — pomyślał z gorzką satysfakcją Bolek. — No cóż... trudno.

Eli usiłowała wyjść na plażę o własnych siłach, okazało się jednak, że jest zbyt słaba. Chłopcy wzięli ją więc pod ręce i z ponurymi minami, noga za nogą poprowadzili w stronę obozowiska.

W pewnej chwili Eli zatrzymała się.

— Poczekajcie — powiedziała. Jej głos brzmiał już niemal normalnie. — Boli mnie głowa, ale poza tym czuję się zupełnie dobrze. Czy musimy im o wszystkim opowiadać?

Chłopcy spojrzeli niepewnie po sobie.

— No... — zaczął z wahaniem Pelos — myślę, że tak... Bolek przełknął ślinę.

— Musimy — zawyrokował bohatersko. — Wasze morze jest bardzo piękne, ale nie jest tak czyste, jak przed wiekami. A Eli ma otwartą ranę na głowie. Trzeba ją fachowo opatrzyć. To może zrobić tylko moja mama...

— Zresztą i tak za późno — mruknął Pelos.

Istotnie.

— Ej, a to co znowu?! — dobiegł ich głos babci Miłej. — Czy coś się stało? Poczekajcie chwilę, zanim zaczniecie łąć — babcia odstawiła pomarańczowy rondel i szybko szła w ich stronę. — Sama widzę. Moje biedne dziecko... — rozczuliła się. — Chodź, chodź... Alicjo! — zawołała półgłosem. Mama Bolka wyjrzała z namiotu. — Alicjo! — powtórzyła babcia Miła. — Obejrzyj głowę Eli i zrób co trzeba, zanim pokażemy ją rodzicom. Po co straszyć porządnych ludzi.

Chłopcy odprowadzili smutnym wzrokiem trzy damskie sylwetki, a kiedy zniknęły w namiocie państwa Milejów, obaj głęboko westchnęli.

— W amforze był węgorz — powiedziała w godzinę później Eli siedząc ze wszystkimi przy stolikach, na których zaraz miała się pojawić przygotowana przez babcię kolacja. Cera dziewczyny odzyskała swoją wakacyjną opaleniznę i tylko spowijający głowę biały bandaż świadczył o niedawnym dramacie. — Przestraszyłam się i... i nie wiem, co zrobiłam — spuściła wzrok, — W każdym razie rzuciłam naczynie i zaczęłam uciekać. Potem nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami...

— Biedactwo! — nie wytrzymała babcia Miła, która wstała, by pójść po zapiekankę, ale zatrzymała się w pół drogi i z przejęciem słuchała opowiadania Eli. — Nie rozumiem, jak ci dwaj młodzi złoczyńcy mogli puścić cię tam samą?!

— Przecież był Bolek i zaraz ją wyciągnął — przypomniał bez zbytniego przekonania Pelos. Gdyby nie on... — urwał.

Przez chwilę panowało milczenie. Obecni zrozumieli aż nadto dobrze, dlaczego czarnowłosy nurek nie dokończył zdania.

— Przepraszam — przerwał wreszcie ciszę Bolek. — To moja wina. Zamiast płynąć tuż przy Eli, zatrzymałem się przy wejściu do jaskini.

— Nonsens — zaprzeczył zdecydowanie pan Andreas Uranis. — Nawet gdybyś był tuż obok mojej córki, nie zdążyłbyś jej zatrzymać, bo przecież nie mogłeś się spodziewać, że nagle zechce palnąć głową w skałę. Także przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności w wodzie dochodzi czasem do tragedii. My dzisiaj powiedzmy sobie: „wszystko dobre, co się dobrze kończy” i dodajmy, że odtąd będziecie nurkować wyłącznie ze mną albo z Enrykiem — wymawiał imię ojca Bolka dziwnie miękko, bez początkowego „h”. — A najlepiej razem z nami obydwoma. — Mówisz, Eli, że tam była amfora? — archeolog zmienił ton. — Naprawdę amfora? Stara? A czy nie zauważyłaś na niej jakichś wzorów?

Henryk lub „Enryk” Milej zaśmiał się cicho. Wiedział, co teraz nastąpi. I nie pomylił się.

— Tego już za wiele! — wykrzyknęła z oburzeniem mama nieszczęsnej pływaczki. — Jego rodzona córka omal nie utonęła, a on myśli wyłącznie o swoich skorupach! Gdyby mógł nas wszystkich sprzedać za jedną malowaną wazę z okresu minojskiego, zrobiłby to bez wahania! I nawet by się nie targował!

— Pewnie — przytaknął pogodnie pan Andreas. — I tak nic bym nie wytargował. Grecy zawsze mieli zmysł kupiecki i nie dadzą sobie wtrynić byle czego.

— Brutal! — zawołała ze zgrozą babcia Miła.

— To była amfora — zażegnała wzbierającą burzę Eli — Ale czy miała jakieś wzory... — zawahała się — nie, nie pamiętam. W jaskini jest ciemno, a poza tym miałam ją w rękach tylko parę sekund. Potem wylazł ten węgorz... — wzdrygnęła się mimo woli.

— Węgorz był pewnie nie mniej przerażony niż ty — pocieszył siostrę Pelos. — Biedak

siedział spokojnie w wygodnym naczyniu, który miał prawo uważać za własny dom, aż tu nagle zjawia się jakiś potwór i porywa go wraz z całym dobytkiem...

— W każdym razie amfora musiała być pusta, jeśli Eli zdołała ją podnieść — rzekł pan Uranis. — Szkoda. Na dnie mórz znajduje się jeszcze amfory pełne prastarych produktów i szczelnie zapieczętowane. Na przykład z winem pochodzącym sprzed kilku tysięcy lat. Sam piłem, a raczej jadłem takie wino, bo zmieniło się w gęstą galaretę. Smakowało wybornie. Jednak w tej jaskini może być więcej amfor, a także jakichś innych cennych przedmiotów. Tak czy owak połączymy przyjemne z pożytecznym i przeprowadzimy bardzo ostrożnie — podkreślił spoglądając na żonę — wstępne rozpoznanie. Ateński archeolog zawsze powinien szukać czegoś, co mogłoby rzucić nowe światło na dzieje nie tylko Grecji, lecz (także całej europejskiej kultury, która tak wiele zawdzięcza dawnym mieszkańcom obszaru śródziemnomorskiego. Niestety — westchnął — będziemy musieli uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż sprowadzę z naszego Instytutu potrzebny sprzęt. Aqualungi, kamery do zdjęć podwodnych, podręczne laboratorium. Jutro rano wezmę łódź i popłynę na sąsiednią wyspę, gdzie jest latarnia morska z załogą. Mają tam radiostację. Nadam depeszę do Aten i umówię się na odbiór sprzętu w Salonikach. A teraz kolacja i spać. Wrażen mieliśmy dzisiaj aż nadto...

Zwłaszcza niektórzy z nas — rzekł sobie w duchu Bolek.

ODDAJ MI MÓJ PIORUN!

— Jesteś śpiący? — spytał Bolka Pelos.

Zagadnięty rozejrzył się. Słońce zeszło już za linię horyzontu. Wokół panowała zupełna cisza.

— Nie chce mi się spać — Bolek potrząsnął głową. — Nic mi się nie chce — wyznał nieoczekiwanie dla samego siebie.

Pelos zaśmiał się cicho.

— Nawet popływać? Swoją drogą, paskudny pech — spoważniał nagle. — Teraz przez jakiś

czas będą nas pilnować jak niemowlaków.

— To moja wina — powtórzył Bolek. — Gdybym był tam, gdzie powinienem być...

— Słyszałeś, co powiedział mój ojciec — przerwał mu czarnowłosey. — I tak nic nie zdążyłbyś zrobić. Oni o tym wiedzą i dlatego w gruncie rzeczy nie mieli do nas pretensji. To jednak nie znaczy, że pozwolą nam dalej nurkować bez opieki. Po prostu będą się bali... No — zmienił ton — ale przynajmniej na wyspie możemy robić, co nam się podoba. Ja także nie jestem śpiący. Wiesz co? Chodźmy się przejść. Masz ochotę zajrzeć do Gniazda?

To ostatnie słowo zostało wymówione ze szczególnym naciskiem, jakby stanowiło jakieś hasło, które dla Bolka, przebywającego na Klio, jak musiał sądzić Pelos, od ładnych kilku dni, powinno być zupełnie jasne i zrozumiałe. Ponieważ jednak Bolek przybył na wyspę dopiero dzisiaj, pozostało mu jedynie zrobić mądrą minę.

— Do gniazda? — powtórzył chcąc zyskać na czasie. — A... nie jest za późno?

— Za późno? — Pelos rozejrzał się po niebie. — Czemu? Przecież to blisko. Wieczór będzie chłodny, ale nie zimny.

— Dobrze, chodźmy — Bolek potrząsnął głową, jakby odpowiadając sobie samemu na jakąś nie wypowiedzianą myśl. Myśl widać nie była najprzyjemniejsza. I rzeczywiście. Bolek rzekł sobie bowiem w duchu, że w jego sytuacji tylko skończony idiota może zadawać naiwne pytania, zamiast cichutko i niby nigdy nic korzystać z każdej okazji, by dowiedzieć się, co robił przez ostatnie dni.

Po kolacji mama Eli odprowadziła swoją zabandażowaną córkę do namiotu. Alicja Milejowa udała się z nimi, żeby sprawdzić, czy dziewczyna nie ma gorączki, i dać jej na wszelki wypadek jakieś pigułki. Również babcia Miła asystowała przy układaniu do snu niefortunnej bohaterki dnia, po czym sama poszła się położyć. Panowie Andreas i Henryk przechadzali się brzegiem zatoczki, wiodąc przyciszonymi głosami rozmowę. Zapewne obmyślali plan zbadania podwodnej

jaskini, ponieważ co chwila któryś z nich zerkał w stronę skały spadającej do morza.

Obaj chłopcy zaraz po kolacji włożyli na letnie koszulki sportowe swetry. Ale wieczór nie był zimny. Nie był nawet chłodny, jak zapowiadał Pelos. Ktoś, kto przyjechał z Polski, nazwałby go raczej upalnym.

Bolek kroczył w milczeniu za bratem Eli. Opuścili już teren obozu. Jakiś czas szli pod skałą, która od strony morza kryła u swych stóp podwodną grootę, stale oddalając się od brzegu.

Wreszcie skręcili pod kątem prostym, w miejscu gdzie strome zbocze przecinał wąski kamienisty żleb. Ten żleb służył widocznie za ścieżkę, bo Pelos nie oglądając się na swego towarzysza od razu ruszył nim pod górę.

Wspinali się przez dziesięć, może piętnaście minut. A kiedy wreszcie stanęli na szczycie, Bolek aż krzyknął z zachwytu.

Widok, jaki się przed nim roztoczył, był co się zowie przepyszny. Znaleźli się na wierzchołku skały górującej nad obozowiskiem, a zarazem w najwyższym punkcie Klio. Miejsce na pewno zasługiwało na nazwę Gniazda. Nawet orlego.

Wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągało się morze. Na wschodzie już ciemnofioletowe, prawie czarne, na zachodzie jeszcze rozjaśnione ostatnimi promieniami słońca, odbitymi od płaskich ciemnopurpurowych obłoków. Brzegi wyspy, przysiadłej niziutko u stóp strzelistego szczytu, były niewidoczne. Daleko majaczyły małe pojedyncze światełka jak zakotwiczone na morzu gwiazdy. Zabłyły już także prawdziwe gwiazdy. Nad horyzontem jasno świeciła planeta Wenus, a po przeciwnej stronie nieba rysował się kształt Wielkiego Wozu.

— Ale fajnie! — wyrwało się Bolkowi.

— Fajnie? — zdziwił się Pelos. — To ja tak zawołałem, kiedy nas tutaj wyciągnąłeś, zaraz pierwszego dnia. Eli nie chciała z nami iść, pamiętasz? A w końcu poszli wszyscy, nie wyłączając twojej babci. Masz strasznie równą babcię — młody Grek zachichotał, jakby sobie

przypomniał coś nad wyraz śmiesznego.

Pewno sobie i przypomniał — pomyślał Bolek. W dodatku jest przekonany, że ja także wiem, o co chodzi. A niech to licha!

— Te światełka to wyspy? — spytał, żeby coś powiedzieć, bo cóż może błyszczeć na morzu, jeśli nie latarnie ostrzegające marynarzy przed niebezpieczeństwami i wskazujące im drogę do portów.

— Oczywiście, że wyspy. Pokazywałem ci je przecież za dnia. Ale nie tylko wyspy. Na przykład tam na lewo — Pelos wyciągnął rękę wskazując jakiś, punkt na widnokręgu — widać światełka przy szosie prowadzącej do stóp Olimpu. Do pałacu bogów — zaśmiał się. — Jaka szkoda, że ich tam nie ma. Ale Olimp i tak jest piękny. Sam zobaczysz, kiedy ojciec weźmie nas wreszcie na tę wycieczkę, o której tyle mówił. Podobno jednym z pierwszych ludzi, którzy tam weszli — ciągnął — był Aleksander Wielki. Miał wtedy mniej więcej tyle lat co my i chciał złożyć wizytę bóstwom. Ale nie zastał nikogo w domu. A potem podbił pół świata... a właściwie prawie cały ówczesny świat.

Ba, jeden świat! — pomyślał Bolek, odruchowo dotykając palcami swojej wypchanej kieszeni.

— Klio wcale nie leży tak blisko lądu — podjął po krótkiej pauzie Pelos. — Rzadko widać Olimp tak dobrze jak dzisiaj. To znaczy, nie sam Olimp, ale światła pod nim, bo jest już późnoaa... — ostatnie słowo przeszło w serdeczne ziewnięcie. — No co — dodał po chwili — wracamy?

— A mówiłeś, że nie jesteś śpiący.

— Bo nie byłem. Wszystko jest zmienne, jak uczył jeden z naszych starożytnych mędrców, tylko nie pamiętam, który. Nie muszę pamiętać. Przecież mamy wakacje, nie? — ciągnął coraz bardziej leniwym głosem Pelos. — Najpierw coś jest, a potem tego nie ma. To tak jak z bogami.

Kiedyś może i naprawdę przebywali na Olimpie. A zresztą, co za różnica, czy byli czy nie, skoro wszyscy w nich wierzyli? Bogom podobno tylko o to chodzi. No co, wracamy?

— Ja bym jeszcze chwilę został... — bąknął Bolek. Nie chciało mu się opuszczać tego pięknego miejsca, które, wbrew wszystkiemu co miał prawo sądzić jego towarzysz, odkrył dopiero przed chwilą.

— A nie pogniewasz się, jeśli zostawię cię samego? Pomyślałem sobie, że wypada mi jeszcze zajrzeć do Eli. Mama na pewno będzie przy niej siedzieć co najmniej przez pół nocy. A ja, jak wiesz, nie śpię w namiocie, tylko przed namiotem, pod burzowcem. Potem mieliby mi za złe, że nie zatroszczyłem się o małą. Poza tym, trzeba przynieść wody.

— Ależ idź, idź — Bolek uśmiechnął się mimo woli. — Tylko nie zaśnij po drodze.

Przynajmniej dopóki będziesz schodził tym zlebem. Mama miałaby drugiego pacjenta, a wszyscy zaczęliby się zastanawiać, czy nie spędzić reszty wakacji w jakimś mieście posiadającym dobry szpital. Tymczasem mnie się tu bardzo podoba.

— Mnie też. Nie zasnę, nie martw się. W ogóle się nie martw — zakończył niezbyt jasno Pelos i dorzuciwszy krótkie „cześć”, zniknął Bolkowi z oczu.

Przybysz z Polski został sam. Zaczepnął głęboko powietrza, po czym jeszcze raz obiegł spojrzeniem dalekie światelka na morzu i niebie.

— Ładnie tu — mruknął. — Bardzo ładnie...

Ta odkrywcza myśl zaprzątnęła jego uwagę na całą minutę. Następnie znowu odetchnął głęboko i rozprostował ramiona. — Bardzo, bardzo ładnie — uzupełnił swoje niedawne stwierdzenie. — Prawie jak na balkonie w naszym bloku — pokiwał ironicznie głową.

Nagle drgnął. Przez chwilę stał nieruchomo, marszcząc brwi, po czym otwartą dłonią palnął się z całym rozmachem w czoło.

— Kretyn! — zawołał głośno. — Skończony bałwan! Przecież cały czas miałem przy sobie

automat. Mogłem od razu, jeszcze pod wodą, w tej głupiej jaskini, przenieść Eli do świata, gdzie nie uderzyła przedtem głową o skałę! Ty, Jeden–Jeden i jak ci tam! Czemu siedziałeś cicho?

— Nie wzywałeś mnie — usłyszał znajomy głos. — Nie mogę sam proponować zmiany wariantu...

— Zamknij się!

Pięteczka umilkła. Bolek przez chwilę poruszał bezgłośnie wargami, a następnie odchrząknął i mruknął:

— Przepraszam. Wiem, że sam nie mogłeś nic zrobić. To ja powinienem był pomyśleć...

— Jesteś bardzo podatny na emocje — stwierdził swoim dobrotliwym tonem automat. —

System nerwowy istot zamieszkujących Ziemię wydaje mi się mało stabilny. Nie wiem, czy to cecha waszej rasy, czy też tylko przejściowa słabość, związana z etapem rozwoju, na jakim się właśnie znajdujecie.

— Jesteśmy zupełnie normalną i rozwiniętą cywilizacją! — zaperzył się znowu chłopiec. —

System nerwowy! Też coś! Tam u ciebie nikt się niczym nie przejmuje, więc myślisz, że wszędzie powinno być tak samo! A co do słabości...

Nagle stanęła mu przed oczami twarz Eli.

— Może masz rację — rzekł nieoczekiwanie cicho i łagodnie. — Może rzeczywiście miewamy jakieś słabości. Ale... czy to naprawdę tak źle?

Zadawszy tę filozoficzną zagadkę, czy to kosmicznej kulce, czy raczej sobie samemu, chłopiec powtórzył:

— Przepraszam cię. Ty nie jesteś niczemu winien. U nas również są automaty i one też mogą postępować tylko tak, jak chcieli tego ludzie, którzy je budowali. Ale jeszcze nie słyszałem, żeby jakiś najwymyślniejszy nawet automat wiedział coś o emocjach.

Na szczycie skały górującej na Klio zapanowała cisza.

Bolek stał jeszcze przez chwilę w milczeniu, po czym usiadł spuszczać nogi w przepaść.

Następnie podparł się dłonią pod brodę i zaczął dumać:

Pelos interesuje się historią. Mówi o Aleksandrze Wielkim, o mędrkach, o bogach... Ale ja także znam mitologię.

Była to najszczęśliwsza prawda. Bolek zawarł znajomość z mieszkańcami Olimpu bardzo wcześnie, ponieważ opowiadali mu o nich i mama, i tato, a nawet babcia. W domu państwa Milejów znajdowało się sporo książek o starożytnych ludach żyjących niegdyś na brzegu Morza Śródziemnomorskiego. Wśród tych książek były takie, które mogli z tym samym zainteresowaniem czytać ludzie w wieku od lat dziesięciu do stu. Bolek przeczytał je wszystkie.

Więc te światelka to Olimp — myślał chłopiec. — Pelos powiedział, że mamy tam pojechać.

Ba, ale kiedy? Przecież jutro pan Uranis popłynie po aqualungi i sprzęt badawczy... w związku z tą amforą, którą na swoje nieszczęście znalazła Eli. Potem będzie czekać na statek, by w odpowiedniej chwili spotkać się z nim w Salonikach i odebrać wszystkie zamówione rzeczy. A skoro już raz przystąpią do pracy, to żegnajcie, wycieczki. Ojciec Pelosa nie darmo jest znanym i zapalonym archeologiem, no a tato... szkoda gadać! Nawet gdyby historia starożytna nie stanowiła jego hobby, to i tak nie ruszyłby się z miejsca, w którym mogło dojść do sensacyjnego odkrycia.

Ale czy koniecznie trzeba czekać na sprzęt?! — ta myśl przyszła tak nagle, że chłopiec wyprostował się odruchowo. Oczywiście, że nie!

Zerwał się na równe nogi, odskoczył od skraju przepaści i zawołał:

— Piłeczko! Automacie!

— Słucham?

— Świecie, świecie! Niech na dole, obok namiotów, znajdują się już te wszystkie rzeczy, które chce sprowadzić pan Uranis. Tak żeby jutro od razu można było badać jaskinię. Ale żeby w

tym nowym świecie Eli także się dzisiaj topiła, bo inaczej nikt nie wiedziałby nic o amforze i w ogóle o tym, że trzeba zajrzeć do tej groty. Dobrze?

— Tak.

Chłopiec przymknął na moment oczy. Chwilę później uśmiechnął się z wyższością. Jakie to proste. Oczywiście, jeśli dysponuje się magiczną piłką z kosmosu. I pomyśleć, że na całej kuli ziemskiej on jeden może sobie nie tylko skakać z jednego świata do drugiego, lecz także zmieniać losy innych. Pewnego pięknego dnia ludzie zbudzą się rano z przekonaniem, że niejaki Bolek Milej jest już od wielu lat ich absolutnym władcą, mądrym i uwielbianym przez wszystkich. Albo nagle okaże się, że rozumni mieszkańcy Ziemi zawsze żyli w oceanach, a na powietrze wychodzili w aparatach do nurkowania. Tylko co wtedy byłoby z gwiazdami, lotami na Księżyc, na Marsa i na Wenus? Nie, morza zostawmy delfinom. Za to już nie ma żadnych przeszkód, aby na przykład nauczyciele, ilu ich tylko jest, stali się wyrozumiali, dobroduszni i nigdy nic nie zadawali do domu... I nie byłoby wojen, mafii, terrorystów, żadnych klęsk, powodzi, głodu ani innych dręczących dotychczasowy świat plag, o których ojciec często pisywał swoje artykuły siedząc przy maszynie z ponurą, zaciętą twarzą.

— Mogę absolutnie wszystko — stwierdził Bolek. W „ciemnościach, na pustej skale sterczącej z Morza Egejskiego na wprost masywu Olimpu, jego słowa nie zabrzmiały nawet aż tak śmiesznie i cudacznie, jak mogłoby się zdawać. Tam, na tej górze, ku której wspinał się rząd ledwie widocznych światełek, kiedyś żyli ponoć bogowie.

A może jakiś olimpijski bóg także przypadkiem znalazł czarną piłeczkę? Mieszkańcy tej kryształowej planety latają zapewne po kosmosie już od tysięcy lat. Kto wie, czy Zeus, zanim został panem bogów i ludzi, nie był także człowiekiem?’ Eee... chyba nie. Gdyby Zeus mógł sobie zmieniać światy tak, jak miałby ochotę, to teraz Ziemia wyglądałaby na pewno inaczej... Nie, ja jestem potężniejszy niż Zeus! — Bolek zamyślił się.

Dzisiaj, kiedy Eli zagroziło śmiertelne niebezpieczeństwo,, nie zażądał pomocy czarodziejskiego automatu z gwiazd. Oczywiście, tylko dlatego, że o nim zapomniał.

Człowiekowi nie tak łatwo przyzwyczać się do własnej wszechmocy. Ale... w tej chwili czuł, że za nic nie zrezygnowałby z przeżytych emocji. Ani ze swojego strachu, kiedy zobaczył, jak dziewczyna uderza głową o skałę i traci przytomność, ani z tego, że zdołał potem doholować ją do pontonu, ani ze swojej radości, gdy wreszcie otworzyła oczy. Gdyby zawołał „świecie, świecie!” i zażądał od piłeczki przeniesienia ich, tam, gdzie wszyscy troje leżeliby na plażyczce, pogrążeni w błogim lenistwie, obeszloby się bez tego wszystkiego. Nie miałby żadnych wrażeń i żadnych wspomnień. Bo przecież człowiek wspomina tylko to, czym się martwił, czego się bał i z czego się cieszył. A gdyby ten wypadek skończył się mniej szczęśliwie?

— Nie wiem — szepnął. — Nie wiem...

Po chwili znowu spojrzał w stronę stałego lądu, a następnie omiół wzrokiem całą nocną panoramę morza. Na prawo od Olimpu także błyszczały jakieś światełka. Tam zaczynała się Zatoka Salonicka. Te ledwie widoczne kolorowe latarenki to statki płynące w stronę portu. Dalej na prawo Półwysep Chalcydycki. W domu, kiedy planowano podróż i kiedy rozmawiano o położeniu Klio na Morzu Egejskim, Bolek tyle razy wpatrywał się w mapy, że teraz nawet po ciemku mógł sobie bezbłędnie odtworzyć z pamięci zarysy okolicznych wysp i lądów. Na przykład ów Półwysep Chalcydycki ma jakby trzy długie pokrzywione palce z miasteczkami i osadami. Latarnie jego rybackich przystani migocą nad horyzontem jak pojedyncze okruchy szkła.

Chłopiec odwrócił się.

Teraz ma przed sobą Sporady. Archipelag złożony z bardzo wielu mniejszych i większych wysp, posiadających regularne połączenia żeglugowe z pobliskimi portami. Tam nie widać żadnych świateł. Klio leży między Sporadami a Zatoką Salonicką, bliżej stałego lądu. Nieco

bardziej na prawo, gdzieś za przestrzenią morza, znajduje się znana w starożytności wielka wyspa Limnos lub Lemnos. Jeszcze dalej, niemal dokładnie w linii prostej, jest brzeg Azji, a na tym brzegu, należącym teraz do Turcji, znajduje się jedno z najsłynniejszych wzgórz świata. Wzgórze kryjące ruiny Troi, pod której murami dokonywał swoich bohaterskich czynów Achilles. Której bronił nie mniej waleczny Hektor. I która padła dzięki podstępowi także dzielnego, ale przede wszystkim chytrego Odyseusza. O, z Homerem i wojną trojańską Bolek był za pan brat od dziecka. Ta wojna, jak twierdzą stare mity, wybuchła dlatego, że olimpijscy bogowie bez przerwy kłócili się między sobą i że każdy z nich popierał innego ziemskiego króla bądź wojownika. Zeus jest też postacią dwuznaczną. Budzi podziw, gdy patrzy się na jego posągi, ale gdyby miał naprawdę robić to wszystko, co mu przypisują autorzy mitologii... brr! Szkoda gadać.

Wzrok Bolka powrócił w stronę światła pod Olimpem. I nagle błysnęła mu myśl tak dziwna i zuchwała, że w pierwszej chwili odrzucił ją wzruszając ramionami. Jednak zaczął się zastanawiać. Pomysł był ogromnie kuszący. Przez dłuższą chwilę czarna, szczupła sylwetka tkwiła nieruchomo na tle nieba i gwiazd. Nagle kamienna postać ożyła. W zupełnej ciszy rozległ się niepewny, trochę zachrypły głos:

— Słuchaj, czy można zmienić świat na taki, który nie istniał naprawdę? Który ktoś sobie tylko wymyślił?

— Co to znaczy „nie istniał naprawdę”? — tego głosu nie było słyhać, ponieważ rozbrzmiewał on wyłącznie w głowie pytającego. — Wśród nieskończonej ilości załamania czasoprzestrzeni każdy świat myśli jest realny i dostępny.

Na szczycie skały znowu przez jakiś czas panowała cisza. Wreszcie dało się słyszeć krótkie urwane westchnienie, po czym padły słowa:

— A gdybym cię poprosił, żebyś przeniósł mnie na Olimp, do czasów kiedy mieszkali tam

bogowie? Tylko, widzisz, ich wcale nie było. Ale ludzie wierzyli, że są. Opowiadali sobie o nich różne historie, opisywali, jak wyglądają i co robią. To się nazywa mitologia.

— Nie znam tego pojęcia. Nie posiadam informacji, które mógłbym porównać z tym, o czym mówisz. Wystarczy jednak, że ty sam będziesz myślał o świecie, w którym chcesz się znaleźć. Że przypomnisz sobie wszystko, co o nim wiesz. Tutaj przenieśliśmy się również wyłącznie na podstawie obrazu, który mi przedstawiłeś w swoich myślach.

— No niby tak. To znaczy, że mógłbyś mnie przenieść na ten wymyślony Olimp z Zeusem, Herą, Afrodytą i innymi jego mieszkańcami?

— Tak.

— Więc zrób to. Uważaj! Świecie, świecie... nie, poczekaj!

Zapomniałem, że gdyby tam miało mi grozić jakieś niebezpieczeństwo, to za jednym zamachem cofnąłbyś wszystkie zmiany, jakie dokonałeś dotychczas. Czyli znalazłbym się z powrotem w mieście i całą podróż trzeba by zaczynać od nowa. Czy mógłbyś tak zrobić, żebym w razie czego wrócił tu, na tę górę?

— Mógłbym.

— No, to pamiętaj. Więc jeszcze raz: świecie, świecie!... już!

— Nie wygłupiaj się, Hero — powiedział damski głos tak blisko, że Bolek aż się wzdrygnął.

W przeciwieństwie do tego, co działo się na kryształowej planecie, gdzie ciągle ktoś do niego gadał, a on nie widział nic i nikogo, tutaj od razu ujrzał kobietę, która przed chwilą tak nieelegancko zagadnęła Herę. Kobieta ta stała w gronie kilkunastu innych Olimpijczyków na dość rozległym grzbiecie skalistego szczytu, opasanego pierścieniem gęstych błękitnobiałych obłoków. Miała na sobie śnieżnobiałą powłóczystą szatę, i wyglądała... no, właśnie tak, jak powinna wyglądać bogini.

— Nie wygłupiam się, Hestio — odrzekła dama stojąca pośrodku całej grupy, również piękna,

ale o twarzy wyrażającej zawziętość i gniew. — Po prostu chcę wykorzystać okazję. Widzisz przecież, że spał się jak wieprz i śpi. A kiedy się zbudzi, znowu będzie wrzeszczał, groził nam piorunami i wyprawiał swoje błazeństwa. Jak długo chcesz to jeszcze znosić?

— Hera ma rację — odrzekł ponurym głosem mężczyzna z wielką zmierzwioną brodą, dzierżący w ręce trójząb na długim drzewcu. — Taka okazja nieprędko się powtórzy. Niby to mój brat, ale mam go już po dziurki w nosie. Jest obrzydliwym, nieodpowiedzialnym tyranem i myśli jedynie o własnych przyjemnościach. A w ogóle, co tu rozprawiać o więzach rodzinnych! Własny ojciec byłby go pożarł, gdyby Rea nie ukryła go przed nim w grocie. A potem zlitowała się nad nim Amaltea. Zwykła koza. Pomyślcie tylko! I przed takim znajdą wszyscy trzęsiemy łydkami i przymilamy mu się, żeby nam tylko nie zrobił jakiegoś nowego świństwa!

— Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego — powiedziała kobieta, nazwana przez Herę Hestią.

— Przepraszam was. Mam pilne sprawy do załatwienia... — to rzekłszy odwróciła się i zniknęła w chmurze opasującej stok góry poniżej szczytu.

— Cha, cha, cha — zaśmiał się szyderczo piękny młody mężczyzna z wieńcem na głowie i prawie nagi, jeśli nie liczyć białej miękkiej peleryny, którą przerzucił sobie przez lewe ramię. — Pilne sprawy! A to dobre! Tchórz ją obleciał i tyle. Ale nie martw się, Hero. My ci pomożemy, prawda, Posejdonie? Tu gdzieś widziałem sznur... ten, z którego wyplatasz swoje sieci.

Przyniosę go, dobrze?

Brodaty mąż z trójzębem skinął głową.

— Tak. Spiesz się, Apollo. Zwiążemy go na sto węzłów. Niech potem spróbuje się uwolnić!

Apollo ochoczo pobiegł poszukać liny. Bolek odruchowo odskoczył do tyłu, tak blisko słoneczny młodzieniec przemknął obok niego. Dopiero wtedy chłopiec zorientował się, że piłeczka, przenosząc go tutaj, wybrała miejsce poniżej szczytu. Tam gdzie sięgał jeszcze ów obłok przesłaniający patrzącym z dołu śmiertelnikom siedzibę olimpijskich bóstw. Może właśnie

dlatego nikt dotąd nie zauważył, że na świętej górze pojawił się intruz należący do świata zwyczajnych zjadaczy chleba.

Wkrótce Apollo ukazał się znowu. Szedł teraz wolniej, z trudem ciągnąc za sobą długą linę, uplecioną z twardych rzemieni. Posejdon pośpieszył mu naprzeciw. Inni także chwycili linę. Jednak niektórzy z obecnych udawali tylko, że pomagają wiązać śpiącego. Widać było, że nie mieli ochoty zadzierać z Zeusem, ale zarazem nie chcieli narażać się Herze, która najwyraźniej odgrywała główną rolę w tym boskim zamachu stanu.

— Weźcie ten piorun! — rozkazała.

Wszyscy umilkli.

— Jego piorun? — spytał po chwili niepewnie Apollo.

— A co?! Chcesz, żeby się nagle zbudził i nas poraził? Nawet gdy będzie już związany, lepiej żeby to złote straszdyło leżało w przyzwoitej odległości — wydyszała Hera. — Jeśli się boisz, sama go wezmę!

— W każdym razie zróbcie to — burknął Posejdon. — Widzicie przecież, że ja mam pełne ręce roboty.

Rzeczywiście, srogi bóg, władca mórz, wysp i rzek, odłożywszy trójząb, którym mógł wzniecać i uciszać burze, a nawet powodować trzęsienia ziemi, pochylony nad śpiącym Zeusem szybko i z zaciekłością związał swoją rzemienną sieć.

Apollo przestał się wahać. Na tle czystego błękitnego nieba zaśniło coś przez mgnienie jak bezgłośna błyskawica. Był to ni mniej, ni więcej tylko słynny piorun, który pan antycznego świata dzierżył zwykle w dłoni jako oznakę swojej władzy. Straszny piorun nie wyglądał zbyt imponująco. Przypominał pęk złotych drucików zakończony z obu stron grubo splecionymi i zwiniętymi warkoczykami. Przed tym pękiem drucików drżeli jednak nie tylko ludzie, lecz nawet bogowie.

Osobliwym zrządzeniem losu Apollo, odebrawszy obalonemu Zeusowi straszliwą broń, złożył ją na porośniętej mchem skale nie dalej niż o dwa metry od Bolka.

— No! — zawołał w tym momencie Posejdon prostując się z ulgą. — Skończone!

Zawiązałem dokładnie sto węzłów. Długo się nabiedzi ten, kto zechce je rozsypać. Teraz nasz przyjemniaczek nic już nikomu nie robi. Musimy się naradzić, co z nim począć. Zepchnąć go do podziemi? Gotów stamtąd wrócić.

— Na razie zostawimy go tutaj — orzekła rozkazującym tonem Hera. — Niech leży i przygląda się moim rządóm. To będzie dla niego najlepsza kara. Pęknie z zazdrości... cha, cha, cha!

— Twoim rządóm? — powtórzył powoli Posejdon gładząc się po rozczochranej brodzie.

— A co? Czy nie jestem tu panią? — Hera wyprostowała się dumnie. — Pomijając już, że i tak noszę tytuł królowej Olimpu, to tylko dzięki mojej inicjatywie ten przebrzydły kacyk leży teraz związany i zdany na naszą łaskę.

— No tak... — Apollo zatarł dłonie i uśmiechnął się niepewnie. — Tak... Ale czy ty, Hero, nie będziesz taka sama jak on?

— Co do mnie, nie chcę baby! — Posejdon przybrał groźną postawę. — Ja obejmę rządy!

Najwyższy czas, żebym rozciągnął swoje panowanie także na lądy. Morzami władałem dotąd mądrze i sprawiedliwie. Mam największe doświadczenie z was wszystkich. Ty, Hero, umiałaś tylko zrzędzić!

— Taaak?! — wysyczała żona obalonego Zeusa. — Spróbuj! Przekonamy się. Wezwę na pomoc Atenę z tarczą i dzidą, którą pokonała gigantów. A także Dionizosa i Mojry. Spójrzcie — schyliła się i podniosła małą złotą jabłoń obsypaną złotymi owocami — to dostałam od matki. Od samej Ziemi. I ta jabłoń będzie odtąd symbolem władzy na Olimpie.

— Akurat! — wykrzyknął coraz bardziej rozłoszczony Posejdon. — Ja wam zaraz... ja

wam... — uniósł trójząb i z rozmachem uderzył nim w skałę. Cała góra zadygotała.

— Co to za hałasy? — odezwał się nagle potężnie grzmiący głos, dochodzący jakby z głębi ziemi. Zeus zbudził się wreszcie, oprzytomniał i zobaczył, co zaszło. Zaryczał, wściekle targając więzami, ale sto węzłów trzymało mocno.

— Łajdaki! Zdrajcy! — wrzeszczał wszechpotężny dotąd władca świata. — Wszystkich was porażę piorunem! Banda szubrawców! Niewdzięcznicy! Natychmiast mnie rozwiązać! Piorun! Gdzie jest mój piorun?

Gromadka Olimpijczyków rozpierzchnęła się. Zeus był skrupowany i bezsilny, ale zbuntowani niebianie woleli mimo wszystko nie stać zbyt blisko. Tylko Hera nie cofnęła się ani o krok.

— Kogo porazisz? — spytała szyderczo. — Mnie? Od dzisiaj ja jestem twoją panią. Twoją i ich wszystkich — zatoczyła dłonią łuk, wskazując grupę milczących bogiń i bogów.

Zeus, choć tak srodze spętany, zdołał unieść się i usiąść. Nawet w swoim obecnym żalonym położeniu wyglądał wspaniale. Jego głowę zdobiły bujne loki spływające spod ozdobnego hełmu.

Twarz miał szeroką, majestatyczną, lecz w tej chwili czerwoną z wściekłości i wysiłku.

Gromowładny nie przestawał bowiem szarpać krępujących go więzów, próbując się uwolnić.

Nagle jego wzrok padł na Bolka. Chłopiec chciał uciec, skryć się w chmurze, ale nie zdążył.

— Śmiertelnik! — ryknął obalony monarcha. — Sprowadziliście śmiertelnika, żeby był świadkiem waszej zdrady a mojej hańby! Hej, ty! Rozkazuję ci, weź mój piorun i przynieś mi go!

Wszyscy bogowie jak na komendę spojrzeli w stronę, gdzie stał przerażony przybysz z dolin.

— Rzeczywiście śmiertelnik — Hera wzruszyła pięknymi ramionami. — Ale nikt go tu nie sprowadzał. Sam przyszedł. Widzisz, do czego doprowadziło twoje panowanie — zwróciła się ponownie w stronę męża. — Zwykli śmiertelnicy spacerują sobie po Olimpie jak po rynku w Atenach. Zostaw tego biedaka — powstrzymała Posejdona, który z groźną miną szedł w kierunku Bolka. — I tak nie wróci. Nie udało się to jeszcze żadnemu człowiekowi. I tym razem nie

dopuszczymy do tego. Na przykład... niechże weźmie ten piorun i odda go mojemu mężowi — zaproponowała łaskawie.

— Nie rób tego — zabrzmiał w tym momencie za plecami chłopca cichy kobiecy głos, miękki i melodyjny. — Żaden śmiertelnik nie może dotknąć złotego gromu Zeusa, bo zabiłoby go to natychmiast.

— Hej, ty ziemski robaku! — zaryczał znowu boski więzień. — Słyszałeś?! Natychmiast oddaj mi mój piorun!

— Co mam robić? — wykrztusił Bolek nie patrząc za siebie, by nie tracić z oczu zgromadzonych na szczycie niebian, a zwłaszcza Posejdona, który wprawdzie zatrzymał się po słowach Hery, lecz nadal spoglądał na ziemskiego chłopca niezyczliwym wzrokiem.

— Nic. Już nadciąga pomoc — wionął mu do ucha ten sam słodki głosik.

Chłopiec wykonał nieznaczny ruch głową. W razie czego i tak wróci na tę skałę, którą Pelos nazywa Gniazdem. Ta myśl dodała mu odwagi.

— Kim jesteś? — spytał cicho.

— Nereidą, nimfą morską, córką Nereusa. Na imię mam Tetyda. Sam widzisz, co się dzieje. Zeus rzeczywiście bywa czasem nieznośny, ale Hera jako władczyni nie byłaby wcale lepsza. Jest naprawdę niemożliwą zrzędą. Wątpię, czy Posejdon i inni powierzyliby jej boski piorun. A zatem na Olimpie rozgorzałaby wojna o panowanie. Nie mogłam do tego dopuścić. Dostatek jest wojen wśród ludzi. Nie wypada, aby tak samo postępowali bogowie... o, już idzie. Wkrótce Zeus będzie wolny.

Z białobłękitnego obłoku wypadł na oświetlony słońcem skalny grzbiet przerażający olbrzym wielkości drzewa. Miał sto ogromnych ramion i pięćdziesiąt głów. Zawarczał gniewnie i natychmiast rzucił się w stronę związanego władcy. Zanim zamachowcy zdążyli ochłonąć z wrażenia, już było po wszystkim. Uwolniony Zeus skoczył na równe nogi, porwał swój święty

piorun i zamachnął się na Herę.

— Stokrotne dzięki, Briareusie! — zawołał do olbrzyma. — Tobie także dziękuję, Tetydo.

Wynagrodzę was za to, coście zrobili! Ale najpierw policzę się z tą bandą — uniósł piorun. Cały Olimp rozgorzał od blasku jak od wybuchu gwiazdy. Błysk i ogień trwały krótko, lecz gdy Bolek, przecierając oczy, znowu ujrzał przed sobą szczyt góry, okazało się, że Zeusowi wystarczyło czasu, aby ukarać winnych.

Z wysoka, jakby z samego nieba, zwisały potężne łańcuchy zakończone ciężkimi złotymi bransoletami. W tych bransoletach tkwiły przeguby dłoni przywódczyni spisku, Hery. Bogini kołysała się bezwolnie tuż nad powierzchnią gruntu, nie mogąc jednak dotknąć go stopami.

— To byłoby to! — huknął Zeus spoglądając ze złośliwym uśmiechem na małżonkę. — A teraz policzymy się z resztą. Prawie wszystkim daruję winę, bo byliście namówieni przez tę jędzę — tu znowu zerknął na Herę — a sam wiem najlepiej, że kto jak kto, ale ona nie cofnie się przed najgorszymi pogroźkami. I, co więcej, potrafi je spełnić. Ukarzę jedynie dwóch: Apolla i Posejdona. Wy pomagaliście jej z własnej woli. Niewdzięczne durnie! Naprawdę chcieliście mieć taką władczynię?! Szkoda, że nie mogę spełnić waszego życzenia. To byłoby dla was najsroższą karą. Ale nie dam piorunu Herze, bo i niebo, i ziemię przewróciłaby do góry nogami. Okażę się łaskawszy. Słuchajcie wyroku — głos Zeusa zahuczał jak grom. — Wśród śmiertelnych jest mąż, na którego patrzę łaskawym okiem. Nazywa się Laomedon i panuje w nadmorskiej krainie, przez którą płynie rzeka Skamander. Pójdziecie do niego i będziecie mu służyć. On chce zbudować nowe miasto. Zamierza nazwać je Troją. Pomóżecie mu... a raczej wykonacie tę pracę dla niego. Miasto ma być jak się patrzy, wielkie, z pięknymi pałacami i wysokimi murami. Kiedyś, kiedyś padnie pod ciosami najeźdźców, lecz ci, którzy ujdą z płonącej Troi, założą z kolei państwo, które zawładnie całym światem ludzi, a jego mieszkańcy będą mnie czcić pod imieniem Jowisza. Ale dość o przyszłości! Jazda, wy obaj! Jeszcze dziś ofiarujecie Laomedonowi swoje służby. I

bądźcie zadowoleni, że wykpiłicie się tak tanim kosztem. Wynocha!

Apollo i Posejdon nie dali sobie dwa razy powtórzyć rozkazu. Odwrócili się i zniknęli w chmurach.

Rozliczywszy w ten sposób winnych, Zeus spojrział na Briareusa łaskawie:

— Mów, czego pragniesz. Należy ci się nagroda za to, że pośpieszyłeś mi z pomocą.

— Niczego od ciebie nie potrzebuję — odparł basowym, zachrypniętym głosem sturęki olbrzym. — Pomogłem ci, bo prosiła mnie o to Tetyda. A ja ją bardzo lubię... Poza tym nie chciałem, aby na Olimpie doszło do walki o władzę. Teraz pragnę wrócić do moich braci, Cygesa i Kottosa. Do widzenia!

To rzekłszy, kolos odszedł. Zeus patrzył za nim przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

— Może to i lepiej — zauważył. — Wolę dziękować pięknym dziewczętom niż ponurym olbrzymom. Tetydo, zbliż się. Chcę cię uściskać i ucałować.

Bolek ujrzał wreszcie boginkę, która tak niespodziewanie odezwała się za jego plecami, by ostrzec go przed podstępem Hery, i nie pozwoliła dotknąć świętego piorunu. Córka Nereusa ominęła chłopca i stanęła w ten sposób, żeby go zasłonić przed wzrokiem tryumfującego tyrana.

Była smukła, zgrabna i poruszała się z niewysłowionym wdziękiem.

— Cześć ci, panie — powitała Zeusa melodyjnym głosem. — Ale nie dziękuj mi, proszę. Jeśli natomiast uważasz, że naprawdę oddałam ci przysługę, to uczyn mi łaskę i uwolnij Herę. Spójrz tylko, jak cierpi!

— Tak, tak! Okaż miłosierdzie Herze — podchwycili inni niebianie. — Jest przecież twoją żoną. Dość już tego dyndania w powietrzu. Nikomu nie przystoi znęcać się nad Olimpijczykami... nawet tobie.

— Mnie? Mnie przystoi wszystko! — zagrzmiął Zeus. Jednak spojrział na zwisającą z nieba Herę. — I co, koteczku?! — ryknął. — Czy patrząc na nas z góry nie czujesz się królową?!

— Uwolnij mnie — wystękała nieszczęsna bogini. — Daję ci słowo, że nigdy już nawet nie pomyślę o zamachu stanu i zawsze będę cię słuchać!

— Cicho! Łziesz jak zwykle! Nawet jeśli cię uwolnię, to nie dlatego, żebym miał ci wierzyć. Dobrze jednak, niech będzie. Jeszcze ten ostatni raz zlituję się nad tobą. Ale pod jednym warunkiem. Będziesz mi podawać mój nektar zawsze punktualnie, bo nie będę codziennie czekał na niego pół godziny albo i więcej. Zrozumiano?!

— Tak, tak, mój mężu — załkała Hera. — Tylko wypuść mnie już, bo to bardzo boli!

Zeus zaśmiał się pogardliwie, po czym skinął piorunem. Nagle oswobodzona Hera spadła jak kamień na skalisty szczyt.

— Ale, ale, a gdzie ten śmiertelnik, który zakradł się tutaj, korzystając z zamieszania, jakiego narobiła ta lamentująca baba? Nie pozwolimy chyba, by wrócił na Ziemię i opowiadał, co tu widział?

Bolek dotknął palcami kieszeni, w której tkwiła piłka.

— Automacie Jeden–Jeden! Tym razem wolę nie sprawdzać, czy twoje zespoły bezpieczeństwa, jak nazywasz to urządzenie, przypadkiem się nie zepsuły — chłopiec mówił szybko, bo Zeus patrząc w jego stronę znowu unosił swój straszny piorun. — Świecie, świecie! Niech będę z powrotem na tej górze zwanej Gniazdem. Już!

ILE TYCH ŚWIATÓW?!

Ciemność, jaka otoczyła posiadacza kuli z kosmosu, wydawała się tak gęsta, że odruchowo sięgnął do oczu sprawdzając, czy ktoś nie przewiązał mu głowy czarną przepaską. Ale już w następnym momencie ujrzał nad sobą gwiazdy, pod gwiazdami maleńkie światełka na morzu i lądzie, a tuż przed sobą krawędź przepaści. Wtedy odetchnął głęboko i otarł czoło. — Ufff... — mruknął. — Mitologia stanowczo lepiej wygląda w książkach. Cóż za wstrętne typy! Jacy kłótniwi! A już ten Zeus! Grecy musieli mieć niezłego bzika, żeby czcić takiego boga. Jakies

mrukliwe olbrzymy, jakieś zręczące babska, jedno wynosi się przed drugie i chce rządzić.

Całkiem jak na Ziemi w dwudziestym wieku...

— Na Ziemi? — spytał w głowie Bolka głos z kosmosu.

Chłopiec zreflektował się:

— Na Ziemi? Co na Ziemi?

— Mówiłeś, że jeden wynosi się przed drugiego i każdy chce panować.

— A cóż to ciebie obchodzi? — burknął Bolek zły na siebie, że przed obcym automatem wyraził się tak niepochlebnie o swojej planecie. — Tam u ciebie z kolei nikogo nie obchodzi, co dzieje się dokoła niego. Nie wiem, co lepsze. Zresztą, od kiedy to zadajesz pytania?

— Pytania dotyczące Ziemi należą do zwykłego rozpoznania kosmicznego i są przewidziane w moim programie.

— Więc rób sobie rozpoznanie obserwując ludzi, którzy biwakują ze mną na Klio — rzekł pośpiesznie chłopiec myśląc, że jeśli konstruktorzy jego piłeczki poznają bliżej rodziców i państwa Uranisów, to obraz mieszkańców Ziemi, jaki uzyskają, nie będzie najgorszy. Przecież w gruncie rzeczy stanowili wcale sympatyczną gromadkę, w której nikt nie wynosił się przed drugiego i nikt nie chciał koniecznie rządzić.

— W obecnej sytuacji nie prowadzę żadnego rozpoznania — oznajmił Jeden–Jeden. — Nie mam kontaktu z macierzystym statkiem i jego załogą.

Bolek odpowiedział dziwnym pomrukiem, który czarna kulka mogła od biedy przyjąć jako wyraz ubolewania z powodu braku możliwości informowania mieszkańców kosmosu o wadach i zaletach ludzi. Aby umocnić to wrażenie, chłopiec dodał:

— Przepraszam, że tak z tobą rozmawiałem. Zdenerwowałem się trochę na Olimpie, to znaczy w owym świecie, który naprawdę miał taki Olimp, jaki wyobrażali sobie starożytni Grecy. Ci bogowie to ostatecznie tylko postacie z bajki, ale...

— Nie. Nie z bajki. Z innego wariantu czasoprzestrzeni — sprostowała łagodnie piłka. —

Tam oni rzeczywiście istnieją. Wyjaśniłem już, że każdemu światu myśli odpowiada konkretne załamane.

— To ile w końcu jest tych światów?! — nie wytrzymał Bolek. — A jeśli sobie wymyślę różową miskę pełną konfitury, po której łążą rozumne owady wielkie jak księżyc, ale podobne do widelców, i te owady będą myśleć oraz mówić wyłącznie wierszami, to okaże się, że i taki świat istnieje gdzieś naprawdę?

— Oczywiście. Nie wiem, czy istnieje teraz. Powstanie jednak w momencie, gdy go sobie wyobrazisz. Wtedy, rzecz jasna, będę cię mógł do niego przenieść.

Przez chwilę na skalnej platformie panowała zupełna cisza.

— Powiniennem się wreszcie przyzwycząić. — Bolek westchnął i zmienił temat: — Która godzina?

— Opuściliśmy Olimp tak, że powrót nastąpił dokładnie o tej samej porze, w której uprzednio wyruszyliśmy.

Chłopiec znowu coś zamruczał i podniósł do oczu swój wodoszczelny zegarek.

— Pół do dwunastej — zawołał przestraszony. — Tam na dole pewnie mnie już szukają!

Chociaż nie — uspokoił się. — Pelos powiedziałyby im, że zostawił mnie w Gnieździe... więc najpierw przyszliby tutaj. Ale tak czy inaczej, trzeba natychmiast wracać.

Schodzenie kamienistym piargiem było tak trudne i męczące, że w pewnym momencie Bolek pomyślał, czy nie zażądać od piłeczki przeniesienia go tam, gdzie znajdowałby się już w namiocie i zasypiał na swoim łóżku. Po zastanowieniu skrzywił się jednak i wzruszył ramionami.

— Nie. W końcu jakoś zejść. A na razie mam już po dziurki w nosie tego skakania z jednego świata do drugiego. Zupełnie jakbym był monstrualnym konikiem polnym, żyjącym w kosmosie, i hycał z jednej gwiazdy na drugą.

W obozie panował spokój. Z namiotu państwa Uranisów padał nikły blask nocnej lampki.

Pewno pani Pina nie śpi i siedzi przy Eli — pomyślał Bolek. — Biedna Eli...

Na wszelki wypadek przeszedł koło sąsiadów na palcach, wstrzymując oddech, i odsapnął dopiero u wejścia do własnego namiotu, który stał na Klio już od kilku dni, a równocześnie jeszcze dzisiaj w południe leżał zwinięty w mieszkaniu państwa Milejów. Chłopiec mimo woli pokręcił głową.

— Świecie, świecie — mruknął. — Ależ to wszystko dziwne!

— Świecie, świecie! — dobiegł go w odpowiedzi stłumiony głos taty. — Nie dość, że nosi cię po nocach, to jeszcze mamroczesz i prychasz jak kocur w marcu. Myślisz, że jeśli wyciągnąłeś z morza piękną nimfę, której przedtem nie udało ci się utopić, to możesz już sobie pozwalać na budzenie starego i zmęczonego życiem ojca?! Spać!

— Połóż się wreszcie, Bolku — dodała mama. — Pelos powiedział nam, gdzie jesteś. Nie powinieneś o tej porze chodzić po skałach.

— Już, już — odrzekł pokornie chłopiec wchodząc do namiotu. — Czy Eli dobrze się czuje?

— spytał jeszcze.

— Nic jej nie będzie — uspokoiła go mama.

— Przystaniecie wreszcie gadaaać... ooo... — ziewnął ojciec. — Co za rodzina — wymruczał sennie. — Świecie, świecie!

— Świecie, świecie! — zadudniło nad Bolkiem, zaledwie zdążył przytknąć ucho do poduszki.

— Świecie, świecie! — powtórzył ojciec przyglądając się, jak jego jedyny syn niechętnie otwiera najpierw jedno, potem drugie oko. — Co za młodzież! I że też akurat ja musiałem wyhodować na własnej piersi takiego śpiocha, obiboka i leniucha! Czy wiesz, nędzna namiastko turysty, że wszyscy, nie wyłączając Eli, siedzą już przy śniadaniu?!

Dźwięk słowa „śniadanie”, a zwłaszcza wzmianka o Eli zrobiły swoje. Bolek oprzytomniał.

Zerwał się, zrzucił lekką piżamę, włożył spodenki kąpielowe, złapał mydło, kubek, pastę i szczoteczkę do zębów, po czym jak strzała pomknął w stronę potoczku, przy którym urządzono obozową umywalnię. Odprowadził go głos babci:

— Nie śpiesz się tak. Do obiadu zostało jeszcze parą godzin.

Zdązysz na pewno.

Zdążył jednak i na śniadanie. Były płatki owsiane, jajecznica ze szczypiorkiem (skąd babcia wzięła świeży szczypiorek, na zawsze pozostanie jej tajemnicą) oraz placki z miodem.

— A teraz do roboty! — zawołał ochoczo pan Uranis odsuwając od siebie wymieciony do czysta talerz.

Eli posmutniała:

— Wy będziecie nurkować, a ja?

Wszyscy spojrzeli na nią ze współczuciem.

— Kochanie, musisz uzbroić się w cierpliwość — powiedziała miękko pani Pina. — Nie miałaś w nocy temperatury, więc twoja rana na pewno szybko się zagoi, ale na razie nie możesz moczyć głowy.

— Stanowczo nie — mama Bolka poparła tę opinię swoim lekarskim autorytetem. — W południe zmienię ci opatrunek. Zobaczymy. Przecięcie nie jest głębokie, ale gdyby zaczęło się jątrzyć, to miałabyś stracone wakacje.

— Myślę — wtrącił Pelos — że Eli mogłaby mimo wszystko popłynąć na pontonie, tam gdzie będziemy nurkować. W razie czego ogłosi alarm.

— Morze jest spokojne... — pani Uranis zawahała się. — Jeśli będziesz uważać... — spojrzała na córkę.

— Och, oczywiście, że będę! — zawołała Eli. — Zresztą dzisiaj i tak na mnie wypada kolej czuwania na powierzchni. A jutro...

— Zobaczymy — powtórzyła mama Bolka. — Sądzę jednak — dodała lojalnie — że jutro także nie będziesz jeszcze mogła wejść do wody. Ale przecież to tylko dwa dni! Dwa dni... a przed nami cały miesiąc! Głowa do góry, kochanie!

— To nie takie proste — mruknęła dziewczyna. — Wydaje mi się, że ta głowa waży pół tony...

Bolek w milczeniu przysłuchiwał się tej niewesołej rozmowie, patrząc na Eli z serdecznym współczuciem i nie mniej serdecznym podziwem. Młoda Greczynka wydawała mu się dzisiaj dziwnie podobna do pięknej Tetydy, która uratowała mieszkańców Olimpu przed wojną domową. Wprawdzie Tetyda miała włosy jasnozłote, gdyby jednak opasała je białym bandażem? Rozmyślania o pięknych boginiach przerwał chłopcu ojciec. Uczynił to w sposób dość szczególny. Mianowicie walnął syna dłonią po ramieniu i krzyknął mu prosto w ucho:

— Hop!

Bolek podskoczył.

— Briareus! Briareus! — zawołał. — Nie, nie! Pan Uranis ożywił się.

— Jak powiedziałeś? Briareus? Czy wiesz, kto to był?

Ja miałbym nie wiedzieć — chciał rzec chłopiec, który zdążył już nieco ochłonąć, ale w porę zdał sobie sprawę, że takie zdanie w jego ustach archeolog przyjąłby niechybnie jako przejaw zarozumiałstwa. Powiedział więc, spoglądając z wyrzutem na ojca:

— Tak. Czytałem o nim.

— Proszę, proszę — pan Andreas uśmiechnął się z uznaniem. — No cóż, może znajdziemy w tej jaskini jakieś amfory, na których będą przedstawione wizerunki postaci znanych nam z mitologii. A teraz dość gadania na ten temat. Nie mogę się wprost doczekać chwili, gdy dotknę choćby jednego naczynia. Chłopcy, do roboty. Przygotujcie sprzęt. Skafandry, maski, płetwy, noże i siatki. Te ostatnie spuścimy z łodzi i będziemy wkładać do nich nasze łupy, a potem

ostrożnie wciągać je na pokład. Ja sprawdzę zawory butli i sprężarkę. A potem zaraz odbijamy!

— Jak to? — bąknął Bolek. — Przecież ani aqualungi, ani sprężarka jeszcze nie przyje... —

urwał nagle. Zapomniał na śmierć, że sam w nocy zmienił świat na taki, w którym wszystko, co może być potrzebne do badań podmorskich, znajduje się już na miejscu! — To znaczy...

chciałem powiedzieć... — zająknął się — no... już lecę! — zakończył. Odwrócił się i jak

szalony pobiegł w stronę brzegu, gdzie obok pontonów i wielkiej gumowej łodzi stała na niskim wózekczku nieduża, ale skomplikowana maszyna służąca do napełniania butli sprężonym powietrzem. Obok niej leżały porządnie poukładane kolorowe aparaty do swobodnego nurkowania.

— Czy on na pewno nie uderzył się wczoraj w głowę? — dobiegły go jeszcze słowa ojca.

— Nie — odpowiedziała z całą powagą Eli.

— Nie — potwierdziła babcia Miła. — Gdybyście mnie zapytali o zdanie, powiedziałabym wam, że ten młody człowiek rzeczywiście stracił głowę, chociaż powodem tego uszczerbku wcale nie była skała, tylko pewna młoda osóbka, której imienia nie wymienię.

— Och! — zawołała cicho Eli.

— Hmm... — mruknął po namyśle jej ojciec. — No, to mamy dwoje chorych...

— Tato!

— Co, córeczko? — spytał niewinnym tonem pan Andreas. — Przecież jesteś ranna, czyż nie tak? Aż za dobrze widać, że masz obandażowaną główkę. Natomiast, może właśnie z winy tego bandażu, trudno dociec, co w tej główce siedzi. Za to Bolek...

— Dajcie spokój — zaproponowała pani Milejowa. — Moglibyście zdobyć się na odrobinę delikatności. Poza tym, podobno mieliście nurkować?!

Na tym rozmowa się urwała. Jednak domysły babci nie były pozbawione pewnych podstaw.

Dwadzieścia minut później Bolek, już w kompletnym podwodnym stroju, kierując powoli dużą

Łódź ku pionowej skale, nie przestawał zerkać w stronę płynącego obok pontonu, z którego wystawała ciemna główka opasana białą gazą.

Jako pierwszy pozostał w łodzi ojciec Bolka. Jego syn był wczoraj w podwodnej grocie i tylko on mógł wskazać najkrótszą drogę ekipie badawczej. Archeolog tak palił się do spodziewanych odkryć, że przyjaciel nie mógł pozwolić mu czekać na powierzchni.

Nurkowanie odbywało się dzisiaj zupełnie inaczej. Nie trzeba było ciągle zerkać na zegarek, siłą wstrzymywać powietrza i wypływać dla zaczerpnięcia tchu akurat wtedy, gdy zobaczyło się coś ciekawego. Zawory butli pracowały bez zarzutu, a sprężone w wysmukłych pojemnikach powietrze pozwalało pozostawać pod wodą przez wiele minut.

Upuszczona przez Eli amfora leżała na skale tuż za otworem prowadzącym w głąb jaskini. Pan Uranis pokiwał Bolkowi ręką, po czym ostrożnie uniósł naczynie i umieścił je w sieci. Następnie powolutku wpłynął do groty. Chwilę później chłopiec ujrzał błysk reflektora, przymocowanego do opaski obejmującej czoło archeologa. Bolek, uzbrojony w identyczną lampę, zapalił ją.

Snop jasnego światła padł na dno jaskini. Akurat w tym miejscu ze skały wystawał kolec podobny do ogromnej igły. Chłopiec zszedł trochę głębiej i wyciągnął rękę. W tym momencie płaski kamień z owym iglastym kolcem oderwał się od dna i, falując szerokimi płetwami, niespiesznie popłynął ku wyjściu.

Bolek nie poruszył się. Oglądał dużo filmów i albumów przedstawiających okazy fauny Morza Śródziemnego, od razu więc rozpoznał pewien nieszkodliwy gatunek płaszczy. Spłoszona ryba odsłoniła szeroką szczelinę między dwoma wielkimi głazami. Wewnątrz tej szczeliny widniało kilka baniastych przedmiotów, które wyglądały, jakby przywieziono je tu specjalnie z muzeum starożytnej sztuki garncarskiej.

— Bulbulbulbul! — powiedział Bolek do archeologa, który zdążył już oddalić się o kilka metrów. Pan Uranis jednak nadal płynął w głąb jaskini. Wtedy chłopiec, odwracając co chwila

głowę, aby nie zgubić miejsca zajmowanego przedtem przez płaszczkę, puścił się w pogoń i pochwycił archeologa za nogę.

— Bulbulbul!

Pan Uranis posłusznie zawrócił. A kiedy znalazł się nad odkrytą przez Bolka szczeliną i ujrzał leżące w niej naczynia, sam zawołał z nietajonym entuzjazmem: „bulbulbulbulbul!”

Półtorej godziny później mała flotylla poszukiwaczy skarbów z wyspy Klio zmierzała powoli w stronę zatoczki. Wielka gumowa łódź była głęboko zanurzona i posuwała się opornie, zmuszając wioślarzy do ustawicznego wysiłku. W dodatku fale rosły z minuty na minutę, a niebo zasnuło się niskimi, potarganymi chmurami. Świat zmienił się tak bardzo, jakby to nie ziemską przyrodą, ale czarny automat z kosmosu dał próbkę swoich możliwości.

Nikt nie zwracał jednak uwagi na wspinające się wciąż wyżej fale bryzgające pianą. Zbawcza zatoczka była tuż, a w ich łodziach spoczywał ładunek, jaki ogromnej większości archeologów może się jedynie przyśnić.

W szczelinie, odkrytej przez Bolka dzięki kolczastej płaszczce, tkwiły cztery starogreckie amfory. Dwie z nich były uszkodzone, ale dwie zachowały w nienaruszonym kształcie swoje delikatne pałkowate uchwyty. Ponieważ leżały w wodzie, nie pozostał na nich ślad barwy. Lecz to był dopiero początek dzisiejszych emocji. Bowiem zaraz za pierwszą rozpadliną znajdowała się druga, o wiele szersza, wypełniona piaskiem. Rozgarniając ostrożnie ten piasek, pan Uranis wraz z Bolkiem i jego ojcem, który ujrzawszy amfory dołączył do „szturmowej” dwójki, znaleźli jeszcze dziesięć różnorodnych naczyń. Były szczelnie zamknięte. Ich otwory zasklepiono przed wiekami grubą warstwą gliny, która do dziś chroniła zawartość przed wdarciami wody.

— Wewnątrz może być wino albo ziarno, albo cenne pachnidła — powiedział archeolog, gdy po powrocie do łodzi uwolnił się od maski z ustnikiem. — Leżały w piasku i mule jak w najlepszej kasie pancерnej, czy raczej lodówce. Piasek i muł ocaliły także ich zdobienia. O, to są

pitosa do przechowywania wina i oliwy, a to hydrie... i flakony. Spójrzcie na te wzory! Coś fantastycznego! — entuzjazmował się.

Sześć spośród dziesięciu naczyń rzeczywiście wabiło wzrok dobrze zachowanymi malowidłami. Dwa mniejsze, krągłe, z krótkimi szyjkami, posiadające po jednym dosyć grubym uchwycie, pokryte były dość delikatną siatką linii niejednakowej długości, gdzieniegdzie zachodzących na siebie, w innych j miejscach rozstępujących się tak, że tworzyły osobliwe geometryczne figury o harmonijnych kształtach. Natomiast na dwóch innych, dużych, o szerszych płaskich otworach, niewysokich szyjkach i trzech imadłach starożytni garncarze umieścili malutkie figurki ludzi i ptaków. Na widok innych dwóch naczyń pan Uranis szepnął: „Egipt, Egipt” — i zamilkł. Te z kolei malowidła były prościutkie i przypominały trochę rysunki przedszkolaków, ale poza ludzików, zaznaczone jedynie pojedynczymi kreskami, zdradzały mistrzowską rękę artysty.

Jednakże nawet tak bogate znalezisko nie wyczerpało archeologicznego skarbcza ukrytego pod przybrzeżną skałą. W najgłębszym punkcie groty ojciec Bolka natrafił na skrzynię sporządzoną z trzciny umocnionej gliną oraz dodatkowo zabezpieczoną metalowymi pasami. Metal zniszczyła rdza, ale skrzynka mimo to zachowała swój pierwotny kształt. Była ciężka, więc wyciągnięcie jej i przetransportowanie na łódź zajęło pełne pół godziny. Oczywiście, zanim to nastąpiło, zarówno naczynia jak i skrzynka zostały dokładnie obfotografowane i sfilmowane podwodnymi kamerami, które znalazły się wśród rzeczy zamówionych przez pana Uranisa i błyskawicznie dostarczonych na Klio dzięki czarnej kulce. No, a potem morze, jakby rozzłoszczone na zuchwalców, którzy ośmielili się targnąć na jego tajemnice, zaczęło swoje groźne harce. Trzeba było wracać.

— Wciągnijcie łódź i pontony aż pod namioty! — zawołał do chłopców archeolog, kiedy już wylądowali. — Zbliża się sztorm. Fale hulają wtedy po całej plaży. Dobrze przywiążcie sprzęt.

Będzie dmuchać!

Bolek i Pelos posłusznie przystąpili do zabezpieczania łodzi i ekwipunku, zerkając tylko od czasu do czasu na pozostałych obozowiczów, którzy powoli i z namaszczeniem umieszczali znalezione skarby w namiocie państwa Uranisów. Skrzynka została wniesiona jako ostatnia. Przedtem archeolog ostrożnie otarł ją gazą z mułu i resztek wodorosli.

— Jeśli odważą się otworzyć coś bez nas... — zaczął z pogrózką w głosie Pelos.

— To wezwę Posejdona i poproszę, aby zesłał nam taki huragan, jakiego nikt tu jeszcze nie widział — dokończył Bolek umieszczając w załomie skały stalową kotwiczkę, do której przywiązał linę biegnącą od dziobu łodzi.

— Niestety, Posejdon już dawno wyprowadził się z Olimpu... — stwierdził nie bez żalu Pelos, zakończywszy upychanie podwodnych kostiumów w niszy utworzonej przez głazy blisko miejsca, gdzie zaczynała się droga do Gniazda.

— Kto wie? — mruknął Bolek. Gdyby tylko mógł zwierzyć się temu młodemu ateńczykowi, że nie dalej jak tej nocy bawił wśród bogów jego protoplastów! Ale w takim razie musiałby też opowiedzieć o automacie Jeden–Jeden i od razu zademonstrować jego działanie, inaczej nikt by mu nie uwierzył. A potem zostałyby jeszcze historia kryształowej planety, no i jego własnych wędrówek z jednego świata do drugiego... Może kiedyś porozmawia o czarnej piłce z ojcem, ale z nikim innym. O ile, naturalnie, ci z gwiazd nie odnajdą zbyt szybko swojej zguby — odruchowo zadarł głowę i rozejrzał się po niebie. Na szczęście, pod coraz ciemniejszymi chmurami nigdzie nie było widać latającego spodka.

— Idiotyczny pomysł — powiedział na głos budząc zrozumiałe zainteresowanie Pelosa.

— Jaki pomysł?

— Z tym Posejdonem... a resztą w ogóle. O, zaczyna lać! Skończyłeś?

— Tak. A ty?

— Ja też. Biegnijmy!

W namiocie panował tłok. Potęgowało go jeszcze to, że gospodarz nie pozwolił nikomu podchodzić do ustawionych pośrodku łupów, przywiezionych z podwodnej wyprawy, w wyniku czego wszyscy musieli cisnąć się przy ścianach. O dach namiotu zabębniła ulewa. Maszty zadygotały. Znad morza dobiegł łoskot. To spienione fale zaczęły wściekle walić o skaliste brzegi wyspy.

— Otwieramy? — spytał niecierpliwie ojciec Bolka.

Archeolog spojrział na niego z wyrzutem i pokręcił przecząco głową.

— Tak od razu? Tę skrzynię? O nie! Przedtem musimy ją dokładnie opisać i jeszcze raz sfotografować. I sporządzimy szczegółową mapę Klio i podwodnej jaskini. Bo moglibyśmy zapomnieć.

Przez następnych kilka minut wewnątrz namiotu wypełniało ostre, krótkie światło lampy błyskowej. Znalezione przedmioty zostały ponownie obfotografowane ze wszystkich stron.

— To na razie tyle — rzekł archeolog chowając swój wielki aparat o staroświeckich kształtach. — A teraz zabawimy się w kartografów. Zróbcie trochę miejsca.

Gromadka ścisnęła się jeszcze bardziej, odsłaniając umieszczony pod ścianą składany stolik, na którym spoczął arkusz cienkiego kratkowanego papieru.

— Północ, południe, wschód, zachód — pan Uranis narysował strzałki wskazujące strony świata. — A teraz Klio — kilkoma pociągnięciami naszkicował brzegi wyspy — i jej sąsiedztwo — na mapie pojawiły się zarysy okolicznych archipelagów, Zatoki Salonickiej i linia lądu stałego. Następnie zaznaczył na wyspie położenie obozu, plaży oraz skały z podwodną jaskinią. W niej ołówek archeologa poczynił kilka krzyżyków.

— Doskonale! — pochwalił go ojciec Bolka. — Dokładnie tam znajdowała się ta ceramika i skrzynia. No to co? — powtórzył swoje. — Otwieramy?

Skrzynia, która przeleżała w piasku i mule tysiące lat, była pełna. Po ostrożnym zdjęciu zardzewiałych klamer i uniesieniu wieka oczom zebranych ukazało się mnóstwo niedużych, dobrze zachowanych glinianych tabliczek, z wyraźnie widocznymi wklęsłościami i wypukłościami tworzącymi nieregularne wzory.

Ale to nie wszystko. Skrzynia miała przegrodę dzielącą ją na dwie nierówne części. Większą wypełniały po brzegi wspomniane tabliczki. Natomiast w mniejszej stały owinięte resztkami trawy, czy może raczej trzciny, jeszcze dwa naczynia. Wyglądały zupełnie inaczej niż te znalezione w piasku. Były niższe, rozwarte i przypominały kielichy o poszerzonych, wygiętych krawędziach. Uwagę zwracały pokrywające je piękne kolorowe malowidła.

Archeolog przyjrzał się dokładnie glinianym tabliczkom, po czym ostrożnie wyjął ze skrzyni jedno z barwnych naczyń, uniósł je w górę i obrócił w dłoniach tak, żeby wszyscy mogli obejrzeć cały zdobiący je rysunek.

— Patrzcie! Wazy! — rozległy się głosy.

Malowidło na wazie przedstawiało nader dziwną postać. Było to stworzenie posiadające głowę kozy, tułów lwa, a dwie tylne łapy splatały się ze sobą tworząc długi zwinięty ogon węża.

— Ależ to Chimera! — zawołał ojciec Bolka.

— Masz rację, Enryku — rzekł przyciszonym głosem pan Andreas. — To Chimera. Słynny potwór ziejący ogniem. Według greckich legend była córką Tyfona i Echidny, wychowaną na dworze Amisodarosa, króla Karii. Na rozkaz innego króla uśmiercił ją Bellerofont. Zrobił to w ten sposób, że poraził ją z góry, unosząc się na skrzydlatym koniu, Pegazie. W muzeum we Florencji można dziś oglądać posąg Chimery będący dziełem artystów etruskich, żyjących w Italii przed jej podbojem przez Rzymian. Ale niestety, ta legenda musiała powstać znacznie później, niż życzyliby sobie greccy historycy, bo nasz potworek — spojrzał czule na spoczywające w jego dłoniach naczynie — był już szeroko znany, zanim jeszcze komukolwiek

przyszło do głowy, że istnieją jakieś bóstwa mieszkające na szczycie Olimpu. Musicie wiedzieć, że podobny rysunek znaleziono w szczątkach świątyni w Karkemisz. Świątynia ta leży w dzisiejszej Turcji, a zbudowali ją Hetyci, którzy niegdyś tworzyli silne państwo na obszarze Anatolii. Stamtąd to sympatyczne stworzonko przywędrowało zapewne najpierw na Kretę, a dopiero potem zostało sobie przywłaszczone przez moich przodków. Ale tutaj — ożywił się — mamy do czynienia z niezwykle ciekawym połączeniem. Te gliniane tabliczki to po prostu dokumenty oraz korespondencja dyplomatyczna, handlowa lub zgoła prywatna. Pochodzą one, jeśli się nie mylę, z Mezopotamii, i to z Mezopotamii Sumerów, starożytnego ludu, który stworzył świetną cywilizację jeszcze wcześniej, niż wspomniani Hetyci. Skąd więc wzięły się w jednej skrzyni sumeryjskie gliniane listy i waza z wizerunkiem Chimery? Oto zagadka godna archeologii.

— Może rozbił się tutaj jakiś sumeryjski statek wiozący towary na sprzedaż albo dary dla mieszkańców krajów, które żeglarze chcieli odwiedzić? — wyraziła przypuszczenie Pina Uranis.

— Poselstwo — podchwycił ojciec Bolka marszcząc brwi. — Tak, to mogłoby być poselstwo.

Potrafisz przeczytać, co tu jest napisane? — zwrócił się do archeologa.

Ten uśmiechnął się nieco melancholijnie, ostrożnie umieścił naczynie z wizerunkiem Chimery na jego dawnym miejscu, po czym powiedział:

— Nauczyłem się znaków sumeryjskiego pisma od moich kolegów specjalistów rozszyfrowujących starożytne teksty. Ale tu, na Klio, nie mam ze sobą sumeryjskiego alfabetu.

— Alfabetu? — powtórzył Bolek. — Jak to, alfabetu?

— To znaczy innych tabliczek, już odczytanych, oraz odtworzonych na ich podstawie znaków. Zresztą znaczenie niektórych znaków pozostaje jeszcze nadal przedmiotem sporu różnych badaczy. Nie. Nie jestem aż tak mądry, żebym miał odwagę przystępować do tłumaczenia nowych, świeżo znalezionych tekstów. Poza tym są to zapewne spisy i listy

zawierające imiona, które trzeba by od razu porównywać ze źródłami historycznymi, lub cyfry dotyczące zbiorów, podatków, obrotów kupieckich i tak dalej. Sumerowie byli dokładnymi buchalterami — zaśmiał się. — A w końcu, co innego buszować pod wodą i wyciągać stare naczynia oraz tajemnicze skrzynie, a całkiem co innego całymi dniami ślęczyć nad jednym zdaniem starożytnej inskrypcji. Ostatecznie ja także mam wakacje. No, a mówiąc poważnie, będzie lepiej, jeśli badanie tych tabliczek i ceramiki odłożymy do czasu, gdy znajdą się one w pracowniach muzeum i zostaną poddane przynajmniej wstępnej konserwacji. Jak tylko morze się uspokoi, popłynę na najbliższą zamieszkaną wyspę i wezwę drogą radiową statek mojego Instytutu w Atenach. Sam bałbym się przewozić nasze znaleziska...

On znowu chce płynąć — westchnął Bolek. — Przedtem wybierał się po sprzęt do nurkowania a teraz... Nie obejdzie się bez pomocy czarnej piłeczki. Inaczej zamiast prowadzić dalsze poszukiwania, będziemy tu beczynnie czekać na jego powrót. A swoją drogą z tymi przesiadkami do innych światów, to tak jak z czytaniem pasjonującej książki. Kiedy człowiek raz zacznie, nie może się od niej oderwać, chociaż wie, że powinien przestać, bo następnego dnia będzie niewyspany, ogłupiały i w efekcie oberwie dwóję z fizyki.

Pan Uranis zamknął skrzynię i przykrył ją kocem. Zebrani w namiocie obozowicze przyjęli to jako hasło powrotu do współczesności.

— Już trzecia! — zawołała babcia Miła. — Czas na obiad! Na szczęście wszystko przygotowałam rano. Zabierajcie te skorupy i nakryjcie do stołu! Idę po moje garnki. Wprawdzie nie ma na nich namalowanych Chimer ani innych bydląt, ale zobaczymy, czy wam się nie spodobają.

— Tu będziemy jeść? — spytał z niepokojem pan Uranis.

— Pewnie, że tutaj! Czy myślicie, że pozwolę chorej Eli biegać po deszczu tylko dlatego, że nieszczęsna dziewczyna ma ojca archeologa?

— Och, świetnie się czuję — zaprotestowała Eli, ale babci nie było już w namiocie.

Dziesięć minut później tajemnicza skrzynia spoczęła w kącie, obok łóżka pana Uranisa. Tam również umieszczono pieczołowicie okryte folią naczynia.

— Już nie pada! — oświadczyła radośnie babcia wracając z obiadem. — Niebo jaśniej w oczach. To był tylko taki przelotny, olimpijski deszczyk.

— Dlaczego akurat olimpijski? — spytał się Bolek.

— Bo nawet Zeus, w przeciwieństwie do ciebie, myje się od czasu do czasu — wyjaśniła babcia. — A kiedy to robi, wszystko na ziemi pływa. Tak jak w naszej łazience, kiedy z niej wyjdiesz.

— Jeżeli się w ogóle nie myję — rzekł urażony chłopiec — to nie mogę przecież chlapać w łazience.

Zdawać by się mogło, że żelazna logika tej odpowiedzi zawstydzi babcię i odbierze jej wszelkie kontrargumenty. Stało się jednak inaczej.

— Ty wszystko potrafisz — usłyszał chłopiec zdanie wypowiedziane tonem ucinającym dalszą dyskusję. — A teraz do stołu.

W czasie obiadu Bolek nieustannie myślał o starożytnych artystach i ich dziełach, do dziś wzbudzających zachwyt nie tylko historyków, lecz w ogóle wszystkich ludzi czułych na piękno. A także o tym, że te znalezione dziś amfory i tabliczki oraz przedmioty, jakie przedtem widywał w muzeach, używało tyle rozmaitych ludów, mieszkańców wielkich miast i potężnych państw, rozwijających się, rozkwitających, a potem walących się w gruzy, na których z biegiem lat ktoś inny znowu budował osiedla i zakładał mocarstwa.

I na Ziemi mieliśmy mnóstwo światów — przebiegło chłopcu przez głowę. — Chociaż dzisiaj jest tylko jeden... Jakby odgadując jego myśli, pan Uranis rzekł nagle:

— Cywilizacja europejska jest cywilizacją grecką. Oczywiście, jej twórcami są w znacznym

stopniu także Sumerowie czy Kreteńczycy, ich nie znani nam jeszcze poprzednicy oraz inne ludy, na przykład te, które niegdyś zamieszkiwały Afrykę bądź Azję, a zwłaszcza Indie. Jednak właśnie tutaj na wyspach i obrzeżu Morza Egejskiego historia urządziła taki kocioł, w którym wszystkie te wpływy wymieszała, wygotowała i upichciła z nich kulturę śródziemnomorską. Do dziś narody całej Europy uważają się za spadkobierców tej właśnie kultury. Choć sam jestem Grekiem i powinienem być dumny ze swoich pradziadów, to jako historyk muszę stwierdzić, że prawdopodobnie z tej naszej cywilizacji także pozostałoby bardzo, bardzo niewiele, gdyby nie Rzymianie.

— Jak to? — spytała z niedowierzaniem mama Bolka. — Owszem, Rzymianie podbili prawie cały kontynent, budowali wspaniałe drogi, wodociągi, mosty i łaźnie, stworzyli prawa do dziś dzień stanowiące podstawę wszystkich kodeksów cywilnych i karnych, ale jeśli chodzi o kulturę, a zwłaszcza sztukę, to byli tylko i wyłącznie uczniami Greków.

— Dobrymi uczniami. Dobrymi uczniami — powtórzył pan Uranis. — Przyswoili sobie dorobek kulturalny i artystyczny Hellady, łącznie z religią. Przecież nasz Zeus to ich Jowisz, nasza Artemida to ich Diana, i tak dalej. A jak w czasach poprzedzających powstanie Imperium Rzymskiego wyglądała Grecja? Dziesiątki maleńkich państweczek, skłóconych i zwalczających się nawzajem. Kres tym niszczycielskim waśniom, choć przykro mi to powiedzieć, położyli właśnie Rzymianie, podbijając całą Grecję i tworząc z niej jedną prowincję: Achaję. No a potem, przejąwszy kulturę moich przodków, rozpowszechnili ją w całej zawojowanej przez siebie Europie. Ich państwo trwało tak długo, że zdążyli wszędzie utrwalić swoje wpływy. A były to pod względem kultury i sztuki właśnie wpływy greckie. Gdyby nie Rzymianie, nie oglądalibyśmy dzisiaj nawet tych nielicznych zachowanych świątyń, posągów i amfor, bo moi krewcy pradziadowie, wiodąc wciąż bratobójcze wojny, zdołaliby w końcu wszystko zniszczyć i potłuc.

— Sądzę — zaproponowała pani Pina — że jest to pogląd, przeciw któremu znalazłoby się kilka argumentów.

— Ale zawiera wiele obiektywnej prawdy — poparł archeologa ojciec Bolka, jak wiadomo zagorzały entuzjasta Rzymu i jego dziejów.

— No pewnie! — wtrąciła się babcia Miła. — To tak jak z twoim synem. W domu był takim sobie motylkiem, robił, co chciał, i kłócił się ze wszystkimi, choć ty i Alicja opowiadaliście mu różne mądre historyjki, które ponoć nawet lubił słuchać. Ale dopiero kiedy poszedł do szkoły i tam dowiedział się, co to jest dyscyplina...

— A cóż za porównanie! — przerwał ze zgrozą Andreas Uranis. — Dom rodzinny, wolna Grecja, szkoła, Rzymskie Imperium. Nie!

— Przepraszam was — żona archeologa odsunęła talerz i wyrzała przez okno z folii. — Spójrzcie, już po deszczu. Świeci słońce. Zobaczycie — zwróciła się z uśmiechem do babci i mamy Bolka — jak teraz wszystko rozkwitnie. Tutaj rzadko pada. Jutro będziemy mieli istną tęczę na krzewach i całe łąki anemonów. A na razie, skoro mój małżonek przestał już obrzucać błotem naszych przodków, może wyszlibyśmy wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem?

— Tak, chodźmy — podchwyciła z zapalem Eli. — Popatrzmy na morze. Będzie jeszcze wzburzone. A czasem sztormy wyrzucają na brzeg różne ciekawe rzeczy.

Pierwszy odpowiedział na wezwanie Bolek. Wstał i uchylił płachtę zasłaniającą wejście do namiotu. W tej pozycji zastygł, jak paź czekający przy drzwiach na wejście monarchy. Najpierw wyszła babcia. Za nią szedł Pelos. Mijając Bolka mrugnął do niego porozumiewawczo. Bolek spochmurniał.

I pozostał naburmuszony, kiedy wreszcie zamajaczyła przed nim wdzięczna główka, spowita w biały bandaż. Eli obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, ale jeśli nawet miała zamiar coś powiedzieć, to nie zdążyła. Jej wzrok padł na morze. Natychmiast wybiegła z namiotu i

krzyknęła:

— Chodźcie! Patrzcie!

Dokładnie na wprost zatoczki, w odległości mniej więcej trzystu metrów od wyspy, kołysał się na wysokich falach dość duży biały statek.

— Mamy gości! — zawołał ojciec Bolka.

— Eeee... — wyraziła wątpliwość babcia.

— On nie płynie. Może wpadli na skałę? — Pina Uranis, przesłoniwszy dłonią oczy, wpatrywała się w smukłą sylwetkę motorowca.

— Rzeczywiście, stoi w miejscu — potwierdził jej mąż.

— Spuszczają łódź! — krzyknął Pelos.

Istotnie. Ze sterczących z górnego pokładu kabestanów zjeżdżała na linach motorowa szalupa z kilkusobową załogą. Chwilę później odbiła od burty statku i skierowała się prosto w stronę Klio.

— Płyną tutaj! Czegóż, u licha, mogą od nas chcieć? — burknął Bolek. — Czy uważają nas za rozbitków, których trzeba uratować?

— Sądzę, że to raczej oni potrzebują pomocy — odrzekł archeolog. — Nie było żadnej katastrofy, bo na pokładzie panuje spokój. Pewnie coś się popsuło.

— Co się mogło zepsuć? Przecież to pasażerski statek — Pelos wzruszył ramionami. — A sztorm nie był taki straszny. Tu zdarzają się prawdziwe huragany, kiedy wieje ten słynny wiatr znad Afryki.

Wyjaśnienie zagadki zbliżało się szybko, grając potężnym silnikiem. Dziób szalupy co chwila wpadał w fale i zaraz wyskakiwał z powrotem w górę, jak rozbawiona foka. Z brzegu widać było już nie tylko sylwetki, lecz także twarze trzech członków załogi. Dwaj mężczyźni siedzący przy rufie mieli na sobie nieprzemakalne kurtki z kapturami. Trzeci, zajmujący honorowe miejsce z

przodu łodzi, nosił na głowie elegancką marynarską czapkę. Silnik umilkł. Dziób szalupy spadł płasko na wodę. Łódź powoli wpłynęła do zacisznej zatoczki. Wtedy mężczyzna w biało-granatowej czapce wstał i pozdrowił czekających na brzegu. Następnie rozejrzał się po obozowisku. W pewnym momencie jego wzrok padł na pontony i zabezpieczony linami sprzęt do nurkowania. Wtedy plasnął w dłonie i zawołał:

— Nawet nie przypuszczałem, że tak nam się uda!

Dno szalupy zgrzytnęło o żwir. Człowiek w czapce wyskoczył na plażę, stanął naprzeciw babci Miłej i zasalutował.

— Dzień dobry — powiedział. — Nazywam się Vasilli Anatoleas i jestem pierwszym oficerem „Egidy”, to znaczy statku, który widzicie państwo przed sobą. Spędzacie na tej wyspie urlop, prawda?

— Spędzamy — przytaknęła babcia. — Obecni tutaj państwo Pinelopi i Andreas Uranis mówili nam przed przyjazdem, że ta wyspa jest bezludna. Ale widocznie nawet rodowici Grecy nie wiedzą, gdzie w ich kraju mieszkają ludzie, a w każdym razie, gdzie można się ich w każdej chwili spodziewać. Niestety, co do obiadu, to nie zostało ani okruszyny.

— Mamo! — zaprotestował z uśmiechem ojciec Bolka. — Panie Anatoleas — zwrócił się do oficera. — Ja i moja rodzina przyjechaliśmy z Polski. Kzeczywiście, mówiono nam, że na Klio nikt nigdy nie ląduje...

— Z Polski? — podchwycił marynarz z nagłym błyskiem w oczach. — Naprawdę? A może znacie Zbyszka Kowalskiego? (imię „Zbyszek” zabrzmiało w jego ustach jak „Zbyskos”). Jest nauczycielem. Jego ojciec walczył tu w czasie wojny z hitlerowcami i jakiś czas ukrywał się u moich rodziców. Mieszkaliśmy wtedy w górach... A potem Zbyskos kilka razy przyjeżdżał nas odwiedzić. Zaprzyjaźniliśmy się. Trzy lata temu i ja byłem u niego w Warszawie. Co, nie znacie go?

— Co do Kowalskich — mruknęła babcia Miła — to zapewne znalazłby się niejeden wśród naszych sąsiadów, znajomych, a może i dalszych krewnych. Ale żadnego Zbyskosa...

— Niestety, nie znamy — przerwał szybko pan Milej. — Jeśli jednak da nam pan adres, to po powrocie do Polski napiszemy do niego, że spotkaliśmy się tutaj, i przekażemy mu pozdrowienia.

A teraz niech pan powie, czemu wasz statek się zatrzymał? I czemu opuścił pan pokład?

— Była burza — rzekł marynarz. — Taka maleńka burza, właściwie nie ma o czym mówić.

Chociaż mieliśmy, jak zwykle, trochę kłopotów z pasażerami. Dziwna rzecz, że żołądki szczurów lądowych... przepraszam. Nie chciałem...

— Nie szkodzi — twarz babci rozciągnęła się w przymilnym uśmiechu.

— Tak, tak — zaśmiał się ojciec Bolka. — My, wie pan, prowadzimy podwodne poszukiwania, więc przy nas może pan śmiało mówić o szczurach lądowych, co panu tylko ślina na język przyniesie. Oczywiście, niczego nie znaleźliśmy — podkreślił z naciskiem, zerkając na gromadkę stojących obok obozowiczów — bo niczego nie szukaliśmy. Po prostu odpoczywamy z dala od ludzi.

— Doskonale to rozumiem — oficer westchnął z ulgą. — A jeśli chodzi o „Egidę”, to zatrzymaliśmy się, ponieważ mamy awarię. Nic poważnego, ale nie poradzimy sobie bez nurków. Tymczasem pech chce, że nie posiadamy na pokładzie ani jednego sprawnego aqualungu, nie wspominając już o nurkarskim skafandrze. „Egida” jest niedużym statkiem wycieczkowym, kursującym między Salonikami a Kretą. Po drodze odwiedzamy kilka historycznych wysp, bo wozimy zwykle obcokrajowców. Dzisiaj także mamy na pokładzie prawie wyłącznie turystów z Anglii. Niby taki morski naród, a kiedy zaczęło troszeczkę kołysać, to aż wstyd mówić... ale mniejsza z tym. No, więc ta maleńka burza przygnała skądś ławicę wodorostów, gęstą jak milion splątanych sieci rybackich. Nie widzieliśmy jeszcze czegoś podobnego! Wodorosty tak szczelnie oblepiły nam śruby i ster, że statek ani drgnie! Musieliśmy

więc wyrzucić kotwicę. Potem, kiedy niebo pojaśniało, ujrzyliśmy na wyspie namioty i pomyśleliśmy sobie, że być może spotkamy kogoś, kto będzie miał ze sobą aqualungi. Na tym terenie zawsze roi się od płetwonurków. Wobec tego przypląnąłem... i od razu zauważyłem wasz sprzęt. Jest doskonały! Znam się na tym. Sam nurkuję, jak tylko mam trochę wolnego czasu. Pewno, że doskonały — rzekł sobie w duchu Bolek. — Automaty z kosmosu nie podrzucałyby nam tandety...

— Serdecznie proszę, żebyście nam pożyczyli dwa komplety do nurkowania. Na godzinę, może nawet mniej — zakończył marynarz.

Panowie Milej i Uranis spojrzeli po sobie.

— Mój będzie za mały — powiedziała z nieco przesadnym żalem w głosie Eli.

— Obawiam się, bardzo się obawiam, że mój także — Pelos westchnął z ubolewaniem.

— Kobiece stroiki podwodne chyba was nie interesują? — rzekły zgodnym chórem obie mamy.

Archeolog nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Natychmiast zawtórował mu ojciec Bolka.

— Powariowaliście?! — spytała babcia, która patrzyła ze współczuciem, jak biedny marynarz cofa się obserwując rozszerzonymi oczami pokładających się ze śmiechu wyspiarzy.

— Nie powariowaliśmy... cha, cha, cha! Oczywiście, że wam pomożemy... — wykrztusił wreszcie pan Uranis. — Przepraszam... — spojrział błagalnie na oficera.

— Co ich opętało? — spytała z niesmakiem babcia Miła. — Czy ta burza nie przygnała oprócz wodorostów także jakichś bakcyli, które szerzą spustoszenie w mózgach?

— Nasze mózgi są w najzupełniejszym porządku — zaprotestował jej syn łapiąc kurczowo powietrze. — Ale łgaliście wszyscy tak wspaniale! Panie Anatoleas... pan sam nurkuje, więc chyba pan nas rozumie? Ubiór nurkarski to coś takiego jak szczoteczka do zębów. Czyli jeden z tych przedmiotów, które pożyczają się bardzo, ale to bardzo niechętnie.

Oficer stał chwilę niezdecydowany, po czym uśmiechnął się i skinął głową.

— Oczywiście, że rozumiem! Dla prawdziwego hobbisty rozstanie się z ukochanym sprzętem to rzecz po prostu straszna! Ale — zmarkotniał — w takim razie „Egida”...

— A czy oczyszczenie śrub i steru to takie skomplikowane zadanie, że mogą je wykonać jedynie kwalifikowani marynarze? — spytał pan Uranis. — Ręczę, że zrobimy to solidnie.

Zgoda?

Marynarz nie wahał się ani przez chwilę.

— Naturalnie! Bardzo wam dziękuję! Popłyniecie naszą szalupą, a potem odwieziemy was na wyspę. No to — obejrzał się na morze — gdybyście, panowie, rzeczywiście byli tak uprzejmi...

— Zaraz jedziemy — rzekł ojciec Bolka ruszając w stronę skały, pod którą spoczywał sprzęt.

— Wszyscy — dodał z naciskiem Pelos. Archeolog potrząsnął głową.

— Nie wszyscy. Na wyspie zostają kobiety i trzeba się nimi opiekować — znalazł chytry wybieg. — Zresztą dwóch nurków wystarczy. Gdyby nas było więcej, przeszkadzalibyśmy sobie tylko.

— Świecie, świecie! — mruknął pod nosem Bolek,

— A czy po tej burzy woda nie będzie za zimna? — zatroszczyła się babcia. — Takie nurkowanie po obiedzie to gotowe nieszczęście.

— Nie będzie żadnego nieszczęścia — zapewnił ją pan Uranis. — Najwyżej zjemy trochę więcej na kolację. Zimna kąpiel znakomicie wpływa na apetyt.

— Dostaniecie obaj podwójną porcję mlecznej zupy.

Piętnaście minut później szalupa z dwoma nowymi pasażerami, odzianymi w kompletne stroje do nurkowania, podpływała już pod burtę „Egidy”. Przybysze ujrzeni nad sobą ciasno stłoczone głowy pasażerów, którzy po zwiedzeniu zabytków Krety, a przede wszystkim pałacu Minosa zbudowanego przez mitycznego Dedala, wracali do Salonik.

— Patrzenie, patrzenie! — wołano. — Nurkowie! Pewnie na tej wysepce znajduje się stacja ratownictwa morskiego.

— Dzielni chłopcy! — zauważył jakiś mężczyzna. — Od razu widać, że całe życie spędzają na morzu, walcząc ze sztormami, rekinami i węzami morskimi.

— Węzów morskich nie ma — mruknął ktoś inny.

— Kto wie, kto wie.

— Widzicie? Już biorą się do roboty! O, jak pięknie zszedł pod wodę! Panie kapitanie! Panie kapitanie!

— Słucham szanowną panią? — z pokładu dobiegł niski głos.

— Jak długo potrwa naprawa?

— Właściwie trudno mówić o naprawie. Wszystkie urządzenia statku działają bez zarzutu.

Chodzi tylko o oczyszczenie z wodorostów steru i śrub napędowych. Sądzę, że nie zajmie nam to więcej czasu niż godzinę. W imieniu mojej linii najmocniej przepraszam za tę zwłokę. Proszę mi jednak wierzyć, że ani przez moment nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo.

— Niech pan nie przeprasza, tylko niech pan zaraz każde spuścić jeszcze jedną łódź. I niech marynarze zawiozą nas do tej stacji na wyspie! Chcemy ją zwiedzić! Za godzinę wrócimy.

— Szanowna pani, tam niestety nie ma bazy ratownictwa morskiego. Jest jedynie biwak, w którym mieszka grupka osób spędzających urlop na bezludnej wysepce. Dowiedziałem się właśnie, że...

— Biwak? Na bezludnej wyspie? Tym bardziej musimy tam popłynąć!

— No cóż, jeśli państwo nalegacie... — ustąpił z wahaniem kapitan.

— Ładna historia — mruknął do siebie ojciec Bolka, który czekał w łodzi, by przystąpić do usuwania wodorostów. Pocieszał się jednak myślą, że na wyspie przyjmie ciekawskich babcia Miła. Prawdopodobnie nie będzie nazbyt gościnna... a już w żadnym razie nie piśnie o

znaleziskach. Oznaczałoby to koniec urlopu. Zaraz bowiem pojawiliby się koledzy Andreeasa, gromady różnorodnych miłośników i kolekcjonerów sztuki greckiej, dziennikarze... Ci byłiby najgorsi.

W tym momencie z wody wynurzyła się głowa archeologa. Pan Uranis uniósł dłoń i skinął zapraszająco na przyjaciela. W następnej chwili dziennikarz, który nie był niebezpieczny dla spragnionych ciszy i spokoju urlopowiczów, a zajmował się wyławianiem z podwodnych jaskiń starożytnych naczyń i sumeryjskich tabliczek jedynie dla przyjemności — zagłębił się w Morzu Egejskim.

Bolek wraz z Elii Pelosem, stojąc na brzegu zatoczki, obserwowali przez lornetkę unieruchomiony statek. Tuż za nimi zatrzymała się pani Pina. Ona z kolei przyglądała się głównie swojej córce, a ściślej mówiąc jej obandażowanej głowie. Przed chwilą mama Bolka założyła dziewczynie świeży opatrunek, stwierdzając przy okazji, że ranka goi się znakomicie i że właściwie wystarczyłby zwykły plaster. Jednak żeby przykleić plaster, należałoby przedtem przynajmniej w dwóch miejscach wygolić na głowie Eli śliczne długie włosy.

— Nie chcę być łysa — zaproponowała dziewczyna.

Na samą myśl o podobnej potworności Bolek zzieleniał.

— Nie! Nie! — krzyknął w pierwszym odruchu, wzbudzając wybuch niewczesnej wesołości Pelosa.

Teraz jednak młody Grek był już poważny, a nawet zatroskany. Właśnie zobaczył, że od burty „Egidy” odbija łódź pełna ludzi.

— Czego oni chcą? — burknął. — Nudzą się i nie darują nawet nieszczęsnym wyspiarzom, którzy przynajmniej przez miesiąc postanowili odpocząć od miasta i tłumów.

— Nie przesadzaj z tymi tłumami — powiedziała bez przekonania pani Uranis. — W końcu to jedna jedyna łódka...

— Tak, ale proszę tylko popatrzeć, kto w niej siedzi. Jak oni wyglądają! — rzekł krzywiąc się Bolek.

— No cóż... turyści — szepnęła pojednawczo Eli. — U nas w Grecji zawsze —ich pełno. Przyzwyczailiśmy się...

— Helo! Helo! — zabrzmiał od strony morza piskliwy głos. W łodzi wysoka kobieta zerwała się z ławki i machała w ich stronę wielkim kapeluszem, do którego przypięła długie kolorowe wstążki. Nagle zachwiała się i już, już wylądowałyby za burta, gdyby w ostatniej chwili jeden z asystujących wycieczkowiczom marynarzy nie złapał jej wpół i nie usadził z powrotem na ławce. — A to pech! — mruknęła babcia. — Gdyby się wykapała, musieliby zawrócić. Nie wieźliby jej przecież dalej w przemoczonych ciuchach, bo mogłaby jeszcze, strach pomyśleć, nabawić się kataru.

Tymczasem łódź szybko zbliżała się do zatoczki.

— Pamiętajcie — przestrzegł Bolek ze śmiertelnie poważną miną. — Ani mru–mru o tym, co znaleźliśmy... i w ogóle, że tu jest jakaś podwodna jaskinia. Inaczej po powrocie do miasta narobią takiego szumu, że już jutro będziemy mieli tu pełno ciekawskich dziennikarzy.

— Dziennikarza już mamy — zauważyła pogodnie pani Milejowa.

Eli i Pelos zachichotali.

— No, wiesz, mamó! Tato na pewno nie piśnie ani słówka. Poza tym tu nie jest dziennikarzem, tylko odpoczywa i pomaga archeologowi — obruszył się Bolek.

A w razie czego zmieni przecież świat na taki, w którym przy brzegu nie będzie żadnego turystycznego statku.

Łódź przybiła do plaży. Pierwszy wyskoczył młody mężczyzna w eleganckim mundurze i w takiej samej czapce, jaką miał Vasilis Anatoleas. Nie ulegało wątpliwości, że także jest oficerem pełniącym służbę na „Egidzie”.

— Przepraszam za najazd — rzekł z uśmiechem płynną angielszczyzną. — Państwo już wiecie, co przydarzyło się „Egidzie”. Jesteśmy bardzo wdzięczni panom, którzy teraz oczyszczają nasze śruby. Pewna grupka pasażerów postanowiła wykorzystać przymusowy postój, aby zwiedzić jeszcze jedną wysepkę, przy której nigdy się nie zatrzymujemy. A ściślej mówiąc, chodziło im nie tyle o wysepkę, ile o was. Wyobrazili sobie, że tutaj znajduje się jakaś zasłużona baza ratownictwa morskiego. Niestety, nie mogliśmy im wytłumaczyć, że państwo chcielibyście mieć spokój i wcale nie życzyacie sobie nieproszonych gości. Cóż, linia żegluga, do której należy „Egida”, chlubi się tym, że wola pasażerów jest dla niej święta. Dlatego nas tu macie...

— Czy wszyscy marynarze są tacy gadatliwi? — spytała obojętnym tonem babcia Miła. — Oficer, który przyплыł przed panem, także mówił i mówił. Prosił nawet, żebyśmy mu w Polsce znaleźli jakiegoś Kowalskiego. To tak, jakby się chciało odszukać w Grecji konkretną osobę wiedząc o niej tylko tyle, że ma czarne włosy...

— Niech pan nie bierze mamie za złe tego przyjęcia — pośpieszyła z interwencją pani Milejowa. — Chętnie pokażemy wam nasze gospodarstwo. Tylko że żadnej bazy rzeczywiście tu nie znajdziecie. Waszych pasażerów czeka rozczarowanie.

— Wcale się nie gniewam — odrzekł wesoło oficer. — A jeśli chodzi o gadatliwość, to zaraz się państwo przekonacie, że w porównaniu z turystami jesteśmy wręcz niemi.

Załoga szalupy kończyła właśnie przeprowadzać na brzeg swoich podopiecznych.

Było ich dziewięcioro. Pięciu starszych mężczyzn i cztery panie, również wiekowe, w fantazyjnych nakryciach głowy. Różniły się od siebie właściwie wyłącznie owymi kapeluszami, ponieważ poza tym wszystkie miały na sobie identyczne nieprzemakalne płaszcze, dostarczone im zapewne przez troskliwą załogę statku. Były opalone i rozradowane. A opalone i rozradowane twarze turystów, podróżujących w luksusowych warunkach od hotelu do hotelu, pozwalających się obsługiwać renomowanym biurami krajoznawczym i pływających w kabinach komfortowych

statków, są w pewien sposób do siebie podobne.

— Och, jak cudownie! — wykrzyknęła pierwsza z przybyłych. — I jak dziko!

— Bardzo przyjemnie — rzekł z powagą dość tęgi mężczyzna zrzucając kaptur, co pozwoliło gospodarzom wyspy ocenić wspaniałość jego niepokalanej łysiny.

— Jakie śliczne dzieci! — rozczuliła się inna kobieta krzywiąc twarz w grymasie, który miał oznaczać skrajne rozanielenie. — Czy twoi rodzice są rybakami? — dama podeszła do Eli i pogłaskała ją po policzku. — Och, masz rozbitą głowę! — wykrzyknęła nagle z przestraszeniem, dostrzegłszy wreszcie bandaż, choć każdy normalny człowiek byłby go zauważył jeszcze z pełnego morza, tak ostro odcinał się bielą od śniadej twarzyczki dziewczyny. — Miałaś jakiś wypadek w czasie tego niedawnego strasznego sztormu? Biedne dziecko!

„Biedne dziecko” najpierw cofnęło się o krok, a następnie, stuliwszy głowę w ramiona, przybrało pozę sierotki okrutnie prześladowanej przez życie.

— Nie, psze pani — bąknęła Eli nieśmiało. Bolek omal nie przetarł oczu ze zdumienia.

Chociaż „zdumienie” nie jest w tym wypadku właściwym słowem. Bardziej odpowiednim byłoby „osłupienie”. I to tak zwane skrajne osłupienie. — Nie — ciągnęła słodko–boleściwym głosikiem przeobrażona nie do poznania Eli. — Tylko połów się nie udał. Kiedy tato wraca bez ryby, zawsze potem pije wódkę. A jak jest pijany, to bije mnie styliskiem od podbieraka — fachowe wyrażenia sprawiały, że „zwierzenia” dziewczyny brzmiały przeraźliwie przekonująco.

— Och! — wykrzyknęła kobieta odskakując.

Od strony, gdzie stała żona złego rybaka, dał się słyszeć najpierw przeciągły jęk, a potem stłumione parsknięcie.

— Tak, tak — potwierdziła babcia Miła. — Takie jest życie...

— To tu mieszkacie? — zainteresował się z kolei łysy mężczyzna spoglądając na obozowisko, jakby nigdy dotąd nie widział namiotu. — Bardzo ciekawe... bardzo ciekawe...

— Tutaj śpią starsi — włączył się do gry Pelos. — My, dzieci, mamy swoje miejsca tam — wskazał zagłębienie wśród głazów leżących pod skałą. — Przykrywamy się sieciami. Kiedy Jest ładnie, to śpi się tam dobrze, ale kiedy pada deszcz... — rozłożył bezradnie ramiona.

Tym razem mama Bolka nie wytrzymała. Z udaną obojętnością odeszła w głąb dolinki, gdzie skryła się za namiotami. Po chwili dobiegł stamtąd odgłos, jakby biedna pani Milejowa dostała nagłego ataku czkawki.

— No, ale nie jest aż tak źle, jak mogłoby się zdawać — Bolek postanowił dotrzymać kroku dwójce swoich greckich przyjaciół. — Mamy sprzęt do nurkowania — wskazał pontony oraz aqualungi i sprężarkę. — Czasami różni ludzie wynajmują nas do prac pod wodą i wtedy nasi rodzice są dla nas dobrzy. Zwłaszcza gdy uda nam się zebrać trochę jadalnych wodorostów... A kiedy przypadkiem spotkamy jakiś statek wycieczkowy, to jego pasażerowie zawsze bywają dla nas bardzo mili.

Łysy turysta zaczął szybko grzebać w kieszeni. Chwilę szukał czegoś z zapalem, po czym przybrał smutny wyraz twarzy.

— Zostawiłem portmonetkę na statku — mruknął.

Eli i Pelos spojrzeli po sobie, jakby chcieli powiedzieć: „no tak, jeszcze jedno rozczarowanie. Ale cóż, jesteśmy przyzwyczajeni”. Następnie odwrócili się i powoli, ze spuszczoneymi głowami, udali się w ślad za mamą Bolka.

— Przepraszam was. Dłużej nie mogę robić honorów domu — oznajmiła babcia mrugając ukradkiem na krztuszącego się od śmiechu oficera z „Egidy”. — Muszę ugotować kolację. Dzisiaj będą glony...

Bolek został na placu boju sam, oko w oko z pasażerami . luksusowego stateczku, wożącego turystów z luksusowego hotelu w Salonikach do luksusowego hotelu na Krecie i z powrotem. Gorączkowo przygotowywał sobie w myśli nową opowieść o tragicznym życiu młodych

rybaków z małych wysp, ale nagle, ku swojemu zaskoczeniu, spostrzegł, że przybysze przestali się interesować obozem i jego mieszkańcami.

— Za nic nie spędziłabym tutaj nocy — pani w kapeluszu z parą wyhaftowanych papużek, niewiele młodsza od kobiety, która przed chwilą doznała tak srogiego wstrząsu usłyszawszy, że zagadnięta przez nią dziewczyna ma ojca pijaka rozbijającego swej córce głowę, rozglądała się z trwogą po wysokiej stromej skale, żlebie prowadzącym do Gniazda i kotlince o nieprzystępnych brzegach, a nawet po niewinnej zacisznej zatoczce.

— Ja natomiast chętnie bym sobie tutaj trochę posiedział, żeby odpocząć od ludzi — jej towarzysz, wysoki i chudy, patrzył porozumiewawczo na łysonia, który zapomniał portmonetki.

— Oczywiście, musiałbym mieć prysznic z ciepłą wodą, no i choćby radio...

— Mnie nie byłoby brak nawet radia — odezwała się milcząca dotąd kobieta z okrągłą rumianą twarzą i w okularach w cieniutkiej złotej oprawce, które niczym celownik na lufie wiatrówki osiadły na samiutkim czubku nosa. — Potrzebowałabym tylko przyjaznego ramienia — odwróciła się ostentacyjnie od stojących obok panów, żeby przypadkiem któryś z nich nie pomyślał sobie czegoś niestosownego. — No i paru dobrych książek. Rzecz jasna, nie wybrałabym się tutaj bez mojej wiernej Agnes...

— A czy na naszą wycieczkę nie mogła pani zabrać tej Agnes ze sobą? — spytała słodziutkim tonem dama z papużkami.

— Co? Do Grecji ze służącą? O, nie. Ona wolała pojechać do swojej rodzinnej wioski. Tak przynajmniej sędzę. Nie pytałam jej o zdanie...

— Chciałbym mieć jacht — rzekł przysadzisty mężczyzna o małych ruchliwych oczkach. — A na jachcie chińskiego kucharza. Wtedy urządziłbym sobie tutaj bazę... i pływał po całej okolicy.

— Kto wie — wtrącił z zadumą łysy. — Ta wyspa jest jednak zupełnie niebrzydka. Gdyby

zbudować na niej nowoczesny hotel z lądowiskiem dla helikoptera, kortami i basenami kąpielowymi... myślę, że można by się nieźle obłowić. Oczywiście, trzeba by przedtem sporo wsadzić w reklamę. U nas w Londynie trudno zachęcić ludzi do spędzania wakacji w miejscach nie posiadających odpowiedniej tradycji...

— Jesteśmy po prostu rozsądni — stwierdziła kobieta w złotych okularach. — Przyznam, że przed wyjazdem nawet Saloniki wydały mi się trochę wątpliwe. Moi znajomi, wracając z Grecji, zwykle wspominają tylko o Delfach i Atenach, Akropol... rozumiecie państwo.

— Rozumiemy, rozumiemy — zabrzmiał zgodny chór.

— Ale skoro moje londyńskie biuro podróży — ciągnęła rozsądna dama — zapewniło mnie, że obejrzymy Olimp i miejsce gdzie wychował się Aleksander Wielki, a także inne ciekawe zabytki, wtedy uwierzyłam.

W tym momencie „Egida”, kołysząca się łagodnie na coraz spokojniejszych falach, zahuczała syreną. Turyści ożywili się.

— O, statek już chyba naprawiony! — wykrzyknęła kobieta w ptasim kapeluszu. —

Odplywamy!

— Statek nie był zepsuty, proszę pani — sprostował uprzejmym tonem oficer. — Ale rzeczywiście wzywają nas na pokład. Spójrzcie państwo, nurkowie także już wracają. Uprzejmie proszę o zajęcie miejsc w szalupie.

Gromadka pasażerów, z minami świadczącymi, że jeśli nawet wizyta na bezludnej wyspie nie dostarczyła im spodziewanych atrakcji, to i tak będzie o czym opowiadać znajomym, ochoczo ruszyła w stronę łodzi. Ociągała się tylko jedna osoba. Była nią turystka, która pierwsza podeszła do Eli, a następnie, wstrząśnięta jej straszną opowieścią, zamilkła i popadła w głęboką zadumę.

— No, już po kłopotcie! — zawołał wesoło ojciec Bolka wyskakując z szalupy, która przybiła właśnie do brzegu.

— Nie masz pojęcia, jak błyskawicznie się uwinęli — rzekł do swego kolegi z „Egidy” pierwszy oficer odprowadzający nurków. — Nam zajęłoby to ładnych parę godzin.

Panowie Milej i Uranis, uśmiechając się do turystów i marynarzy, zdejmowali powoli kombinezony.

— Nie przesadzajmy — powiedział archeolog. — Trochę zielska i tyle. Taka pływająca hodowla wodorostów. Odholowaliśmy to świństwo kilkadziesiąt metrów, żeby fale nie przygnały tego na powrót pod rufę. Nie ma o czym mówić.

— A właśnie, że jest o czym mówić! — wykrzyknęła nagle dama, która jako jedyna pasażerka statku stała jeszcze na plaży. — Który z was jest ojcem tej dziewczynki? No, który?! — obejrzała się w stronę obozu i wskazała obandażowaną głowę Eli wyzierającą z namiotu.

— Ja — odrzekł nie podejrzewający niczego pan Uranis. — Czemu pani pyta? Czy coś się stało?

Kobieta ujęła się pod boki i obrzuciła uczonego miażdżącym spojrzeniem:

— Czy się stało?! Ja myślę! Biedne dziecko ma rozbitą głowę. Jak panu nie wstyd! Grecy na całym świecie są uważani za naród kulturalny i dobroduszny. A rybacy także uchodzą za ludzi wprawdzie trochę surowych, ale sprawiedliwych i porządnych. Tymczasem pan nie dość, że się upija, to jeszcze bije drągiem po głowie własne dziecko! Grek i rybak! Hańba! Niech pan tego nigdy więcej nie robi. Inaczej natychmiast zawiadomię policję w Salonikach. Już oni sobie z panem poradzą.

Wyrzuciwszy z siebie tę groźbę, dama odwróciła się z godnością i podreptała w stronę szalupy. Natomiast nieszczęsny badacz starożytności, który zdążył już oswobodzić z kombinezonu górną połowę ciała i właśnie uniósł lewą nogę, aby ściągnąć obcisłe spodnie, zastygł w pozycji, w jakiej z pewnością nie udałoby mu się utrzymać równowagi, gdyby nie to, że po prostu skamieniał. Odprowadził wzrokiem napastniczkę i długo stał z oczami utkwionymi

w łódź odpływającą ku białemu statkowi. Z odrętwienia wyrwał go dopiero głośny chóralny śmiech. Nawet babcia Miła aż podskakiwała z uciechy, trzymając się oburącz za brzuch. Eli natomiast złapała się za głowę, w obawie, że zgubi bandaż, któremu zawdzięczała pomysł dostarczenia czcigodnej damie z Londynu tak oryginalnych emocji turystycznych.

— Zdaje się, że ktoś cię tu oczernił — powiedział wreszcie ojciec Bolka, pochwyciwszy spojrzenie swojej śmiejącej się małżonki.

— Oczernił, a jakże — przytaknął „brutalny rybak”, który spoglądając na rżącą z radości gromadkę domyślił się wreszcie, że padł ofiarą spisku. Ściągnął mokry kombinezon, po czym jeszcze raz omiół wzrokiem rozbawionych obozowiczów. — Okropność! Brrr... — wzdrygnął się wzbudzając nową falę wesołości. — Pewnie, że oczernił — powtórzył zwracając się do dziennikarza. — Grecy to urodzeni aktorzy. A zwłaszcza Greczynki. W zeszłym roku spotkałem przypadkiem Eli wracającą ze szkoły. Szła w towarzystwie koleżanek. Podeszedłem do niej, a ona zaczęła uciekać, krzycząc wniebogłosy, że prześladowuje ją obcy mężczyzna, który próbuje się do niej zalecać, chociaż mógłby być jej dziadkiem. Oczywiście, zrobiło się zbiegowisko i zostałem odprowadzony na komisariat policji jako niebezpieczna kanalia prześladowująca nieletnie uczennice. Na szczęście koleżanki Eli przybiegły tam, inaczej pewnie dotychczas siedziałbym w kryminale. Nie wiem, co wymyśliła dzisiaj, i prawdę mówiąc wcale nie chcę wiedzieć.

Wystarczy mi to, co już usłyszałem!

— Tata! — zawołała Eli przestając się śmiać. — Na twoim miejscu nie wspominałabym o tej ulicznej scenie w Atenach. Zapomniałeś, zdaje się, że to był jedynie taki maleńki rewanż.

Poprzedniego dnia — spojrzała na babcię Miłą, chcąc się usprawiedliwić przed najszacowniejszą osobą w towarzystwie — był u nas w domu mój kolega. Mieliśmy przerobić kilka zadań z fizyki.

Notis jest najlepszym uczniem w klasie. Zajmowaliśmy się wykreślaniem i obliczaniem funkcji.

Wtedy wrócił z pracy tatuś i, nawet nie zjadłszy obiadu, przyszedł do mojego pokoju, rozsiadł się

z książką na tapczanie i ruszył się dopiero, żeby odprowadzić Notisa do drzwi. Zachowywał się wobec niego jak grzeczny żandarm w stosunku do podejrzanego.

— Właśnie — zdołał mruknąć archeolog, ale Eli nie pozwoliła mu dojść do słowa.

— Następnego dnia postanowiłam udowodnić tatusiowi, jak to nieładnie podejrzewać kogoś o coś, czego ten ktoś wcale nie miał zamiaru robić. Przyznaję, że awantura okazała się nieco zbyt hałaśliwa, ale... — rozłożyła bezradnie ręce — widzicie, byłam wtedy bardzo młoda...

— Tak — westchnęła babcia. — Kiedy człowiek jest bardzo młody, to zdarza mu się czasem palnąć jakieś głupstwo. Ja sama... zresztą mniejsza z tym — potrząsnęła głową. — No, chodźcie się przebrać — zmieniła temat kiwając przynaglajaco na obu mężczyzn. — Wymoczyliście się pod tym statkiem jak śledzie. Zaraz dostaniecie gorącej herbaty. Zresztą i tak zbliża się pora kolacji.

Śmiechy umilkły. Wszyscy zabrali się do swoich zajęć, zgodnie z „rozkładem jazdy” obozowego życia.

Wszyscy, prócz Bolka. Nie dlatego, żeby chciał się wymigać od spoczywających na nim obowiązków. Po prostu zamyślił się. Znowu stanął mu przed oczami obraz Eli opowiadającej zbolalym głosem tragiczną historię. Pasażerowie „Egidy” byli wstrząśnięci. Mniejsza już o tę damulkę, która tak srodze zbesztala pana Uranisa. Jednak wszyscy pozostali... Przecież wrócą do siebie przekonani, że na Morzu Egejskim spotkali sprawnych nurków, ale złych ludzi. To zupełnie tak, jakby Eli też miała czarną piłeczkę z kosmosu i przy jej pomocy przeniosła tych angielskich turystów do innego świata, gdzie na Klio rzeczywiście mieszka grecki rybak upijający się i katujący własne dzieci. I co z tego, że to nieprawda? Ta oburzona kobieta i jej towarzysze nigdy by w to nie uwierzyli. Przecież sami widzieli i słyszeli. Rodzice i rodzina Uranisów także nie wiedzą, że babcia Miła chorowała, że ze wspólnych wakacji miały być nici, że zyskali ten jeden dzień, gdy archeolog chciał płynąć do jakiegoś portu po aqualungi i sprzęt

badawczy. Dla nich istnieje to, co pamiętają. Tylko on, Bolek, nosi w sobie tajemnicę prawdziwej przeszłości. Prawdziwego świata.

W tym momencie chłopiec wzdrygnął się. Jak to? Czyżby ich cudowne przygody na tej pięknej wysepce były takim samym kłamstwem, jak opowieść Eli o jej rozbitej głowie? — Eee! — burknął półgłosem, potrząsając czupryną. Człowiek nie potrafi zmieniać światów. Nawet jednego jedyne go świata. A już na pewno nie może go zmienić samym tylko łgarstwem. Bolek ponownie zamruczał pod nosem i zaczął sobie przypominać, co mówili i jak się zachowywali turyści z „Egidy”. To znaczy pomyślał o tym jednym prawdziwym świecie, w którym przyszło żyć wszystkim bez wyjątku ludziom. No i o tym, nie po raz pierwszy zresztą, co przy pomocy automatu Jeden–Jeden można by zrobić dla mieszkańców tego świata.

Nie ulega wątpliwości, że czarna kulka uczyni wszystko, czego tylko się od niej zażąda. Ale czego żądać, żeby na przykład sprawić przyjemność każdemu człowiekowi? Weźmy choćby tych dziewięcioro pasażerów białego stateczku, który teraz, nadrabiając opóźnienie, płynie do portu w Salonikach. Kobieta w kapeluszu przyozdobionym haftowanymi papużkami za nic nie spędziłaby nocy na przepięknej Klio. Przysadzisty tłuścioch marzył o jachcie i chińskim kucharzu. Ktoś chciałby mieć tutaj służącą, komuś innemu roił się hotel... A przecież byli to ludzie pochodzący z jednego państwa, wychowani w tym samym otoczeniu, więc mogłoby się wydawać, że powinni mieć podobne przyzwyczajenia, gusty i potrzeby. Co dopiero mówić o mieszkańcach innych kontynentów i przeróżnych egzotycznych krajów. Tacy Hindusi nie jedzą wołowiny, bo krowy są dla nich świętymi zwierzętami. Byliby nieszczęśliwi, gdyby się dowiedzieli, że zjedli choć kęs wołowego mięsa, choćby ten jeden kęs uratował ich od śmierci głodowej. Natomiast w Mongolii podaje się ponoć na obiad baranie oczy i kobyle mleko. Ktoś koniecznie musi mieć luksusowy samochód i dwa kolorowe telewizory, a ktoś inny jest najszczęśliwszy, gdy może spokojnie poczytać dobrą książkę. Są ludzie, którzy tęsknią do władzy, do dyrektorskich gabinetów, którzy

chcą mieć sekretarki i wzbudzać lęk podwładnych, a na przykład tato byłby kompletnie zgnębiony, gdyby mu przyszło odgrywać rolę jakiejś grubej ryby. Jemu potrzebna jest tylko jego praca w redakcji, góry, no i właśnie takie wyspy jak Klio. Bogaci Arabowie znad Zatoki Perskiej niewają po cztery żony, a gdzie indziej mężczyźni zamykają się w klasztorach i w ogóle nie chcą słyszeć o kobietach. Ludzie rywalizują ze sobą, kłócą się, walczą, zabijają nawzajem. Ojciec ciągle pisze artykuły o jakichś zbrodniach i wojnach. Ale założmy nawet, że wszyscy chcą dobrze, to jak tym wszystkim dogodzić? Niemożliwe — Bolek pokiwał głową. To jest po prostu niemożliwe. Chyba żeby...

— Słuchaj Jeden–Jeden — odezwał się — ile jest tam, skąd przybywasz, takich automatów jak ty?

— Nie wiem. Wszystkie one służą niemal wyłącznie ekipom badającym kosmos.

— Tylko astronautom? Dlaczego?

— Prawdopodobnie dlatego, że istotom żywym mieszkającym na macierzystej planecie moich konstruktorów nic nie zagraża. A ja jestem przecież automatem obronnym.

— Wiem. Pamiętam. W razie jakiegoś niebezpieczeństwa przenosisz wszystkich tam, gdzie to niebezpieczeństwo nie istnieje. Ale gdyby nie było żadnego niebezpieczeństwa? Gdyby ktoś chciał znaleźć się w innym świecie tylko po to, żeby zaspokoić swoje pragnienia?

— Jedna istota rozumna?

— No...

— Naturalnie, że to jest możliwe — padła odpowiedź. — Przecież tobie, gdy wydawałeś mi polecenia, także nic nie groziło. Po prostu życzyłeś sobie zmienić świat na inny.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

— Owszem — rzekł po namyśle — ale zawsze chodziło tylko o mnie samego. Tymczasem...

— Każda zmiana, jaką przeprowadzam, może dotyczyć jedynie aktualnego dysponenta. To

znaczy osoby, która utrzymuje ze mną kontakt.

— No właśnie. A inni ludzie nic z tego nie mają... Jakbym chciał znaleźć się tam, gdzie byłbym królem całej Ziemi, to wszyscy musieliby mnie słuchać. A przecież co najmniej połowa moich poddanych także chciałaby rządzić. Czy nie da się znaleźć świata, w którym każdy miałby to, o czym marzy?

— Mówisz o mieszkańcach twojej planety? Nie znam ich dostatecznie dobrze.

— Źle się wyraziłem. Powiedz, Jeden–Jeden, czy jest możliwe, żeby każdy miał taką czarną piłeczkę jak ty? Żeby po przeprowadzce do innego świata czuł się w nim naprawdę szczęśliwy?

— Wspomniałem już, że istnieje nieograniczona ilość załamania czasoprzestrzeni. Dotyczy to również wyobrażeń powstających w umysłach istot rozumnych. Natomiast ilość materii w kosmosie jest w każdym momencie ograniczona. Nie da się powielić w nieskończoność automatów mojego typu. Również żadnych innych urządzeń ani produktów.

— No, ale sam widzisz, że w jednym świecie ludzie nie mogą być szczęśliwi.

— Dlaczego?

— No... przecież mówiłem. Prawie każdy chce co innego. A nasze życzenia wykluczają się nawzajem.

— Może istoty zamieszkujące twoją planetę same nie bardzo jeszcze wiedzą, czego naprawdę chcą?

— Mówisz: jeszcze?

— Oczywiście. Na pewnym szczeblu zaawansowania każdej cywilizacji zanika dążenie do wzrostu, to znaczy do zaspokajania potrzeb materialnych, bo są one już zaspokojone w rozsądnym stopniu, rzecz jasna, jeśli dana cywilizacja ma w ogóle istnieć dalej. Pojawia się natomiast program rozwoju, czyli kształtowania aspiracji. A te, choć także różne dla różnych istot myślących, znakomicie dadzą się ze sobą pogodzić.

Bolek zmarszczył brwi:

— A... aspiracji?

— Tak.

— Nie rozumiem.

— Niestety, nie posiadam informacji, które pozwoliłyby mi rozwinąć tę kwestię.

— Ale posiadasz ich dostatecznie dużo, by twierdzić, że ludzie sami nie wiedzą, czego chcą.

— Wyraziłem jedynie przypuszczenie.

W głosie chłopca pojawiła się nuta prośby:

— A czy naprawdę nie mógłbyś odwołać tego świata... no, tego, w którym żyjemy, i zrobić jakiś lepszy?

— Co to znaczy „lepszy”? Proszę o konkretne wskazówki.

— Ba!

Po tym ostatnim okrzyku na małej plażeczce nad zatoką zapanowała cisza. Po długiej chwili rozległo się głębokie westchnienie i zabrzmiał cichutki szept:

— Więc tylko my sami moglibyśmy...

— Chodzi ci o takie urządzenie waszego świata, żeby każdy czuł się szczęśliwy?

— No...

— Tak. Tylko wy sami.

— Hej, ty tam! dobiegł Bolka w tym momencie głos babci Miłej. — Znałam kiedyś pewnego pana, który zwykł mawiać: „najlepiej nie robić nic, nic, nic... a potem sobie odpocząć”. Ten pan oczywiście gdzieś pracował, zanim go nie wylali. Nie wiem, co się z nim teraz dzieje, wiem za to na pewno, że znalazłby w tobie godnego kompana. Chodź tu natychmiast i przynajmniej nakryj stół do kolacji!

— Świecie, świecie! — mruknął z przyzwyczajenia chłopiec. Następnie odwrócił się i zaczął

ić w stronę obozowiska. W pewnej chwili przystanął. — Halo, Jeden–Jeden i ileś tam, zrób tak, żeby stół był już na... a właściwie nie! — zachnął się nagle. — Nie! Ile w końcu może być tych światów?!

NOC BOGÓW, ŁUDZI I GWIAZD

— Nie uważasz, że powinniśmy jeść troszeczkę mniej — rzekł półgłosem pan Henryk Milej.

— Odnoszę wrażenie, że nie tylko spodnie, lecz nawet kąpielówki stają się ciasnawe...

— To dlatego że twoja matka tak znakomicie gotuje — odpowiedział poważnie archeolog. —

Ale nie martw się. Nie tak dobrze nie wpływa na linię, jak nurkowanie. Dzisiaj na pewno nie przybrałeś na wadze. Najpierw jaskinia, potem praca pod rufą tego statku. Jutro wyskoczę tylko na kilka godzin, żeby zawiadomić Instytut o naszych odkryciach, a potem już całymi dniami będziemy siedzieć pod wodą. Zanim zbadamy jaskinię i całą okolicę, staniesz się tak samo smukły jak twój syn.

Ojciec Bolka zaśmiał się, po czym powiedział: — Swoją drogą bajeczne są te znaleziska. Ja naturalnie nie jestem w stanie ocenić ich naukowej wartości. Ale nie masz pojęcia, jak bardzo intryguje mnie fakt, że w jednym miejscu, na wysepce nie wymienionej w żadnym źródle historycznym, odkryliśmy przedmioty pochodzące z tak różnych obszarów i kultur. Tabliczki są, jak sam stwierdziłeś, sumeryjskie, wazy w skrzyni chyba egipskie...

— Na pewno egipskie — przerwał zdecydowanie Andreas Uranis.

— Właśnie. Ale już te naczynia, które wygrzebaliśmy z piasku, są zupełnie inne...

— Pochodzą z Krety. Sądzę, że z okresu wczesnominojskiego — przerwał znowu archeolog.

— Wskazywałyby na to ich zdobienia. Niegdyś musiały być żółto–białe.

— Z Krety? No widzisz. A z kolei amfory są z całą pewnością późniejsze i greckie, choć wyglądają tak, jakby i one powstały w różnych okresach i różnych warsztatach garncarskich. O czym by to miało świadczyć?

— Odpowiem ci po zakończeniu szczegółowych badań — rzekł z zadumą pan Uranis. — A

może nigdy ci nie odpowiem? Może dopiero za kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt lat ktoś inny odkryje i odczyta starożytny tekst kreteński, sumeryjski lub egipski, zawierający opis naszej Klío i historię żeglarzy, których statki walczyły ze sobą u jej brzegów bądź zostały zaskoczone przez burzę. Albo nikt nigdy nie natrafi na taki tekst i pochodzenie skarbów znalezionych przez nas w jaskini powiększy liczbę nie rozwiązanych zagadek, od jakich roi się w archeologii i w ogóle w naukach badających przeszłość człowieka. Kto to może wiedzieć?

Cała rozmowa toczyła się na skraju polanki, za namiotami. Był już wieczór. Na niebie, na którym nie pozostało śladu po niedawnej burzy, lśniły miliony gwiazd tak jasno i blisko, jak nigdy. Właśnie te gwiazdy, świeże powietrze, a także wrażenia minionego dnia nie pozwoliły Bolkowi zasnąć. Dlatego i on wysliznął się z namiotu. Nie chcąc jednak, aby go zauważono, udał się nie w stronę plaży, lecz ku strumykowi spływającemu w dolinkę. Usiadł na jednym z głazów i tam wysłuchał dialogu, jaki wiedli ze sobą ojciec i pan Uranis. Mógłby tak słuchać przez całą noc. Jednak archeolog westchnął, po czym powiedział:

— No, Enryku, nie wiem jak ty, ale ja powinienem pójść spać. Chciałbym wypłynąć przed świtem, żeby jak najwcześniej wrócić i przed zachodem pobuszować jeszcze trochę pod wodą. Może i ty spróbowałbyś oddać się już w opiekę Morfeuszowi?

— Naturalnie — przystał dziennikarz. — Choć prawdę mówiąc, nie jestem senny. Ale będę liczył barany.

— Możesz spróbować. To powinno ci zresztą zapewnić przyjemne sny. Barany mamy bardzo ładne.

Ojciec odrzekł coś, czego Bolek już nie dosłyszał. Obaj panowie odeszli powoli w stronę namiotów.

Chłopca otoczyła zupełna cisza. Słyszać było jedynie szum morza. Ale taki szum także należy

do ciszy. Podobnie jak szelest liści na drzewach czy granie pasikoników w upalne popołudnie.

Bolek uniósł głowę i patrzył w gwiazdy. Ileż ich jest! Pomyśleć, że każdy złoty punkcik to ogromne, wybuchające słońce, na ogół znacznie większe od tego, które daje światło i życie Ziemi. Jedna z tych gwiazd... co najmniej jedna, posiada planety i zamieszkały świat sprawiający wrażenie, jakby był cały wtopiony w kryształ. Stamtąd przyleciał statek z czarną piłeczką, dzięki której Bolek mógł najpierw pokonać tego nieznośnego Augusta, potem „wyleczyć” babcię i przenieść się z miasta od razu na Klio, potem rozmawiać z Eli i Pelosem po angielsku lub grecku, jakby znał te języki od urodzenia, potem cudownym sposobem sprowadzić sprzęt do nurkowania... A jeszcze złożyć wizytę olimpijskim bogom.

Ludzie nic o tym nie wiedzą, że na Ziemię przybywają obce gwiazdoloty. Powinni się dowiedzieć. Przynajmniej niektórzy ludzie. To znaczy ci mądrzejsi. Na przykład większość uczonych. A już na pewno pan Uranis, no i przede wszystkim ojciec.

Powiem im — postanowił w duchu. — Muszę im powiedzieć. Ale... jeszcze nie teraz.

Na razie powrócił myślami do tego, co usłyszał i zobaczył na legendarnym Olimpie. Nie, ci bogowie stanowczo mu się nie spodobali. Może ostatecznie Hestia, ale ona nie miała tam zbyt wiele do powiedzenia. Tetyda. No tak, oczywiście! Tylko że ona w ogóle nie należała do grona ważnych Olimpijczyków. Bo ci ostatni zachowywali się w gruncie rzeczy jak ludzie. Jeśli pominąć czarodziejskie pioruny, łańcuchy spadające z nieba i różne takie sztuczki. W dodatku ludzie niezbyt mądrzy i niesympatyczni. Byli kłótlivi, zawistni, awanturowali się, każdy chciał rządzić...

Chłopcu zaświtała dziwna myśl. Przypomniał sobie, co pan Uranis i ojciec mówili o dawnych Grekach i o Rzymianach. Jeśli ludzie naprawdę, wyobrażając sobie swoje bóstwa, nadają im własne cechy i zwyczaje, to jak by wyglądał Olimp, gdyby dzisiaj zaczęto go osiedlać różnymi Zeusami, Posejdonami, Herami i tak dalej? Jak zachowywaliby się bogowie wymyśleni w

dwudziestym wieku? Czy byliby inni?

Inni — odpowiedział sobie. Mimo wszystko inni. Bo choć dziś już nikt na świecie nie potrafiłby zrobić takich amfor, posągów i świątyń, jak starożytni Grecy, to jednak ludzie zmienili się na lepsze. To znaczy większość ludzi. Niestety, ta większość nie zawsze i nie wszędzie ma decydujący głos. Raczej przeciwnie. Na ogół rządzą właśnie tacy zeusowie, jakich przedstawia starożytna mitologia. Czyli że wbrew temu, co sam przed chwilą stwierdził, wcale nie zmieniło się tak wiele?

— Eee... — mruknął pod nosem i machnął ręką. Następnie jeszcze raz powędrował wzrokiem ku gwiazdom. Nawet i ten zabieg nie oderwał jednak jego myśli od Ziemi. Ciekawe, jacy będą ci ludzie, którzy już chyba niedługo polecą najpierw na planety Układu Słonecznego, a potem dalej. Jeśli gdzieś wśród obcych słońc spotkają kiedyś inne rozumne istoty, to czy zachowają się inaczej niż ci turyści z „Egidy”? Na pewno inaczej. Ale jak? Lepiej czy gorzej? Ostatecznie, skoro nauczymy się już latać do gwiazd, to będziemy tacy mądrzy, że przedtem potrafimy zrobić porządek także u siebie, na Ziemi.

Na tym Bolek zakończył rozważania poświęcone bogom, ludziom i gwiazdom. Pomyślał za to o przedmiotach znalezionych w jaskini. A właściwie o tym, co na temat tych przedmiotów mówili niedawno ojciec i pan Uranis.

— Jeden–Jeden, słyszysz?

To pozornie bezsensowne pytanie zostało postawione nie bez powodu. Chłopiec posłużył się bowiem najcichszym szeptem. Piłeczka odpowiedziała natychmiast:

— Tak. Słyszę.

— Chciałbym się znaleźć w takim świecie i wtedy, kiedy tu, na tej wyspie, jacyś ludzie właśnie pozostawiają skrzynki z tabliczkami i naczynia. Te wszystkie rzeczy, które wyłowiliśmy z wody.

— Rozumiem.

— Tylko... bo wiesz, tam na Olimpie Zeus mnie zobaczył i musiałem szybko uciekać.

— Nie musiałeś. W wypadku niebezpieczeństwa...

— Tak, tak — przerwał niecierpliwie Bolek. — Wiem, co chcesz powiedzieć. Ale gdybyś od razu przeniósł mnie z powrotem, to tam nic bym nie zobaczył. Tym razem wolałbym, żeby mi nie przeszkadzano. Czy w tym świecie, o jakim wspomniałem, mógłbym na przykład pozostać niewidzialnym?

— Tak.

— I tego... niech to nie trwa zbyt długo.

— To znaczy ile?

— Godzinę... nie. To za mało. Czekaj. Wiesz, jak długo trwa u nas noc? Ile czasu minie, zanim na Klio zaświeci słońce?

— Tak.

— No, to niech będę w świecie, kiedy tutaj jacyś ludzie pozostawiają skrzynie i dzbany, przez jedną czwartą część tego czasu. Jedną czwartą nocy. Dobrze?

— Tak. Rozumiem.

— Zawsze wszystko rozumiesz — zauważył z lekkim przekąsem chłopiec.

— Nie wszystko. Jednak to, czego nie rozumiem, nie wchodzi w zakres przewidzianego dla mnie programu. Zatem nie można wymagać, abym wszystko...

— Świecie, świecie... już!

— ... rozumiał — dokończył spokojnie automat, nie zrażony natarczywością Bolka, po czym umilkł. Na Klio znowu zapanowała cisza. Część nieba zasłaniała skalna ściana, rzucająca posępny cień na skrawek polany i prawie całą plażę.

Chłopiec poczuł nagle chłód i w tym momencie zorientował się, że stoi po kolana w wodzie.

Powódź?! — przebiegło mu przez myśl. Ale przecież morze jest takie spokojne.

A jednak to spokojne morze podniosło się i zalało plażę. Nie ma żadnego innego wytłumaczenia...

— Jest! — mimo woli wykrzyknął na głos. — Jest wytłumaczenie! — powtórzył spoglądając w stronę obozowiska, gdzie na znajomej łączce nie było ani śladu namiotów. — Brawo, piłeczko!

Oprzytomniał i rozejrzał się. Od razu rzuciło mu się w oczy wiele szczegółów, których w pierwszej chwili nie zauważył. Choć doprawdy trudno było nie zauważyć ogniska płonącego u stóp skały, tam gdzie jeszcze kilka sekund temu panowały zupełne ciemności. No i sylwetek ludzi poruszających się w blasku padającym od ognia.

Bolek stał w zatoczce. Nie, poziom morza nie podniósł się. To znaczy, nie podniósł się teraz.

Po prostu w czasach, do których przeniósł go automat Jeden–Jeden, Klio nie wystawała jeszcze tak wysoko nad poziom wody. A zatem plaża służąca dzisiejszym obozowiczom stanowiła wtedy skrawek morskiego dna. Całe szczęście — pomyślał chłopiec — że już wówczas była tu płyiczna. Inaczej, gdybym nagle dał prawdziwego nura, narobiłbym wrzasku. I od razu trzeba by brać nogi za pas...

Istotnie, okoliczności stanowczo nie sprzyjały wydawaniu jakichkolwiek wrzasków. Tuż przed Bolkiem wznosił się dziób osiadłego na dnie statku. Statek, przypominający wielką odkrytą łódź, był szeroki i dość płaski, jednak dziób miał wysoki, ostry, wygięty do wewnątrz na kształt baraniego rogu.

Zarówno z pokładu statku jak i od strony wyspy dobiegały przytłumione męskie głosy. Przed zawarciem bliższej znajomości z pradawnymi żeglarzami Bolek postanowił wyjść z wody.

Płytko, nie płytko, ale jest przecież noc. Kto wie, czy zespoły bezpieczeństwa automatu uznają katar za wystarczającą sprawę, by po upływie wyznaczonego czasu przenieść go z powrotem do współczesnego świata kaszlącego i kichającego. A w takim wypadku przez najbliższe dni

pozwolono by mu co najwyżej przyglądać się, jak tato, pan Uranis i Pelos nurkują w poszukiwaniu nowych skarbów.

Stąpił bardzo ostrożnie, nie mógł jednak poruszać się zupełnie bezszelestnie.

— Płyną — powiedział ktoś, gdy tylko chłopiec poczuł pod stopami grząski piasek plaży.

— Światło! — rzucił ktoś tonem komendy.

Ognisko przesłonił cień człowieka, który pochylił się nad płomieniem, a następnie wyprostował unosząc latarnię w kształcie wydłużonego czółenka. Lampka powędrowała wyżej, wykonała kilka wahadłowych ruchów i zatrzymała się. Przez jakiś czas nad zatoczką panowało zupełne milczenie.

— Nikt nie odpowiada, panie — rzekł wreszcie osobnik, który odezwał się pierwszy.

W tym samym momencie za Bolkiem zachrząściły czyjeś kroki. Chłopiec obejrzał się błyskawicznie. Gdyby to zrobił o ułamek sekundy później, z całą pewnością nie zdążyłby uskoczyć przed mężczyzną, który wychynął z cienia i zmierzał w stronę ogniska, nie widząc, że na jego drodze znajduje się przybysz z przyszłości. Co gorsza, ów mężczyzna trzymał w dłoni oszczep z ostrym grotem, celującym prosto w głowę Bolka. Nic dziwnego, że Bolek dał susa do tyłu. Niestety. Uderzył piętą w jakiś kamień i rozciągnął się jak długi.

Człowiek z oszczepem natychmiast przystanął. Uniósł swoją prymitywną, lecz groźną broń i rozglądał się z uwagą.

— Panie, to niezwykła wyspa — powiedział po chwili drżącym głosem. — Przedtem słyszeliśmy czyjeś wołanie, a potem plusk wody w zatoce i okazało się, że nikt nie przyплыł. A teraz tuż przede mną coś upadło na ziemię. Ale nic nie widzę...

— Obok naszego statku naprawdę coś gadało i pluskało — potwierdził inny.

— Dość! — uciął władczo mężczyzna, który zażądał, by zapalono lampę. — Stańcie obaj nad brzegiem morza i pokłońcie się bogu Enki. Noc i strach mieszają wam zmysły.

— Pokłońcie się wielkiemu bogu Enki — dobiegły od ogniska słowa wypowiedziane niskim, pełnym godności głosem przez kogoś, kto dotychczas milczał. — Pamiętajcie jednak, że jest on bogiem nie tylko wody, lecz także mądrości. Gdyby coś przyplłynęło lub upadło, ujrzelibyśmy łódź i zobaczylibyśmy leżącego.

— Święty mężu, mnie także zdawało się, że słyszę chlupotanie, a następnie odgłos upadku — rzekł pokornym tonem człowiek, który przedtem wydawał rozkazy.

— Zapluskala fala, synu — odpowiedział łagodnie osobnik nazwany „świętym mężem”. — Poza tym mogłeś słyszeć tylko mowę gwiazd. Bóg nieba, Anu, sprawił jednak, że gwiazdy są dzisiaj przyjazne. Nie lękaj się więc i nie krzycz na swoich żeglarzy. Sprawili się dzielnie. Dzięki nim przyplłynęliśmy wcześniej niż ci, z którymi mamy się tutaj spotkać.

— Pokłonię się Enki i Anu, świętobliwy panie. Ale moja załoga nie dokonała niczego niezwykłego. Ludzie faraona nigdy nie będą żeglować tak dobrze, jak nasi chłopcy.

Nastała cisza.

No i proszę — pomyślał Bolek podnosząc się ostrożnie, żeby tym razem nie narobić hałasu — teraz straszę jak jakaś zjawa. A przy okazji każę ludziom wzywać na pomoc starożytnych bożków...

Nie dziwiło go to, że człowiek z oszczepem usiłował przejść przez niego jak przez powietrze. Pamiętał przecież, że kazał piłeczce, by zrobiła go niewidzialnym. Był zły na siebie, że nie kazał uczynić się również niesłyszalnym. Ale trudno. Teraz trzeba znaleźć sobie jakieś bezpieczne miejsce możliwie blisko ogniska i nie ruszać się, nie mamrotać pod nosem, tylko patrzeć i słuchać.

Stąpając przez cały czas na palcach obszedł szerokim łukiem plażyczkę wraz z częścią przylegającej do niej łąki. Następnie posuwając się u stóp pionowej skały zaczął iść w stronę ogniska. Gdy uznał, że jest już dostatecznie blisko, wspiął się na małą kamienną półkę i usiadł.

Jego wzrok oswoił się z ciemnością, słabo rozświetloną nikłym płomieniem. Mógł teraz przyrzeć się dokładnie ludziom gospodarującym na jego Klio. Chociaż... to nie była Klio. W owych pradawnych czasach musiała nosić inną nazwę.

Najbliżej ognia, na skrzynce pokrytej grubą wozzystą tkaniną, siedział mężczyzna spowity w powłóczystą szatę. Na głowie miał ni to kaptur, ni zawój, cofnięty do tyłu i odsłaniający wysokie, wypukłe czoło. Spod zawoju wyzierały czarne jak sadza włosy, ułożone w drobne loczki. Na pierś spadała mu równie czarna, gęsta, imponująca broda, przystrzyżona na kształt wydłużonego prostokąta. Ale z pewnością nie tylko tej swojej brodzie zawdzięczał nieznajomy niewątpliwy szacunek, jakim darzyli go towarzysze. W ich zachowaniu można było wyczuć trwożną cześć, oddawaną przez prymitywne ludy mocom przyrody i czarownikom, którzy potrafili wmówić swym współplemioncom, że moce te są im posłuszne.

Brodacz siedział przy ognisku sam. Pozostali wioślarze nie śmieli widać zbliżyć się do niego. Nie było ich zresztą wielu. Tylko jeden z nich trzymał w dłoni oszczep.

Pewno strażnik — pomyślał Bolek. Na pewno posłali też kogoś na wierzchołek skały, żeby wypatrywał ewentualnych wrogów. Kilku ludzi pilnuje zapewne statku. Ale w sumie nie mogło ich być więcej niż dwudziestu. Trochę mało jak na załogę takiej wielkiej łodzi. Przecież i w starożytności musiały szaleć tu sztormy.

Najbliżej siedzącego na skrzyni dostojnika stał nagi do pasa dryblas w przypłaszczonym hełmie. I on miał czarną brodę ufryzowaną w drobne warkoczyki. Kiedy ognisko strzelało wyższym płomieniem, jego skóra lśniła jak miedziana blacha. Człowiek ten nosił luźne bufiaste szarawary, spięte w kostkach ozdobnymi klamrami. Na biodrach miał szeroki pas, zza którego wystawała rękojeść sztyletu. Wszyscy pozostali odziani byli podobnie, choć żaden nie mógł się poszczycić równie szerokim zdobnym pasem ani błyszczącym hełmem.

To chyba dowódca. Ten, który tak władczo przemawiał, dopóki nie został zagadnięty przez

„świętego męża” — zawyrokował w duchu chłopiec.

— Teraz naprawdę słyszę plusk wioseł — rzekł w tym momencie człowiek z oszczepem.

— Statek od morza! — dobiegł z góry okrzyk.

A więc wystawili straż na szczycie skały. Może strażnik ulokował się w miejscu nazywanym przez Pelosa Gniazdem?

Dowódca skinął na żeglarza, który stał najbliżej. Ten natychmiast uniósł nad głowę zapaloną wcześniej latarnię. Skądś, z morza, odpowiedziało wysokie śpiewne zawołanie.

Wtedy siedzący na skrzyni brodacz wstał, wyprostował się i skrzyżował ręce na piersiach.

Pozostał w tej pozycji aż do chwili, gdy obok pierwszego pojawił się w zatoce drugi statek, większy, z wysokim masztem, od szczytu którego biegły liczne sznury podtrzymujące łukowaty drąg, teraz owinięty spuszczone żaglem. Zadarty dziób, zakończony płaską rzeźbą przypominającą zarys topora, sunął bezszelestnie ku lądowi, aż znieruchomiał.

Kiedy niewidoczny strażnik zawołał: „statek od morza!”, obecni na wyspie żeglarze skupili się w jednym miejscu, mniej więcej w połowie drogi od ogniska do brzegu. Teraz już każdy z nich trzymał w ręce oszczep. Na czele stanął dowódca, który wprawdzie nie wyjął zza pasa sztyletu, ale położył dłoń na jego rękojeści.

— Pozdrowienie z krainy synów największego i jedyne Ptaha od pierwszego strażnika jego ziemskiego Domu! — dały się słyszeć od strony nowo przybyłego statku słowa wypowiedziane gardłowym głosem, w języku zupełnie innym niż ten, którym posługiwali się brodacze czekający na Klio. To powitanie było zapewne umówionym hasłem, bo dowódca zdjął rękę ze sztyletu, a jego żeglarze opuścili oszczepy ostrzami w dół.

— Witajcie w imię Pani Dającej Życie — odrzekł mąż stojący przy ognisku. — Oddalcie się

— zwrócił się do dowódcy. Ten, wraz ze swymi ludźmi, natychmiast zniknął w ciemności panującej wśród głazów po przeciwnej stronie łączki, na której po kilku tysiącach lat miały

stanąć namioty państwa Milejów i Uranisów.

Bolek dotknął wypchanej kieszeni swoich spodni.

— Automacie Jeden–Jeden — szepnął. — Jak to jest, że ja wiem, co oni mówią? Przecież nie posługują się ani greką, ani angielszczyzną? A innych języków mnie nie nauczyłeś... to znaczy, nie przeniosłeś mnie do świata, gdzie rozumiałbym mowę starożytnych ludów.

— Przepraszam — usłyszał odpowiedź, która jak zwykle rozbrzmiała jedynie wewnątrz jego głowy. — Widocznie źle zrozumiałem twoje polecenie. Zaraz naprawię mój błąd...

— Nie! — zawołał mimo woli chłopiec i zaraz przestraszony własnym głosem uderzył się dłonią w usta. Mimo to dodał szybko, tylko znacznie ciszej: — Nie. Niech w tym świecie ja dalej ich rozumiem. Dobrze?

— Oczywiście.

Bolek umilkł. Po chwili powtórzył sobie w duchu: „źle zrozumiałem”. Dziwne. Wydawało się niemożliwe, by automat z kosmosu popełnił takie przeoczenie. A przecież on, pragnąc być świadkiem, jak ktoś pozostawia na Klio te wszystkie znalezione przez nich skarby, z całą pewnością nie pomyślał o kwestii języka.

Czyżby moja piłeczka stawała się samodzielna? — przebiegło mu przez głowę. — Dziwne...

Zagadkę domniemanej samowoli czarnej kulki należało jednak odłożyć na później, ponieważ na wyspie zaczęły się dziać ciekawe rzeczy. Z nowo przybyłego statku zszedł na brzeg rząd mężczyzn, z których każdy niósł na głowie jakiś pakunek albo ciężkie naczynie. Otwierał ten pochód człowiek w powłóczystej białej szacie, która rozchyłała mu się na piersi, odsłaniając ciemnooliwkowe ciało. W uniesionej dłoni niósł krótką złotą laskę, zakończoną paszczą jakiegoś zwierzęcia. Jego łysa głowa lśniła jak księżyc.

Nagle stanął. Przez chwilę wpatrywał się badawczo w dostojnego brodacza, po czym powiedział:

— Przywiozłem dary od naszej świątyni dla Luinanna, który już wielokrotnie przybywał tutaj z kraju Ur. Z kraju wielkiego króla Urinurty, aby dzielić się z nami mądrością wyznawców Enki i łaskawym uchem słuchać, co przez moje usta mówią do niego najświatlejsi ludzie znad Nilu. Ale ty nie jesteś Luinanna. Skąd mam wiedzieć, czy właśnie z tobą polecono mi się spotkać?

— Spójrz, proszę — zagadnięty wydobyl z fałdów swojej szaty jakąś tabliczkę, która przez moment zamigotała w blasku ogniska żywym złotem. — Przybyłem tutaj z wyroku bogini Inanny, którą teraz zowią Isztar. Jestem jej pierwszym kapłanem. Luinanna był jedynie niszakku, urzędnikiem świątyni, i moim wysłannikiem. Nie ujrzysz go więcej. Został zamordowany przez trzech nikczemników, którzy ponieśli już zasłużoną karę z wyroku zgromadzenia w mieście Nippur. Możesz ze mną mówić o wszystkim, o czym rozmawiałeś z Luinanna, a także o sprawach, jakich jemu nie było wolno poruszać. Błędzisz jednak powiadając, że przybywam od króla Urinurty. Istotnie, mieszkam w krainie, którą teraz zowią Ur, należę jednak do Czarnogłowych, a więc spadkobierców mądrości i bogów Sumeru. Podejdź bliżej i pozwól, że również nie powitam w tobie wysłannika faraona, lecz moich braci kapłanów. Chwała Totowi, bogowi mądrości wielkiego Egiptu.

— Chwała Enki — odrzekł po chwili wahania łysy.

Słowa człowieka, który zwał siebie spadkobiercą Czarnogłowych, oraz medalion, jaki mu pokazano, rozwiały widać jego nieufność. Skłonił się nisko i skinął na tragarzy, którzy zaczęli teraz składać opodal ogniska przywiezione przez siebie przedmioty. Bolek ujrzał szczelnie opakowane tobołki, a także dwie znajome amfory, bogato ozdobione malowidłami. Ale zaraz pojawili się nowi ludzie i ci nieśli naczynia, o których pan Uranis powiedział, że pochodzą z Krety.

Chłopiec potrząsnął głową. Pan Uranis był naprawdę wybitnym archeologiem i nie mógł aż tak się pomylić. Skąd więc wzięły się na egipskim statku kreteńskie naczynia?

Przynajmniej to jedno pytanie nie pozostało bez odpowiedzi. Przybysz z kraju piramid kazał złożyć pakunki wraz z dwoma barwnymi naczyniami u stóp brodacza, natomiast pozostałych tragarzy skierował w stronę głazów leżących u stóp skały.

— Rzućcie to byle gdzie — rozkazał — i zostawcie.

— Nie ośmieliłbym się ofiarować ci — znowu złożył głęboki ukłon — potomkowi

Czarnogłowych, rzeczy należących uprzednio do piratów. Zechciej mi wybaczyć, że przybywam tak późno — ciągnął Egipcjanin. — Mieliśmy po drodze spotkanie ze statkiem Minosa.

Mieszkańcy Krety cieszą się u nas uznaniem, są bogaci i mają opinię rzetelnych kupców, okazują jednak zbyt wiele pobłażliwości piratom wypływającym z ich portów na swe łupieskie wyprawy.

To pewne, że piraci przysparzają im bogactw, ale posłali do krainy zmarłych już wielu żeglarzy faraona. Także i o tym chciałem z tobą mówić.

Czarny skinął głową:

— Kreteńczycy bywają groźnymi morskimi rabusiami — przytaknął. — Chociaż i nasi kupcy utrzymują z nimi żywe kontakty. Wy, płynący pod znakiem Tota, wyszliście z potyczki szczęśliwie. Niestety, kilka łodzi króla Uminurty zaginęło ostatnio bez wieści, a ich załogi podzieliły zapewne los tych egipskich żeglarzy, o których wspominałeś. Zechciej przekazać swoim braciom kapłanom, że powinni wywrzeć nacisk na króla Minosa, aby ukrócił samowolę piratów.

— Przekażę twoje słowa — rzekł Egipcjanin. — Czy uważasz za możliwe, aby nasze floty połączyły się we wspólnej walce przeciw Krecie?

Czarnogłowy wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Kapłani nie walczą, lecz myślą za walczących — powiedział wymijająco. — Możesz jednak być pewny, że rada naszych świątyni wnikliwie rozpatrzy twoją propozycję.

— Jeśli na nią nie przystaniecie, nie pokonamy piratów Minosa — przekonywał łysy. —

Urosną w siłę i wkrótce będzie już za późno.

— Wszystko na tym świecie przemija — odezwał się po chwili milczenia brodac. —

Jesteśmy na wodach, przez które od niepamiętnych czasów bezpiecznie wiodły żeglarzy Sumeru ich dobre gwiazdy. Mieszkańcy prastarego miasta Szuruppak dzięki swoim statkom i sztuce nawigacji przetrwali okres potopu zesłanego przez bogów. A teraz Kreteńczycy dościgają nasze łodzie i po zagarnięciu ładunku zatapiają je. Ale czas ich panowania na morzu także jest odmierzony. Doniesiono nam, że w dalekich stepach, za górami, zbierają się hordy barbarzyńców. Postanowiliśmy wysłać parlamentariuszy do ich kapłanów. Gdyby udało się pchnąć te ludy przeciwko Krecie... Ale, mój bracie, czy nie dość mówiliśmy już o piratach i polityce? Światła Tota i Enki nie powinno padać na armie i królów, lecz na tych, którzy z ukrycia kierują ich krokami. My dwaj wiemy, że prawdziwą władzę daje jedynie mądrość. A mądrość posiadają kapłani. Czy twoi towarzysze mają dziś dla mnie jakieś specjalne posłanie?

— Polecono mi przedstawić ci tylko wyniki naszych ostatnich obserwacji astronomicznych, pewne prace geometrów i lekarzy oraz zapoznać cię z planami budowy nowej piramidy. Ma ona być miejscem wiecznego spoczynku władcy, a zarazem mieszkaniem dwóch mędrców, godnych zdaniem Świętej Rady długiego życia. Pozwól też, że przedłożę ci pisma oraz ofiaruję skromne dary — wskazał pakunki i ceramikę, odprawiając ruchem głowy żeglarzy, którzy przynieśli je ze statku. Ci natychmiast odwrócili się i odeszli.

Bolek zdążył zauważyć, że mieli na sobie długie, wąskie suknie, przepasane jednakowymi fartuszkami wyszywanymi w dwubarwne pionowe pasy.

Brodacz, nie wykazując większego zainteresowania otrzymanymi przedmiotami, skłonił się lekko, po czym spojrzął na skrzynię, na której uprzednio siedział.

— Przyjmij moje podziękowanie — rzekł. — A tu są dary, które powieziesz swoim braciom ode mnie. Moje dary nie dorównują twoim, ale nie zapominaj, że należą do ludu, który nie rządzi

już swoją krainą. Zarazem jednak jestem jednym z nielicznych strażników mądrości tego ludu... i tą mądrością mogę się z wami podzielić. W tej skrzyni znajdziecie tabliczki z ważnymi zapisami. Do tej pory ukrywaliśmy je przed światem. Obecnie jednak, stojąc w obliczu nieuchronnego upadku tradycji wielkiego Sumeru, Rada postanowiła przekazać je braciom z Egiptu, aby wiedza naszych przodków nie zesłała do grobów wraz z nami. Zapisy dotyczą badań gwiazd i Ziemi. A teraz zechciej spocząć i pokaż mi tablice astronomiczne, o których wspomniałeś.

Łysy kapłan rozwiązał jeden z przywiezionych ze sobą pakunków i podał czarnowłosemu długą tuleję, zaopatrzoną w glinianą pieczęć. Brodacz zerwał ją i wyjął z tulei ciasno zwinięty arkusz. Rozłożył go, usiadł i zaczął czytać. Przybysz znad Nilu zajął miejsce obok. Pochylił się i co chwilę zerkając na pogrążonego w lekturze Czarnogłowego grzał dłonie nad płomieniem ogniska.

— Śledziliście ruch planet. W zasadzie wasze obserwacje zgadzają się z naszymi — powiedział po kilku minutach brodacz nie odrywając wzroku od papirusów. — A jednak istnieje zasadnicza różnica. My bowiem wiemy, że jest jeszcze jedna planeta, nieobecna na waszych mapach. Teraz rzeczywiście nie widać jej na niebie, bo odeszła bardzo daleko od Słońca. Mimo to jednak nie przestała krążyć wokół niego jak wszystkie pozostałe, tylko znacznie wolniej, pokonując niewyobrażalnie długą drogę. Kiedyś przecież powróci do rodziny dwunastu bogów i dwunastu planet. Bo widzisz, mój bracie, praojcowie nasi dowiedli, że dokoła Słońca krąży razem z Ziemią i Księżycem nie jedenaście, lecz dwanaście ciał niebieskich. Ze zderzenia dwóch planet, które nazywamy Marduk i Nimiru, powstała niegdyś Ziemia. Po katastrofie masa obydwu tych globów rozpadła się na dwie części. Jedna rozprysła się na drobne gwiazdne okruchy, natomiast druga zmieniła szlak, jaki zakreśla na niebie. W tej chwili jest bardzo daleko, my jednak wiemy dokładnie, w jakim czasie ponownie znajdzie się w pobliżu Słońca. Jej powrotowi

towarzyszyć będą osobliwe znaki, które starzy mędrcy mojego kraju zamierzali wykorzystać dla umocnienia wiary i autorytetu kapłanów. Ponieważ jednak, jak wspomniałem, nie ma już państwa, którym mędrcy ci mogliby rządzić, i ponieważ ani ja, ani nikt z członków naszej Rady nie doczeka ponownego pojawienia się owej planety, wam przekazujemy tę świętą tajemnicę z zaleceniem, abyście jej strzegli przed niepowołanymi, a kiedy przyjdzie pora, wykorzystali zgodnie z waszymi sumieniami. Szczegóły wyczytacie w zapisach, które przywiozłem. Teraz powiem ci tylko, że istniało wśród nas podanie, jakoby właśnie planeta Marduk była ojczyzną życia w świecie naszego Słońca. Jeszcze niektórzy moi nauczyciele wierzyli w to, że tam nadal mieszkają potomkowie naszych praojców i że podczas kolejnych powrotów z dalekich kosmicznych podróży ci potomkowie będą nas odwiedzać, wspomagając radą i czynami. Nie mam podstaw, by zaprzeczać tej legendzie, albowiem wszystkie podania mojego ludu zawierały mądrość i prawdę. Niestety, nie znalazłem i nigdy już nie znajdę potwierdzenia jej słuszności.

— Słucham cię z najwyższą uwagą, panie — rzekł uprzejmie Egipcjanin. — Słyszałem o wielkiej wyprawie morskiej moich praprzodków. Zmusiła ich do przedsięwzięcia tej wyprawy katastrofa na niebie tak straszna, że zniszczyła część Ziemi, między innymi krainę, którą uprzednio zamieszkiwali. Znam waszą naukę o potopie i nieśmiertelnym starcu, Ut–napisztim... — To jest miano nadane mu przez obcych w niedawnych czasach — przerwał łagodnie brodac. — My nazywaliśmy go Ziusudrą. Historia wędrówki waszego ludu jest zapisana w kronikach mojej świątyni. Szkoda, że tak późno porównaliśmy podania przekazywane jak największe skarby przez kolejne pokolenia kapłanów. Teraz nie ma już Sumeru. Obawiam się, że między władcami i politykami krajów, w których żyjemy, dojdzie do rywalizacji i wojen. No cóż — westchnął — przemijają królowie i mocarstwa. Tylko mądrość jest nieśmiertelna. Będziecie jej strzec!

— Tak czynimy.

— A gdy kiedyś i wasi władcy utracą państwo, a świątynie bogów, których czcicie, zaczną chylić się ku upadkowi, przekażecie swoją wiedzę następcom. Czytam tu — czarnowłosy znowu pochylił się nad zwojem pokrytym znakami — o waszej projektowanej budowli. Nie rozgłaszamy, że piramidy służą nie tylko zmarłym, lecz także żywym, bo niestety nigdzie i nigdy nie zdołano by postawić ich tyle, aby zapewniły schronienie wszystkim ludziom. Ale główni architekci muszą znać prawdę. Tymczasem na szkicu, który przywiozłeś, dostrzegam poważne błędy. Jego autorzy uczynili wszystko, by wznieść jeszcze jeden wspaniały pomnik zmarłemu władcy, ale naruszyli geometrię całego zespołu już istniejących budowli, co doprowadzi do znacznego zmniejszenia obszaru osłoniętego przed niewidzialnymi, zabójczymi promieniami słońca. Widzę tu zaznaczone przez waszych kapłanów miejsca wewnątrz piramidy, gdzie mają przebywać wybrani, aby mogli przeżyć wiele pokoleń śmiertelników. Te miejsca są wskazane prawidłowo. Ale gdyby architekci wiedzieli, jakim celom ma służyć ich dzieło, i gdyby znali całą prawdę o zespołach waszych świętych budowli, z pewnością uzgodniliby swoje plany z astronomami. Ci zaś powiedzieliby im, że w ciągu lat, które minęły od wzniesienia pierwszych piramid, oś Ziemi zmieniła swe położenie w przestrzeni, wobec czego promienie słoneczne pod innym kątem padają teraz na powierzchnię planety. Ten fakt koniecznie należało uwzględnić, by zachować miejsca chronione nie tylko wewnątrz budowli, lecz także wokół nich, jak to zawsze bywało. Projekt, jaki tu widzę, należy zmienić, mój bracie. Postawienie właściwej piramidy we właściwym punkcie uratuje to, co zepsuła sama natura, a co uległoby ostatecznemu zniszczeniu, gdyby ten plan — brodacz popukał palcem w papirus — został zrealizowany.

— To czym właściwie były piramidy? — zabrzmiał na skalnej półeczce cichutki szept.

— Słucham?

Bolek ocknął się.

— Nic, nic — odpowiedział prędko.

— Coś jednak mówiłeś? — nie dawała za wygraną piłeczka.

— Ale nie do ciebie — wyszeptał chłopiec. Równocześnie gorączkowo począł powtarzać sobie w myśli: Marduk, Ziusudra, Luinanna, Urninurta... żeby tylko nie zapomnieć! Marduk, Isztar, Enki, jeszcze jacyś bogowie... no proszę, już nie wiem! — zezłościł się. — Marduk. Urninurta, Ur-ni-nur-ta — przesyłabizował, żeby lepiej zapamiętać. Inaczej nie mógłby spytać pana Uranisa ani ojca o ludzi i bogów noszących te imiona, a przede wszystkim o sprawy, które poruszyli w rozmowie obaj mężczyźni. Nie powie przecież przy śniadaniu, że był na Klio kilka tysięcy lat temu. Od razu przyleciałby helikopter pogotowia ratunkowego!

Dobrze, dobrze — przywołał się w duchu do porządku. Na razie jeszcze nie ma na sobie kaftana bezpieczeństwa, a już zachowuje się jak prawdziwy wariat. Zamiast uważnie słuchać, co mówią ci tajemniczy ludzie, którzy żyli tak dawno temu i tak wiele wiedzieli, zamyka oczy i powtarza imiona, które figurują pewnie we wszystkich historycznych książkach. Dosyć!

Jakby na podkreślenie tej decyzji uniósł głowę i przetaił palcami powieki. Natychmiast jednak musiał to ponowić.

Pod skałą płonęły dwa ogniska, a nie jedno! Przy pierwszym, którego płomień jakby przygasł, siedzieli nadal kapłani wiodąc poważną rozmowę. Ale ich głosy tonęły w rozpętanej nagle dzikiej wrzawie, jaką czynili ludzie zgrupowani dookoła drugiego ogniska. Cicha wyspa aż trzęsła się od ich śmiechu, śpiewów, okrzyków.

Raptem Bolek drgnął i zrobił ruch, jakby miał zamiar zerwać się na równe nogi.

Wprowadzenie w czyn takiego zamiaru musiałyby, ze względu na rozmiary skalnej półeczki, zakończyć się katastrofą, ale na całe szczęście nogi stanowczo odmówiły mu posłuszeństwa.

Poprzestał więc na zdławionym szepcie:

— Nie! Nie!

— Czym mogę służyć? — odezwał się natychmiast wewnątrz jego głowy automat Jeden-

Jeden.

— Co... co to znaczy? — wybełkotał Bolek.

— Przepraszam. Nie rozumiem.

— Przecież oni! O, o! — tu chłopiec wskazał oskarżycielskim gestem kapłana mieniącego się spadkobiercą Czarnogłowych, przez którego przenikał właśnie najspokojniej w świecie inny człowiek, ubrany w ciemną kurtkę przepasaną wąską szarfą, odsłaniającą rękojeści dwóch wielkich noży. Przeniknął zresztą nie tylko przez brodacza. Przeszedł najzupełniej spokojnie przez sam środek płonącego ogniska. Następnie znikł w ciemnościach panujących u podnóża skały. Po chwili ukazał się znowu.

— Hej! — zawołał ochryłym głosem. — Słuchajcie no! Tu są jakieś skrzynie. Zdaje się, że pełne. Pomyślałem sobie, że warto je przetrząsnąć.

— Dobrze pomyślałeś — odpowiedział inny mężczyzna ruszając pośpiesznie w stronę pierwszego. On z kolei potraktował jak powietrze Egipcjanina zajętego odczytywaniem glinianej tabliczki.

— Pewno, że dobrze! — rzucił ochoczo trzeci. — Okup okupem, ale gdybyśmy przypadkiem znaleźli jeszcze trochę złota, to nasz okręt bez trudu udźwignąłby jego ciężar.

Bolek przełknął ślinę.

— Co to za ludzie? — wykrztusił. — I dlaczego oni przechodzą przez innych jak zjawy?

— Nie wiem — odpowiedziała piłeczka. — Pamiętaj jednak, że nie żądałeś ode mnie przeniesienia do konkretnego wariantu świata, gdzie właśnie rozgrywają się ściśle określone wydarzenia. Była tylko mowa o faktach tłumaczących pochodzenie przedmiotów znalezionych przez was pod wodą. Jeśli te skrzynie i naczynia spoczęły tam w różnych czasach i zostały przywiezione przez różnych ludzi, to i ty możesz znajdować się teraz równocześnie w dwóch załamaniach czasoprzestrzeni. A nawet więcej niż dwóch. Czy wyrażam się jasno?

Chłopiec milczał przez dłuższą chwilę.

— Jasno? Wcale nie jasno — zdecydował. — Coś jednak zaczynam chyba rozumieć...

Pod skałą, gdzie nie padał już blask ognisk, zabrzmiał chóralny śmiech:

— Masz swoje złoto, krezusie — zawołał ktoś kpiąco. Zaraz potem z cienia zaczęły wylatywać ciskane z rozmachem tabliczki, takie jak te, które przywiózł brodacz, a które, jak sam twierdził, zawierały zapisy bezcennych sumeryjskich tajemnic. A teraz jedna po drugiej fruwały nad całą plażą i trafiając w głązy po przeciwnej stronie zatoczki, rozsypywały się na drobne okruchy. W pewnym momencie w ślad za nimi poleciała pusta już skrzynia. Do jednego z jej rogów przywarł strzęp barwnego materiału.

Bolek z przerażeniem rozpoznał tkaninę, która wyścielała siedzisko brodacza. Egipcjanin nie zabrał więc z Klio ofiarowanych mu skarbów. Dlaczego? Co mu przeszkodziło? A przecież równocześnie, w tej właśnie chwili, Czarnogłowy wciąż najspokojniej siedział na swojej skrzyni przy pierwszym ognisku i prowadził uczoną rozmowę z łysym kapłanem. Tylko że tę chwilę dzieliło od pojawienia się rozwrzeszczanych dzikusów... ile? Sto lat? Tysiąc? Kilka tysięcy? Chłopiec zaczął rozumieć, co miał na myśli automat Jeden—Jeden mówiąc, że spełniając jego ostatnie polecenie mógł go przenieść do kilku światów naraz. Właśnie miał przed oczami dwa światy, dlatego ludzie, na których patrzył, nie widzieli się nawzajem i mogli przenikać przez siebie jak duchy. Przecież członkowie tej rozkrzyczanej bandy urodzili się wtedy, gdy kości obu uczonych kapłanów już od wieków butwiały w ziemi. Oczywiście, dla współczesnego człowieka także i ci nowi przybysze należeli do starożytności. Tyle że starożytności nie aż tak odległej, jak król Urninurta czy budowniczości piramid.

Hałaśliwi obwiesie przestali wreszcie zabawiać się rozwalaniem czcigodnych tabliczek.

Stwierdziwszy, że w znalezionych skrzyniach nie ma złota ani klejnotów, odeszli na środek polany, gdzie rozsiedli się na kamieniach i trawie, po czym natychmiast znowu zaczęli

pokrzykiwać i śpiewać, przerywając sobie nawzajem wybuchami śmiechu. Niektórzy z nich pili wino, lejąc je do srebrnych kubków z takich samych lub zgoła tych samych greckich amfor, z których potem morze splukało wzory i które spoczywały teraz w namiocie pana Uranisa. Tak, to muszą być właśnie te amfory — rzekł sobie w duchu Bolek. Piłeczka miała mu przecież pokazać, w jaki sposób na Klio znalazły się przedmioty wyłowione z podwodnej jaskini. Widział już naczynia egipskie i kreteńskie, widział tabliczki, teraz przyszła kolej na amfory. A wracając do tych skrzyń, to brodacz musiał mieć ich kilka. Ci ludzie tutaj — Bolek spojrzał z odrazą na rozbawionych barbarzyńców — znaleźli i rozbili tylko jedną. Całe szczęście. Inaczej nic nie odkrylibyśmy pod wodą.

Rozwiązawszy w ten sposób zagadki dwóch, a nawet trzech światów, wliczając ten, do którego sam należał, chłopiec skierował wzrok ku drugiemu, nowemu ognisku, roznieconemu w pobliżu pierwszego.

Ujrzał przy nim dwóch tylko ludzi, zajętych grą w kości. Ale ludzie ci tak różnili się od siebie, jakby każdy z nich również pochodził z innego świata.

Mężczyzna siedzący naprzeciw Bolka nosił białą szatę, a na niej skórzany kaftan z krótkimi rękawami. Jego szeroka twarz, o silnych, wystających żuchwach i niewielkiej, dość ostro zarysowanej brodzie, znamionowała upór i silną wolę. Głowę miał pokrytą krótkimi mocno przerzedzonymi włosami szczesnymi na czoło. Obok niego leżał błyszczący hełm z metalowym grzebieniem, a nieco dalej szeroki miecz bez pochwy i również obnażony sztylet. Oczy tego człowieka patrzyły spokojnie i śmiało, a jego ruchy, gdy przystępował do gry, cechowała wyniosła niedbałość.

Natomiast jego partner, acz pozbawiony znamion jakiegokolwiek dostojęstwa, przedstawiał widok znacznie bardziej malowniczy. Głowę miał przewiązaną czerwoną szmatą, której rogi spadały mu na kark i policzki. Jego długa, obszerna suknia była brudna i miejscami podarta,

kiedyś jednak musiała prezentować się nad wyraz okazale. Uszyto ją z grubego miękkiego materiału, haftowanego w wielkie kolorowe wzory i złote głowy smoków. Ta wspaniała suknia była jednak ciasno przepasana zwykłym sznurem, na którym podobnie jak u zbirów, którzy niszczyli sumeryjskie tabliczki, tkwiły dwa długie noże.

Człowiek z nożami wykonał właśnie rzut. Spojrzał na kości, skrzywił się, splunął i powiedział:

— Twoja kolej, Rzymianinie — jego głos docierał do Bolka tak samo wyraźnie i czysto, jak przedtem głosy kapłanów.

Mężczyzna nazwany Rzymianinem wzruszył nieznacznie ramionami.

— Wygrałem — stwierdził. — Gdybyś tak jak przyzwoici ludzie miał zwyczaj spłacać swoje honorowe długi, powiedziałbym, że nie opłacało ci się mnie porywać. Zanim moi ludzie zdążą zebrać okup, przegrasz te pięćdziesiąt talentów, których zażądałeś za moją wolność.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się osobnik we wzorzystej sukni. — Poczekaj tylko! Jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa. Zresztą gdybym nawet oddał ci całe złoto, jakie kiedykolwiek przegrałem w kości, to do pięćdziesięciu talentów i tak pozostanie bardzo okrągła sumka.

— Owszem, pięćdziesiąt talentów to niemało — przyznał Rzymianin. — Przebywamy tu razem przez cztery dziesiątki dni, nieprawdaż, piracie? Moi wysłannicy mogą wrócić jeszcze tej nocy. Nie zdążysz się odegrać. Ale na wszelki wypadek wiedz, że ja moje długi zaciągnięte u ciebie spłacę skrupulatnie — ostatnie słowo zostało wypowiedziane szczególnym tonem. —

Podsumujemy nasze rachunki, kiedy zawiśniesz na krzyżu. Krzyże czekają zresztą was wszystkich. Jak tylko przybędę na Rodos, dopilnuję cieśli, by wyciosali je z najlepszego cedrowego drewna. To także ci przyrzekam.

Zbir odpowiedział nowym wybuchem śmiechu.

— Cha, cha, cha! Słyszeliście?! — zawołał do swoich towarzyszy. — Nasz gość jest

dowcipnisiem. Od iluż to lat jego pobratymcy próbują nas złapać. A nam w to graj. Najbardziej lubimy kupców, ale mieliśmy już także do czynienia z wodzami, namiestnikami prowincji i innymi dostojnikami. Wszyscy musieli nam płacić za wolność lub szli pod wodę. Wy, Rzymianie — zwrócił się znowu do swego partnera — podbiliście Egipt, Grecję, Azję i licho wie, ile jeszcze krajów, być może podbijecie ich drugie tyle, ale nam nigdy nie dacie rady.

A więc to są piraci — zrozumiał Bolek. Nic dziwnego, że tak się zachowują. Porwali tego człowieka w białym stroju, trzymają go tu już przez czterdzieści dni, czekając na przyrzeczony okup. Mówią o Rzymianach. To znaczy, że są to czasy rzymskie.

— Dotychczas wasze rzemiosło istotnie uchodziło wam bezkarnie — rzekł mąż w białej szacie. — Ale Imperium musi mieć zapewnioną bezpieczną żeglugę. Niebawem nadejdzie kres waszego panowania na morzach.

— Ejże, nie denerwuj mnie! — zawołał zbir, niezbyt rozgniewany, lecz trochę zniecierpliwiony.

— Znowu przegrałeś — stwierdził mimochodem jego przymusowy partner zgarniając kości.

— Przegrasz ze mną także na innym polu. Przegrasz wszystko. Rzym włada światem. A wy nigdy dotąd nie spotkaliście na swojej drodze Gajusza Juliusza Cezara. Zapamiętaj sobie moje imię, piracie. Gdybyś pożył jeszcze kilka lat, usłyszałbyś o mnie niejedno. Niestety, nie dojdzie do tego.

Na skalnej półeczce zabrzmiał zdławiony okrzyk. Bolek nie wytrzymał i powtórzył scenicznym szeptem: „Cezara?!”

Na szczęście jego głos zanikł w donośnym wołaniu, jakie właśnie dobiegło od strony okrętów.

— Płyną!

Chłopiec niechętnie oderwał wzrok od jednego z najsztywniejszych ludzi w dziejach świata, którego dzięki kosmicznej półeczce mógł teraz oglądać na własne oczy, zwrócił głowę w

kierunku plaży. Najpierw ujrzał jedynie nikle światelka. Wkrótce jednak dostrzegł obok dwóch pierwszych, należących do kapłanów, trzy czy cztery inne statki, większe, zgrabniejsze, o ozdobnych, strzelistych dziobach. A za nimi, na pełnym morzu, czerniały kontury jeszcze kilku podobnych. A zatem u wybrzeży Klio pojawiła się cała flota.

— Hooo! — wołał ktoś ukryty w ciemnościach.

Spoza zakotwiczonych statków wypłynął nowy. Jego załoga dopiero tuż przy skalistych brzegach wyspy zrzuciła biały żagiel, lśniący na tle nieba srebrzystym blaskiem. Wkrótce statek wpłynął do zatoczki i miękko osiadł na dnie. Wskoczyło z niego kilku mężczyzn, których od razu otoczyła gromada zbrojnych piratów. Cała ta grupa zaczęła się teraz powoli zbliżać do ogniska.

Gajusz Juliusz Cezar, jeśli to był naprawdę on, raz jeszcze ze spokojem wyrzucił kości.

— Wygrałbym znowu — powiedział.

— W każdym razie miałeś rację — odrzekł jego rywal wstając. — Twoi wysłannicy rzeczywiście zdążyli wrócić właśnie tej nocy. Mam nadzieję, że przywieźli wszystko, co mieli przywieźć. Byłoby mi przykro, gdybym musiał przywiązać ci kamienie do nóg i spuścić z pokładu.

— Bądź spokojny. Moi ludzie zrobili to, co im kazałem. Ja także spełnię daną ci obietnicę...

— Dobrze, dobrze — pirat machnął pogardliwie ręką. — Na razie zobaczymy, co twoi kompani mają w tych workach. Hej, tam! — krzyknął w stronę swoich towarzyszy nadal otaczających ciasnym kołem nowo przybyłych. — Niech tu przyjdzie jeden z tych paniczyków! Bandyci rozstąpili się, by przepuścić krępego mężczyznę, którego pierś i ramiona okrywały miedziane blachy. Ten, nie zwracając najmniejszej uwagi na piratów uważnie śledzących jego ruchy, podszedł do ogniska i pozdrowił Cezara uniesieniem dłoni.

— Witaj! — powiedział. — Czy wszystko w porządku?

— W porządku, trybunie. Czy byłeś na Rodos u mistrza Molona i zapowiedziałeś mu, że przybędę ćwiczyć się pod jego kierunkiem w sztuce wymowy?

— Byłem na Rodos i w wielu innych miejscach. Niełatwo dziś zebrać pięćdziesiąt talentów.

— Ale zebrałeś je?

— Tak, Cezarze. Zebrałem i przywiozłem. Musiałem jednak zaciągnąć w twoim imieniu pożyczki.

— Taki widać mój los — Rzymianin uśmiechnął się i wstał. — Hej, piracie! — zawołał do swego niedawnego partnera, zajętego teraz sprawdzaniem zawartości worków wyładowanych z nowo przybyłego statku. — Czy przeliczyłeś już złoto?

— Chwileczkę — dobiegła odpowiedź. — Liczenie złota to nie gra w kości. Zwłaszcza jeśli gra się z kimś, z kim nie można przegrać.

— Mimo wszystko przegrałeś.

— No, to spróbuj odebrać swoją należność!

— A spróbuję! Czy teraz mogę już wsiąść na pokład? Pilno mi na Rodos.

— Żartuj sobie, żartuj — zbir przestał liczyć, wstał i zrobił kilka kroków w stronę jeńca. —

Chyba wszystko się zgadza. Możesz płynąć, dokąd chcesz, Rzymianinie. A gdybyś jeszcze kiedy miał ochotę na maleńką partyjkę, to wypuść się tylko śmiało na morze. Na pewno znowu sobie pogawędzimy.

— Spotkamy się wcześniej, niż myślisz. Chodźmy, trybunie.

Wezwany przepuścił Cezara, a następnie podążył za nim w stronę plaży. W dwie, najwyżej trzy minuty później Bolek ujrzał na morzu srebrnobiały żagiel, szybki i sprawnie podniesiony przez załogę odpływającego statku.

Na wyspie wesołe nawoływania i śmiechy zabrzmiały ze zdwojoną siłą.

— Pięćdziesiąt talentów! Pięćdziesiąt talentów! — wykrzykiwał chudy człowieczek, jakby

wyjęty z ilustracji do powieści o morskich rabusiach, bo jedno oko zasłaniała mu czarna klapka.

— Czy podzieliliście zdobycz sprawiedliwie? — spytał mężczyzna, który grał z Cezarem w kości.

— Tak! Tak! — odpowiedziało kilka głosów.

— No, to zabierajcie złoto i wracajcie na okręty. Jesteśmy tu bezpieczni i możemy być w tej zatoce przez kilka, a nawet kilkanaście dni. Tylko przedtem zróbcie porządek. Żeby mi tu nie został najmniejszy ślad naszej obecności! To przyjemna wyspa i może kiedyś zechcemy na nią wrócić przy podobnej sytuacji. Więc nie wskazujmy naszym wrogom miejsc, gdzie mogliby zastawić na nas pułapkę. Posprzątajcie wszystko co do okruszyny, jasne?!

Piraci rozbiegli się. Jedni zbierali z ziemi naczynia i resztki jedzenia, inni zasypywali wilgotnym piaskiem ognisko, jeszcze inni zajęli się okruchami glinianych tabliczek, które zaścielały sporą część polany.

— Co z tym zrobić? — zawołał rabuś z przewiązanim okiem, wskazując opróżnione amfory.

— Mamy mnóstwo takich na pokładzie. I to pełnych najlepszego wina — odpowiedział człowiek we wzorzystej szacie, który najwidoczniej przewodził całej bandzie. — A te wrzucie do morza! Tylko pod skałami, tam gdzie głęboko.

Chwilę później chłopiec usłyszał głośny plusk.

— Czemu tamci dwaj kapłani nie zabrali ze sobą tego, co dla siebie przywieźli? — spytał szeptem. — Automacie Jeden–Jeden! Wiem już, dlaczego znaleźliśmy tu pod wodą greckie amfory. Ci piraci po prostu gdzieś je zrabowali, a teraz wyrzucili. Ale skąd wzięły się w jaskini inne naczynia, a przede wszystkim skrzynie z tabliczkami?

— Nie potrafię tego wyjaśnić. Miałem cię przenieść do wariantu czasoprzestrzeni, w którym na wyspę przybywają wyłowione przez was przedmioty.

— Świecie, świecie! — westchnął Bolek. — Co za noc! Egipcjanin przywozi zdobione

nacznia, szkice piramid oraz odebraną piratom ceramikę wykonaną na Krecie. Ten brodacz posiada wyryte w glinie zapisy straszliwych sumeryjskich tajemnic. Potem to wszystko znika, by zamiast w Egipcie czy w Ur pojawić się tysiąc lat później znowu tu, na Klio, w podmorskiej grocie, a jeszcze później inni piraci, którzy na dobitkę porwali samego Cezara, wrzucają do morza greckie amfory. A ja dalej nic nie rozumiem! — zawołał na głos, straciwszy panowanie nad sobą. — Słyszysz?! Nic nie rozumiem!

— Wniosek jest prawidłowy, choć skądinąd niezbyt pocieszający — padła odpowiedź, której jednakże nie udzielił chłopcu automat z gwiazd, tylko jego własny, rodzony ojciec. Pan Milej w lekkiej piżamie, z rozburzonymi włosami, przeszedł właśnie przez łączkę i stanął przed Bolkiem. — Co prawda, ja także nie wszystko rozumiem — mówił dalej przeciągając się sennie. — Na przykład, dlaczego mój jedyny syn, zamiast spać i nabierać sił przed nowym pracowitym dniem poszukiwacza skarbów, włazi w nocy na skałę i z niej obwieszcza całemu światu żalospną prawdę o stanie swojego umysłu?

— Tato? — po długiej chwili zdołał wybąknąć Bolek. — Ależ... to niemożliwe! Co ty tu robisz... teraz... — rozejrzał się gorączkowo, jakby chciał sprawdzić, czy jego ojciec nie przystał przypadkiem do bandy starożytnych piratów. Ale piratów już nie było. W świetle księżyca błyszczały za to jak żagle rzymskiego okrętu znajome namioty rozbite pośrodku polany.

— Sztuka stawiania pytań jest ponoć trudniejsza niż sztuka odpowiadania — pan Milej pokiwał głową. — Z kolei każda rozmowa ma w sobie coś z potyczki. A we wszelkich potyczkach ogromną rolę odgrywa moment zaskoczenia przeciwnika. Wydawać by się mogło, że to ja ciebie powinienem spytać, co tutaj robisz. Tymczasem uprzedziłeś mnie. Dałem się zaskoczyć. Wobec tego, choć nie powinienem, odpowiem ci jednak. Otóż spałem i zbudziły mnie rozpaczliwe wrzaski kogoś, kto wylazł na kamień i nadal nic nie rozumiał. Wystarczy? A teraz z kolei może ty zechcesz mnie objaśnić, co masz zamiar począć z resztą tak mile rozpoczętej nocy?

— Ja...

Ojciec ponownie skinął głową:

— Czy mam przez to rozumieć, że wrócisz do namiotu i położysz się do łóżka?

— Tato!

— Nie krzycz tak, bo obudzisz mamę i wtedy obu nam się dostanie bura... Ojcowie zawsze cierpią za winy swoich synów, zwłaszcza kiedy w pobliżu znajdują się kobiety. No co? Idziesz spać?

Bolek zlął ze swojej półeczki, z której tak niedawno obserwował niezwykle sceny, jakby przeniesione z historycznych filmów, po czym powoli poczłapał za ojcem zmierzającym z powrotem w stronę namiotu. W połowie drogi przystanął.

— Tato? — tym razem w jego głosie brzmiała prośba.

Ojciec zatrzymał się również.

— Co znowu?

— Kto to był... zaraz... już wiem. Ur-ni-nur-ta? — wyrecytował. — Chodzi zdaje się o jakiegoś króla? A poza tym, czy wiesz coś o Enki, o Ziusudrze, o planecie Marduk, o jakimś polu wokół piramid, gdzie można żyć dłużej niż inni ludzie, o...

— Co ci jest? — pan Milej odwrócił się i położył dłoń na czole syna.

Chłopiec syknął gniewnie:

— Nic mi nie jest! No, wiesz coś czy nie wiesz?!

Przez chwilę na łączce było cicho jak makiem zasiał.

— Miałeś jakiś niezwykły sen? — spytał wreszcie ojciec. — Czy też przypomniałeś sobie książkę, którą kiedyś czytałeś?

— Ani jedno, ani drugie. To znaczy... — Bolek zająknął się pojawiając, że jego nagłe zainteresowanie dziejami starożytnego Sumeru, objawione w środku wakacyjnej nocy i w

dodatku poparte imionami tylu władców oraz bogów, może, a nawet musi, wydać się mocno podejrzanie. — To znaczy — powtórzył — powiedzmy, że coś mi się przypomniało. Albo że nawiedziły mnie duchy pradawnych żeglarzy, którzy kiedyś przybyli na Klio — chłopiec odetchnął z ulgą, bo w gruncie rzeczy bardzo nie lubił kłamać, a to, co teraz powiedział, mniej więcej pokrywało się z prawdą. — Tato — dodał szybko — daję słowo, że zaraz pójde spać. Odpowiedz mi tylko, czy naprawdę żył kiedyś taki Urninurta i czy znasz te imiona, które wymieniłem?

Ojciec przyglądał mu się przez chwilę, po czym powiedział:

— Stało się coś ważnego, prawda?

Bolek wiedział, że jego ojcu nie brak przenikliwości, co skądinąd nie zawsze przynosiło pożądane skutki, zwłaszcza gdy chodziło o sprawy związane z Augustem Karpem lub ze szkołą. Teraz jednak ogarnął go wprost podziw.

— Tak — rzekł krótko.

— Widzę. Porozmawiamy jutro, dobrze? Sam chętnie przypomnę sobie, co czytałem o mieście i państwie Ur, którym władał Urninurta, bo taki król istniał naprawdę. Natomiast ci bogowie, a ściślej mówiąc, ich imiona, pochodzą z czasów Sumerów, czyli wcześniejszych. Na przykład sumeryjska Inanna nosiła wtedy miano...

— Wiem! Isztar! — przerwał z tryumfem chłopiec.

— Owszem — przytaknął ojciec patrząc na syna z niekłamanym zaciekawieniem. — Stajesz się tajemniczy — stwierdził. — Nie podejrzewałem cię o taką zażyłość z Sumerami. Bądź co bądź, w szkole dotychczas chyba się z nimi nie zetknąłeś, a w domu rozmawiamy raczej o Grekach albo Rzymianach.

— Właśnie! Czy to możliwe, żeby Cezar grał kiedyś w kości z piratami? — podchwycił Bolek, w którym dźwięk słowa „Rzymianin” obudził nowe wspomnienia.

— A jakże! Ten akurat epizod z życia Cezara znamy dość dokładnie z jego własnych pism i opracowań współczesnych mu historyków. Jechał wtedy na...

— Na Rodos! — krzyknął znowu Bolek.

— Słuchaj, czego ty właściwie chcesz? — zniecierpliwił się wreszcie ojciec. — Najpierw zadajesz mi pytania, a potem sam na nie odpowiadasz. Wychodzi na to, że to ty mnie poddajesz egzaminowi.

— Wcale nie. Chciałem się tylko upewnić... Tato, ja wiem, skąd się wzięły te gliniane tabliczki, które znaleźliśmy w jaskini. To znaczy — zawahał się, bo przypomniał sobie, że nie będzie mógł poprzeć swojego oświadczenia żadnymi faktami, a na opowieść o piłeczce stanowczo było jeszcze za wcześnie. — To znaczy — powtórzył — mam na ten temat własną hipotezę...

— Masz hipotezę — ojciec pokiwał głową. — Dobrze. Przy śniadaniu pomówimy nie tylko o Sumerach i Cezarze, lecz także o hipotezach. Czy teraz możemy iść spać?

— Tak, tato — zgodził się potulnie chłopiec.

W pięć minut później Bolek leżał na swoim połowym łóżku i zamknął oczy. Czuł jednak, że nie zaśnie. Ta noc obfitowała w zbyt wiele zdarzeń.

W pewnym momencie coś sobie przypomniał.

— Automacie Jeden–Jeden — szepnął dotykając po omacku swoich przewieszonych przez połowy stoliczek spodni z kieszenią ukrywającą czarną kulkę. — Dlaczego wszystko tak nagle zniknęło, kiedy tylko tata wyszedł z namiotu?

— Pytasz, czemu przestał istnieć wariant czasoprzestrzeni, w którym na tę wyspę przybyły odkryte przez was przedmioty? Po prostu, minęła czwarta część czasu określonego umownie nocą. Zgodnie z twoim własnym życzeniem...

— Pamiętam. Rozumiem — przerwał cichutko chłopiec. — Wróciliśmy do naszej epoki. Ale

dłaczego przedtem jeszcze zniknęli ci dwaj kapłani? Przecież w ten sposób mnóstwo rzeczy pozostało nie wyjaśnionych?

— Nie wiem — odrzekł automat. — Nie znam ani przeszłości, ani przyszłości wariantu załamania przestrzeni, w którym to nastąpiło.

— Ale ja miałbym teraz znacznie więcej pytań niż przedtem — mruknął Bolek już wyłącznie do siebie. — A może... — zawahał się — może to zawsze jest tak, że im więcej człowiek wie, tym więcej dręczy go zagadek? Może na tym polega ciekawość naukowca, na przykład takiego jak pan Uranis? Do licha! — chłopiec otworzył oczy i skrzywił się. — Tato obiecał, że przy śniadaniu porozmawiamy o Sumerach, Cezarze i tych bogach właśnie z doktorem Uranisem. Tymczasem on wybiera się zaraz rano w drogę, żeby zawiadomić Instytut o naszym odkryciu. Eee, ostatecznie można zrobić tak, jak z aqualungami. Powiem piłeczce, żeby przeniosła nas do świata, w którym pan Uranis już wrócił na Klio. Tak. Chyba tak będzie najlepiiej... aaa... Wrażenia wrażeniami, zagadki zagadkami, gwiazdy gwiazdami, a bogowie bogami. Był także bóg snu, Morfeusz, chociaż Bolek nie wiedział, czy wierzyli w niego już Sumerowie lub Egipcjanie. Zresztą mniejsza o to, kto i kiedy w niego wierzył. W każdym razie rozpostarł on swoje czarne skrzydła nad młodym dwudziestowiecznym Europejczykiem, który żywo interesował się raketami latającymi na Księżyc i sondami wysyłanymi do granic Układu Słonecznego, a także najstarszymi dziejami mieszkańców Ziemi. Wziął go w niepodzielne władanie i uniósł w krainę, jakiej nie wymyśli nawet bajeczny kosmiczny automat. Chłopiec zamknął oczy i natychmiast zapomniał o wszelkich możliwych światach.

AUTOMAT OBRONNY

Grzmoty i wstrząsy trwały tak długo, że Bolek zdecydował się w końcu unieść powieki.

— Tylko spokojnie — powiedziała babcia Miła cofając się. — Twój ojciec uprzedzał mnie, że jeśli pójdę cię obudzić, to narażę się na śmierć. Przynajmniej jeśli nie odpowiem na trzy pytania.

Jak ci biedacy, którzy starali się o rękę złej królowny. Pierwsze miało dotyczyć Sumerów, drugie Egipcjan, a trzecie Cezara. Postanowiłam jednak zaryzykować.

Wzmianka o Sumerach i Egipcjanach zrobiła swoje.

— Która godzina? — spytał szybko chłopiec.

— Nie wiem — odrzekła babcia. — Ale Pelos kąpał się już w morzu, a teraz siedzi przy stole.

Razem z Eli i ze wszystkimi, oprócz tego zwariowanego archeologa. Bo on jeszcze przed śniadaniem — te słowa wypowiedziane z niesmakiem i zgrozą — popłynął w świat, żeby z kimś pogadać przez radio.

W ułamku sekundy Bolek przypomniał sobie swoje postanowienie, że przeszkodzi panu

Uranisowi w opuszczeniu wyspy. Zerwał się, zatoczył i natarł pochyloną głową na babcię, która nie zdążyła w porę uskoczyć.

— No i mam za swoje! — jęknęła nieszczęsna. — A ostrzegano mnie.

— Przepraszam, babciu — sumitował się Bolek, gorączkowo wciągając spodnie. Przy okazji sprawdził, czy jego czarna piłeczka nadal spoczywa bezpiecznie w kieszeni. Była na swoim miejscu. — Ja — ciągnął chłopiec — ja bardzo mocno spałem i...

— Śniło ci się, że walczysz z potworami — dopowiedziała babcia. — Dlatego na mój widok ruszyłeś do ataku. Każdy ma taką rodzinę, na jaką zasłużył. Kiedyś, dawno temu, twój ojciec, a zresztą, mniejsza z tym — babcia Miła wołała zmienić temat. — Więc co? Mogę im powiedzieć, że mi się udało?

— Już idę — z kąta namiotu, gdzie znajdowała się improwizowana łazienka, dobiegło

charakterystyczne gulgotanie.

— Oprócz zębów mógłbyś umyć choć kawałek szyi — zauważyła babcia.

— Potem się wykapię — Bolek był już przy wyjściu. Wybiegł spod płóciennego daszku i stanął oślepiiony ostrym blaskiem dnia.

— Elo, Belik! — wesoły głos przybiegł jakby wprost ze słońca. — Chodź szybko, Eli wyzdrowiała i nadrabia zaległości! Jajecznicy już prawie nie ma!

— Nieprawda.

— Poza tym... nie chciałbym być niegrzeczny, ale twój tata sekunduje dziś mojej siostrze dzielniej niż kiedykolwiek! — wykrzykiwał Pelos.

— Pokrzepiony na duchu faktem, że ktoś nareszcie zwrócił uwagę na moją skromną osobę, zjem jeszcze kawałek placka — zdecydował z zadowoleniem pan Milej. Bolek uśmiechnął się mimo woli i ruszył w stronę zastawionego stołu.

— Dzień dobry — powiedział kierując spojrzenie ku opalonej postaci w białym kostiumie. Stwierdziwszy, że Eli wygląda jeszcze bardziej czarująco niż wczoraj, stłumił westchnienie, usiadł na swoim miejscu i zainteresował się jajecznicą. Babcia Miła od razu nałożyła mu na talerzyk potężną porcję.

— Wypałeś się? — spytał niewinnym tonem ojciec.

— Uhm...

— Ale wstałeś jakiś milczący — zauważyła z kolei mama. Bolek spojrzał na nią z wyrzutem, po czym jego wzrok ponownie prześliznął się po ciemnej główce Eli. Napotkał utkwione w siebie pytające spojrzenie lekko przymrużonych oczu i szybko odwrócił głowę.

— Pewnie miał miłe sny. A teraz, wróciwszy do rzeczywistości, żałuje, że nie jest ona taka jak świat, który widział w nocy — rzekł współczująco ojciec.

— Przecież jesteśmy tutaj po to, żeby się kąpać, opalać i leniuchować — powiedziała łagodnie

pani Uranis. — Każdy może spać, ile chce i kiedy chce...

— Przypomnę ci to w swoim czasie — mruknęła Eli. — Czy naprawdę śniło ci się coś ładnego? — znowu spojrzała na bohatera minionej nocy.

— Może dualibyście mui zjeść! — wybuchnął Bolek, w ostatniej chwili zasłaniając sobie wypchane usta. Poderwał się i pobiegł w stronę plaży. Stał nad brzegiem zatoczki i pogrążył się w niewesołych rozważaniach. Przecież ten dzień powinien być zacząć się zupełnie inaczej. Już przy śniadaniu miał wypytać ojca i pana Uranisa o wszystkie nie rozwiązane zagadki wynikające z rozmowy, jaką wiedli obaj kapłani, oraz o spotkanie Cezara z piratami. Archeolog byłby już z powrotem na Klio i nie domyślałby się nawet, że w poprzednim świecie miał zamiar dopiero popłynąć, aby pogadać przez „radio ze swoim Instytutem. Żeby zasnąć akurat dzisiaj! A może by teraz przy pomocy piłeczki sprowadzić pana Uranisa od razu na wyspę?

W tym momencie od strony morza dobiegł daleki warkot silnika. Bolek uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać.

Tak, to motorówka. A któż mógłby zwykłą motorówką wybrać się na spacer po Morzu Egejskim daleko od stałego lądu?

— Automacie Jeden–Jeden — szepnął. — Czy to wraca pan Uranis?

— Niestety, nie wiem.

— A czy to przypadkiem nie ty sprawiłeś, że on wraca, bo ja sobie tego życzyłem?

— Przecież nie odebrałem żadnego polecenia.

— Ale w nocy również nie polecałem ci, żebym w tym świecie, do którego mnie przeniosłeś, znał wszystkie starożytne języki, a ja i tak rozumiałem, co mówili owi kapłani i piraci.

— Nic nie zmieniałem. Co do wydarzeń, jakie rozegrały się w czwartej części minionej nocy, to wyjaśniłem już, że widocznie znajomość mowy mieszkańców owej czasoprzestrzeni należała do programu, jaki miałem wykonać zgodnie z twoim życzeniem.

Bolek pomyślał, że jego czarna kulka mimo wszystko zachowuje się i mówi trochę inaczej niż na początku ich znajomości, jeśli słowo „znajomość” jest w tym wypadku na miejscu. Nie zdążył jednak poświęcić tej sprawie należytej uwagi, bo właśnie ujrzał wypływającą zza skalnego cypla gumową łódź z przymocowanym do niej silnikiem, a w łodzi pana Uranisa.

— Patrzcie! — wykrzyknął ojciec Bolka, który w tej chwili — stanął obok syna i położył mu rękę na ramieniu. — Patrzcie!

Andreas wraca! Rozmyślił się czy co?! A może silnik nie pracuje jak należy i nie mógł płynąć dalej?

— Tato! Tato! — zawołały dwa głosy. Jeden męski... no, prawie męski, natomiast drugi brzmiący jak dzwoneczki. Obok Bolka i jego ojca przebiegła roześmiana smągłokóra para.

— W każdym razie nic mu się nie stało — babcia Miła powiedziała to na wszelki wypadek niezwykle stanowczym głosem. Zapewne chciała zawczasu rozproszyć ewentualny niepokój pani Piny, która mogła sobie wyobrazić, że jej męża spotkało coś złego i dlatego tak wcześnie wraca. Ale o niepokojach nie mogło być mowy. Andreas Uranis z daleka śmiał się do czekającej na brzegu gromadki i machał wesoło ręką.

— Elooo! — zawołał, kiedy podpłynął już dostatecznie blisko, by mogli go usłyszeć. — Piękne są morza i lądy, niebo i porty, ale najpiękniejsza jest Klio. Nie uwierzycie, jak bardzo stęskniłem się za naszą plażą.

Silnik umilkł. Łódź zwolniła i po chwili miękko osiadła na płyciźnie. Pan Andreas wyskoczył z wody i spryskując sobie twarz mówił dalej:

— Wyprażyłem się w tym przeklętym pudle, że jeszcze trochę, a wróciłbym w charakterze mumii. I tak miałem masę szczęścia. Wyobraźcie sobie, zaledwie pół mili od wyspy spotkałem duży kuter rybacki, który miał radiostację. Wszedłem na pokład, a radio Saloniki połączyło mnie z Instytutem w Atenach. Za trzy, cztery dni będziemy mieli gości. Przyjedzie sam dyrektor,

profesor Giorgos Paraschos. Podejrzewam, że nie wyłącznie w celach naukowych. Zaciekawilo go nasze towarzystwo, gdy uslyszal o gościach z Polski. Zawsze korzysta z kazdej okazji, zeby wyrwac sie ze swojego gabinetu i pomyszkowac po swiecie. Bardzo miły czlowiek. A teraz cześć! — archeolog wspial sie na burte łodzi i wskoczył do wody. Eli i Pelos wykrzyknęli radośnie, po czym puścili sie wplaw w jego strone.

— A wy, moje panie? — zagadnal pan Milej patrzac zachęcajaco na zone. Puscil Bolka, wszedł po kolana do zatoczki i powtorzył: — A wy? Woda jak kryształ. I cieplutka.

Jak kryształ? Też mi porównanie... — skrzywil sie odruchowo Bolek wspominajac swoje przygody na planecie, z ktorej przybyła jego piłeczka.

— Wykapałabym sie — powiedziała niepewnie mama Bolka — gdybym nie była lekarzem i nie musiała swiecic przykladem. Zjadłam chyba odrobinę za duzo jajecznicy. A lekarze surowo zabraniają morskich kąpeli zaraz po obfitym jedzeniu.:

— No, to niech lekarze ida odpoczac w cieniu i czekaja, az im wyrosna zwały sadła — zawyrokowała niespodziewanie babcia Miła. Następnie szybkim ruchem zrzucila z ramion płaszcz kąpielowy i lekkim truchtem wbiegła w wodę.

— Mamo! — zawołali zgodnie Alicja i Henryk Milejowie.

— „Mamo” — przedrzeźniała babcia puszczajac sie wplaw. — Co, może powinnam od razu wsadzić nos w rondle, zebyście przypadkiem nie schudli po obiedzie? Banda żarłoków!

— Świecie, świecie! — jęknął ojciec Bolka. Następnie zaczął biec przez zatokę w strone otwartego morza, wzbijajac spod stóp chmury srebrzystych kropel. Przebiegł tak kilka metrów, po czym rzucił sie na wodę, podplynął do rozkołysanej łodzi, ktora przed chwilą opuścił archeolog, i dał nurka.

— Trudno. Ponieważ ani moje rady, ani mój przyklad nie zdały sie na nic... — stateczna lekarka nie dokończyła, chwycila za rękę panią Pinę i pociągnęła ją za sobą do wody.

Trudno — powtórzył w myśli Bolek. Zdjął spodnie, na wszelki wypadek zrobił z nich ciasne zawiniątko i ulokował nieco na uboczu, żeby przypadkiem ktoś nie nadepnął na ukryty w kieszeni wszechmocny automat, a następnie pobiegł za mamą.

Pluskali się ponad pół godziny. Była to cudowna kąpiel, podczas której Bolek niemal zapomniał o wrażeniach, jakich dostarczyła mu minioną noc. Pani Pinelopi kilkakrotnie podpływała do Eli, by obejrzyć jej głowę, która zagoiła się już na dobre. Mama Bolka stwierdziła, że czysta woda, a przede wszystkim tutejsze słońce zatłukły wszystkie groźne bakcyla, i dodała, że na Klio człowiek mógłby żyć tysiąc lat, jak w piramidach. Dopiero to rzucone mimochodem zdaniem sprawiło, że chłopca nagle przestały cieszyć słońce, woda i inne uroki wyspy. Ogarnęła go natomiast szalona niecierpliwość. Zapragnął w tej chwili, natychmiast, zacząć poważną rozmowę z ojcem i panem Uranisem, który przecież wrócił tak wcześnie, jakby wiedział, że jego wcześniejszy powrót był z góry zaplanowany.

Postanowił działać. Bez zastanowienia zamachał rozpaczliwie rękami, po czym wypuścił z płuc powietrze i poszedł pod wodę. Niemal od razu musiał się wynurzyć, ale zdążył osiągnąć swój cel. Od skalistych brzegów Klio odbił się gromkim echem rozdzierający krzyk babci Miłej: — Tonie! Ratunku!

Teraz dopiero Bolek zreflektował się i zawstydził. Co za idiotyzm! I nie tylko idiotyzm. Także świństwo, jakiego nie dopuściłby się żaden początkujący pływak, nie mówiąc już o nurku.

Na szukanie mądrzejszego wybiegu było jednak za późno... Pozostało dalej grać ponurą komedię, a zarazem jak najszybciej uspokoić babcię i rodziców.

Chłopiec przewrócił się na plecy i trzymając jedną nogę podkurczoną popłynął w stronę lądu.

Usiadł na brzegu i dopiero wtedy zawołał:

— Wszystko w porządku!

Ale nikt z obecnych nie myślał już o rozkoszach kąpeli. Wszyscy zgromadzili się wokół

niedoszonego topielca i zasypali go pytaniami.

— Nic się nie stało — powtarzał z uporem Bolek odwracając głowę. — Kurcz złapał mnie za łydkę i przestraszyłem się. Nie ma o czym mówić...

— Kurcz? — w zatroskanym spojrzeniu mamy pojawił się wyraz leciutkiego niedowierzania. W takiej ciepłej wodzie? i tak od razu przeszedł?

— No...

— Każdemu może się zdarzyć — wtrącił pan Uranis. — Co do mnie, na razie dość się już namoczyłem. Nie miałbym natomiast nic przeciwko temu, żeby coś przekąsić. Pamiętajcie, że wypłynąłem bez śniadania.

— Bolek także nie zjadł porządnego śniadania, bo mu nie pozwolono — przypomniała babcia Miła. — Pewnie dlatego o mało nie utonął. Tak to bywa, kiedy się ma nieodpowiedzialną rodzinę. Szybko do namiotu!

Nikt nie oponował. Bolek, wyszedłszy na łączkę, dalej bohatercko utykał, uważając jedynie, żeby się nie pomylić i zostawiać za sobą zawsze tę samą nogę. Pokuśtykał najpierw po spodnie, a następnie do namiotu, żeby zmienić kąpielówkę. Kiedy wrócił, wszyscy siedzieli z powrotem przy stoliku, gdzie pan Uranis odrabiał śniadaniowe zaległości.

— O, widzę, że już dobrze — ucieszyła się niewinnie Eli widząc topielca idącego w ich stronę szybkim sprężystym krokiem. Chłopiec spojrzał z mimowolną urazą na swoje nogi, po czym skrzywił się i machnął ręką:

— Eee, taki mały kurcz — bąknął. — Już zapomniałem... Przynajmniej to ostatnie słowo było szczerą prawdą.

— Kurcz to nic strasznego. Jeśli tylko nie wpadnie się w panikę — zauważył sentencjonalnie Pelos.

— Mamo, czemu powiedziałaś w wodzie, że na Klio można żyć wiecznie, jak w piramidach?

— Bolek skwapliwie zmienił temat, pragnąc czym prędzej odwrócić uwagę obecnych od ostatniego zajścia, a zarazem przejść wreszcie do istoty sprawy.

— Jak to, czemu? — zaśmiała się mama. — Spójrz, tak tu pięknie! Tak właśnie musiało być w raju. A wiadomo przecież, że w raju nigdy nikt nie chorował.

— W raju nie było kobiet — zauważył nieco od rzeczy jej mąż robiąc oko do pani Uranis, która w odpowiedzi uśmiechnęła się i pogroziła mu palcem. — A gdy tylko zabrano mężczyźnie zebro, żeby zrobić z niego kobietę, zaraz zaczęły się nieprzyjemności...

— Nie wiadomo, „jak to było z tym zebrem — wtrąciła żartobliwym tonem żona archeologa.

— Sumerowie nazywali swoją największą boginię „Panią Dającą Życie” albo „Panią zebra”. Zwróćcie tylko uwagę. Panią zebra. A więc nie tę, która ożyła dzięki otrzymanej jednej głupiej kosteczce.

Bolek o mało nie krzyknął z radości. Okazuje się, że wcale nie będzie musiał kluczyć, aby chytrymi wybiegami skierować rozmowę na interesujące go tematy. Najpierw mama wspomniała o piramidach, a teraz pani Pina sama zaczęła mówić o Sumerach.

— Ta bogini to chyba Inanna — rzekł siląc się na obojętny ton. Pan Uranis spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Ninti. Nin-ti — powtórzył. — Ale to jest rzeczywiście późniejsza Inanna. A potem nazwano ją Isztar i jej kult jako bogini-matki rozpowszechnił się w całym ówczesnym świecie. Oczywiście, różne ludy Azji i Morza Egejskiego nadawały jej różne imiona. Nie wiedziałem, że interesujesz się Sumerami. Czytałeś coś o nich?

Chłopiec odchrząknął i przytaknął ruchem głowy.

— Wiesz, historia starożytna to nasze domowe hobby — rzekł pan Milej. — Ale przyznam, że mój syn i mnie wprawia ostatnio w zdumienie. Wieczorem dopytywał się o jakiegoś króla i o bogów, nawiasem mówiąc, właśnie sumeryjskich. O ile wiem, nawet wybitni historycy nie znają

jeszcze pełnego obrazu kultury Sumerów, ba, kłóca się nawet na temat czasów, w których powstało i rozkwitło to państwo. Istnieją też różne wersje ich pochodzenia. Bo wiadomo, że w dolinie między Eufratem a Tygrysem pojawili się już jako wysoko rozwinięta społeczność. Poza tym niektórzy badacze twierdzą, że Sumerowie przybyli tam lądem, a inni, że przyплыли łodziami. W każdym razie mieli przywędrować ze wschodu, gdzie zawsze później lokalizowali swój raj. Skoro już tak wiele mówiono tutaj o raju i żebrach... — znowu mrugnął znacząco, tym razem na archeologa. Ten jednakże nie zauważył. Nadal wpatrywał się z zainteresowaniem w błyszczące oczy Bolka.

— Inanna — powiedział teraz z namysłem. — W mieście Uruk znaleziono cały zespół jej świątyń. Jedna z nich jest szczególnie okazała. Ma osiemdziesiąt metrów długości i pięćdziesiąt szerokości. Była wsparta na strzelistych kolumnach!. Posiadała dziesiątki pomieszczeń, gdzie pracowali wysocy urzędnicy i gdzie zapewne mieszkali władcy sprawujący zarazem najwyższe funkcje kapłańskie. A pamiętajcie, że Sumerowie wszystkie swoje świątynie budowali na kamiennych tarasach. Na nich wznosili wysokie stożkowate schodkowe wieże, zwane zigguratami. Byli rzeczywiście genialnymi architektami. Oczywiście masz rację, że nie wszystko jeszcze o nich wiemy — zwrócił się do swojego polskiego przyjaciela. — Sama historia Sumerów utrudnia zbadanie ich losów. Mieli wspólną kulturę, ale nie stworzyli nigdy silnego, zjednoczonego państwa. Dzielili się na kilka, kilkanaście, a może kilkadziesiąt samodzielnych miast, nierzadko toczących między sobą krwawe walki. Niektóre z sumeryjskich budowli uległy, zniszczeniu w czasie tych walk. Na ich gruzach wznoszono potem nowe, nie wspominając o budowlach późniejszych ludów mieszkających w Mezopotamii, jak Babilończycy, Asyryjczycy i licho wie, kogo tam jeszcze nie było!

— A czy Sumerowie mogli uczyć czegoś Egipcjan? — spytał Bolek.

Pan Uranis rozłożył bezradnie ręce:

— Uczyć? To znaczy, czy bezpośrednio przekazywali im jakieś wiadomości dotyczące nauki, sztuki i tak dalej? A któż to może wiedzieć? Jest zresztą rzeczą niemal pewną, że używali pisma znacznie wcześniej niż Egipcjanie, ale służyło im głównie do zapisywania danych dotyczących gospodarki, handlu, rozliczeń finansowych, czyli do celów bardzo praktycznych. Podczas gdy prawie wszystkie dokumenty znalezione w Egipcie dotyczą spraw kapłanów i bogów, którym ci kapłani służyli. Oczywiście, są wśród nich także zapisy, które świadczą o zadziwiającej wiedzy pradawnych uczonych znad Nilu. Osobiście sądzę, że przynajmniej część tej wiedzy istotnie zawdzięczali Sumerom. Ale równie dobrze mogli się posługiwać własnymi przekazami ustnymi, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy tajne, zastrzeżone dla wąskiej grupy wybranych.

— A gdyby ich kapłani, to znaczy sumeryjscy i egipscy, spotykali się na przykład na wyspach takich jak Klio i wymieniali czy uzgadniali wyniki swoich badań?

— Skąd ci to przyszło na myśl? :— spytała mama. — Co prawda, wysepka jest tak piękna, a zarazem tak ustronna, że mogło się na niej dziać wiele przedziwnych rzeczy...

— Chłopiec ma fantazję — mruknął pan Milej — okazuje się, że odziedziczył ją po mnie.

Znakomicie. No, a ten król... zaraz, jak on się nazywał?

— Ur—ni—nur—ta — Bolek przesylabizował to imię raczej z przyzwyczajenia, bo pamiętał je już doskonale. — Czy za jego panowania po tych wodach żeglowały statki i sumeryj—skie, i egipskie?

— W czasach Urninurty pływali tu Egipcjanie, Babilończycy, a przede wszystkim Kreteńczycy, ale nie Sumerowie. Najwyżej ich potomkowie. Urninurta był bowiem już szóstym władcą z dynastii Isin, której początek dał Iszbierra. A ów Iszbierra dowodził plemionami, które właśnie ostatecznie podbiły państwo Sumerów. Ostatnim prawdziwym sumeryjskim królem był Ibbisin. Jego imieniem nazywano potem ludzi szczególnie niefortunnych w swoich poczynaniach. Historycy uważają poza tym, że Sumerowie tworzyli rozwiniętą cywilizację już

trzy tysiące lat przed naszą erą. Natomiast Urninurta żył... — pan Uranis zmarszczył brwi i zastanawiał się przez chwilę. — Nie wiem — pokręcił wreszcie głową. — Nie mogę sobie przypomnieć, czy spotkałem gdzieś dokładne daty początku i końca jego panowania. Cóż, ostatecznie nie jestem specjalistą sumerologiem. Zajmuję się Grekami... Chwileczkę! Mam! — strzelił palcami. — Przypomniałem sobie. Czytałem przecież autentyczny opis procesu, który odbył się podczas panowania Urninurty. Było to w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym przed naszą erą. Chodziło o to, że trzech drabów zabiło jakiegoś urzędnika świątyni...

— Wiem — nie wytrzymał Bolek. — On się nazywał Luinanna!

Na zalanej słońcem łączce u stóp skały, z której patrzyły w dół kolorowe oczy kwiatów, zapanowała zupełna cisza. Zdawało się, że nawet morze przestało szumieć. Lecz pewnie dlatego, że tego dnia od samego rana było milczące i spokojne, jak rzadko kiedy. Zaniepokoiła się natomiast babcia Miła.

— Skąd on to wie? — utkwiała oskarżycielskie spojrzenie w ojcu młodego znawcy starożytności. — I po co on to wie? — dodała. — Nabijacie chłopcu głowę jakimiś historyjkami, a potem bardzo się dziwicie, kiedy dostaje dwóję z matematyki! Ja w jego wieku...

— Ja w jego wieku — przerwał jej cicho Henryk Milej — interesowałem się wprawdzie historią, ale o Sumerach nie miałem bladego pojęcia. Pierwszy raz słyszę, żeby wiedza mogła komuś przeszkadzać w szkole.

— Bo jesteś dziennikarzem — zreplikowała babcia. — Dziennikarze zawsze uważają, że im kto więcej wie, tym lepiej mu się wiedzie. Albo przynajmniej udają, że tak uważają. Udają, aż wreszcie zaczynają w to wierzyć — ciągnęła. — A przecież niby tak doskonale znają świat, w którym żyjemy. Im kto większy tuman, tym łatwiej mu...

— Znaleźć swoje miejsce w takim towarzystwie, które będzie w kółko gadać o pieniądzach, samochodach, własnych willach i o tym, co było w telewizji — dopowiedział gładko ojciec

Bolka. — Ale nigdy nie pozna prawdziwej wartości życia. A jego własne życie będzie puste.

— A cóż wam się stało?! — zawołała z przejęciem pani Pina. — Dlaczego nagle staliście się tacy śmiertelnie poważni? Co do mnie, jestem zachwycona Bolkiem! Chciałabym, żeby moje dzieci znały tak dobrze kulturę Morza Egejskiego. Bo przecież Sumerowie także należeli do tej kultury. Jeśli w ogóle jej nie stworzyli! Ale córka i syn archeologa, Greka z dziada pradziada...

— Grecy przybyli tutaj bardzo późno — przerwał w samą porę pan Andreas, ochłonawszy wreszcie z wrażenia, jakie wywarła na nim, ujawniona tak niespodziewanie, wiedza młodego gościa z północnego kraju. — Przyszli wtedy, gdy po Sumerach nie pozostało już śladu... to znaczy ślady zostały, ale nikt ich sobie nie kojarzył z dawno zapomnianym ludem. A my stanowiliśmy po prostu hordę dzikusów, którzy przywędrowali z głębi kontynentu i najpierw opanowali wybrzeże, a potem podbili okoliczne wyspy, łącznie z mocarstwem, jakim była Kreta. Kretę podbijaliśmy zresztą dwukrotnie. Ale robiły to różne greckie plemiona.

W tym momencie Bolek przypomniał sobie, co czarnobrody kapłan mówił o „barbarzyńcach” mających w przyszłości pokonać państwo Minosa. Okazuje się, że były to prorocze słowa. Albo brodacz wiedział więcej o burzy wzbierającej nad Kretą, niż chciał bądź mógł powiedzieć swemu egipskiemu koledze. Przez moment chłopcu zdawało się, że znowu siedzi na ciasnej skalnej półeczce, że widzi nikły blask ogniska i słyszy głosy ludzi zmarłych tysiące lat temu. Nagle ocknął się. Powiódł wzrokiem po obecnych i pochwycił utkwione w siebie spojrzenie Eli. Jak to powiedziała przed chwilą jej mama? Chciałabym, żeby moje dzieci...

Bolek przełknął ślinę. Przyszło mu do głowy, że nie zasłużył na żadne pochwały, bo tych wiadomości, które wzbudziły taki podziw rodziny Uranisów, nie zdobył sam, choćby z książek o Sumerach czy starożytnym Egipcie. Czytał je naturalnie, ale tak, jak się czyta przygodowe powieści, a nie dzieła wymagające skupienia i zasługujące na to, by poważnie podumać nad ich treścią. Gdyby nie Jeden–Jeden, nie znałby imienia Urninurty, nie mówiąc już o innych

szczegółach. Ba! Nie umiałby nawet porozumieć się z Eli po angielsku ani tym bardziej po grecku. Tymczasem wszyscy go wychwalają! A Eli i Pelos pewnie myślą, że on specjalnie tak się popisuje.

— Ja... przepraszam — bąknął spuszcżając oczy. — Ja wcale nie... to znaczy, chciałem powiedzieć, że o Sumerach wiem bardzo niewiele. Ale dzisiaj w nocy wyszedłem z namiotu...

— I miałeś spotkanie z duchami — powiedział ojciec. — O tym już wiemy. Jeden z tych duchów był w pizamie. Ten z pewnością wyróżniał się monarszym dostojemstwem. Był to jednak król upadły, właśnie jak ten nieszczęsny Ibbisin, który stracił państwo.

Bolek zagryzł wargi. Rozumiał już, że nie może opowiedzieć gromadce mieszkańców Klio o wszystkim, co usłyszał i zobaczył dzięki magicznej kulce, bo wtedy musieliby zacząć podejrzewać, że on jednak odrobinę za dobrze zna starożytną historię. Kto wie, czy w efekcie nie zmusiliby go do udziału w olimpiadzie historycznej. Albo choćby teleturnieju. A przecież nie sposób za każdym razem, gdy tylko ktoś o coś spyta, kazać się przenosić do wszystkich minionych epok i wszystkich starożytnych krain. Tak samo jak nie dałoby się teraz, nawet dysponując czarodziejskim latającym dywanem, zwiedzić całej kuli ziemskiej. Zresztą istoty z kryształowej planety w końcu kiedyś upomną się o swój automat obronny. A wtedy... strach pomyśleć, gdyby to nastąpiło, powiedzmy, podczas zwiedzania przez współczesnego Europejczyka zamieszkałych jaskiń neandertalczyków.

Ale koniecznie trzeba sprawdzić choćby parę informacji zdobytych od kapłanów i piratów, których podsłuchał. Czyli należy uciec się do podstępu. Powinien być jak najprostsz...

— Wyszedłem z namiotu — podjął przerwany wątek — i spacerowałem po plaży. Noc była bardzo piękna. Świeciło tyle gwiazd.

— Tak. Mamy urodzaj na gwiazdy — wtrącił półgłosem doktor Uranis.

— Wtedy zacząłem myśleć o przedmiotach, które znaleźliśmy pod wodą i przypomniałem

sobie, że widziałem w jakiejś książce fotografie tabliczek takich, jakie są w skrzyni. A pan powiedział przecież — spojrział na archeologa — że te tabliczki wykonali Sumerowie. No więc z kolei zacząłem myśleć o Sumerach. A potem, sam nie wiem, jak to się stało, że przypomniałem sobie także tych kilka imion ludzi i bogów — wzruszył bezradnie ramionami i zrobił niewinną minę. — Wiecie, w nocy, kiedy człowiek stoi nad morzem i zastanawia się, to różne rzeczy przychodzą mu do głowy. Po prostu musiałem kiedyś czytać o Urninurcie, o zamordowaniu Luinanny, o sumeryjskich bóstwach Enki i Anu... — Tak. Tak właśnie należy mówić, by uniknąć w przyszłości niemiłych komplikacji — pochwalił się w duchu. — Ale to wcale nie znaczy, żebym był taki mądry, jak myślicie. Przecież nie wiedziałem...

— Jeszcze jedna, nie znana mi dotąd szlachetna cecha charakteru mojego syna: skromność — przemówił pan Milej. — Tę to ma już po mnie.

— Nie wiedziałem — powtórzył chłopiec pomijając milczeniem dwuznaczną uwagę ojca i gniewne prychnięcie, jakim skwitowały ją jednocześnie babcia oraz mama — że Urninurta nie był królem sumeryjskim, lecz potomkiem tych, którzy podbili państwo Sumerów.

— Podbili państwo — wtrącił pan Uranis. — Zauważ jednak, że zaczęli czcić miejscowych bogów i przez dłuższy czas zachowali ich dawne imiona. Poza tym przejęli od pokonanych bardzo wiele zwyczajów i praw. Tak było niemal zawsze, gdy jakiś lud podbijał kraj, którego mieszkańcy stali pod względem organizacji społecznej i kultury znacznie wyżej od swoich zwycięzców. To samo zjawisko obserwowaliśmy potem u Greków, kiedy zwyciężyli Krete, następnie u Rzymian, gdy podbili Grecję, a wreszcie u Germanów, którzy obalili Imperium Rzymskie. W czasach Urninurty na pewno żyli ludzie troskliwie kultywujący tradycje Sumeru. Z pewnością rekrutowali się przede wszystkim spośród kapłanów dawnych bóstw. Więc twoje przypuszczenie, że sto lat po upadku mocarstwa sumeryjskiego kapłani z Ur spotykali się z Egipcjanami i przekazywali im swoją wiedzę, nie jest wcale tak bardzo nieprawdopodobne.

Bolek milcząco skinął głową. Kto jak kto, ale on wiedział najlepiej, że jego „przypuszczenie” było więcej niż prawdopodobne.

— No, a wracając do zabytków, które znaleźliśmy — podjął — wyobraziłem sobie właśnie, że uczeni sumeryjscy i egipscy spotkali się akurat na Klio. Że wymienili dary, a potem, z niewiadomych powodów, porzucili je. Być może, gdybyśmy dokładnie przeszukali okolice wyspy, odkrylibyśmy resztki ich statków. Ciągłe przecież nurkowie trafiają na ślady dawnych żeglarzy... — zawiesił głos.

— Możesz być pewny, że teraz nasz Instytut zorganizuje w tym rejonie poważne poszukiwania — odrzekł pan Andreas. — a gdybyśmy rzeczywiście natrafili na statki egipski i sumeryjski, to nadamy Klio imię „Bolesław”.

Pelos klasnął w dłoń.

— Wtedy on na pewno przestanie być taki skromny! — zawołał.

— Wolałbym „Milej” — powiedział z uśmiechem pan Milej. — Ostatecznie to dzięki moim książkom Bolek pomyślał o tych statkach.

— Tylko że w nauce liczą się nie książki, ale umiejętność robienia z nich użytku — pan Uranis uśmiechnął się również. — Bolek pomyślał, jak sam zauważyłeś. Otóż to...

— Kapituluję. Świecie, świecie! — westchnął, oj ciec kandydata na patrona jednej z pięknych wysepek Morza Egejskiego,

— Pomyślałem także — mówił dalej Bolek — że najpierw te naczynia i skrzynie leżały na lądzie, choćby tam pod skałą — wskazał miejsce, gdzie w nocy płonęły ogniska. — A potem znaleźli je na przykład piraci i wrzucili do wody... ze złości, że nie było w nich złota.

— Także prawdopodobne — archeolog skinął głową. — Kiedyś te wody roiły się od pirackich statków. Zaczęło się od Kreteńczyków, którzy wszystko, co tylko spotkali na morzu, uważali za swoją własność. A potem, aż do czasów rzymskich...

— O piratach i Cezarze także już pogawędziliśmy tej nocy — przerwał pan Milej. —

Mój syn chciał wiedzieć, czy Cezar grywał w kości z każdym spotkanym morskim rabusiem.

— To akurat powinien był sam sobie przypomnieć — powiedziała mama. — Starożytny

Sumer i dzieje Egiptu kryją do dziś wiele nie rozwiązanych zagadek, nawet dla uczonych. Ale o

Rzymianach naczytaliśmy się niemało. No i często rozmawiamy o nich w domu, prawda?

— Nawet próbowaliśmy studiować po łacinie pamiętniki Cezara — uzupełnił ojciec. — Co

prawda, bez większego powodzenia. Niestety, zapomniałem, co to jest accusativus cum

infinitivo, i jak niegdyś z wdziękiem recytowałem: „Gallia est omnis divisa in partes tres”...

Zresztą nie ja jeden byłem bezradny — spojrzał na żonę, która wzruszyła tylko ramionami.

— Ja po prostu jestem młoda. Za moich czasów w szkole nie uczono już łaciny...

— Ja także jestem młody. Jednak, w przeciwieństwie do niektórych tu osób, byłem żądny

wiedzy i chodziłem na godziny nadobowiązkowe. Ale potem towarzystwo, w jakie się dostałem,

zrobiło swoje. Prawdę mówiąc, od paru lat łacina jest znowu wprowadzana do niektórych

naszych szkół — pan Milej spojrzał na archeologa z nieukrywaną satysfakcją. — Sam pisałem na

ten temat kilka artykułów. Przecież cała europejska kultura wyrosła z tradycji greckiej, a stało się

to, jak sam stwierdziłeś, dzięki Rzymianom, którzy podbiwszy świat narzucili mu przejęty

uprzednio dorobek myśli i sztuki twoich praprzodków. Usunięcie łaciny z programów nauczania

było błędem, który mści się już teraz...

— No tak — przerwała zdecydowanie babcia Miła. — Tylko że w tej chwili nie piszesz

artykułu. A w takim razie nie musisz nam czytać na głos tego, czego nie napisałeś.

— Tego, czego nie... a, rozumiem — wymamrotał skarcony dziennikarz, który rzeczywiście

zapalił się przed chwilą i w ferworze mówił tonem, jakby przemawiał na zebraniu. —

Przepraszam. Łacina to mój konik. Więc, o czym to ja?

— O tym, że zapomniałeś łaciny — przypomniała bezlitośnie babcia.

— Świecie, świecie! Aha, już wiem! Mama ma rację — zwrócił się ponownie do syna. —

Historię Rzymu powinieneś znać tak, żeby wiedzieć coś niecoś o takich postaciach jak Cezar. A ów „piracki” epizod z życia przyszłego władcy, od którego imienia powstało potem słowo „cesarz”, można znaleźć w niezliczonej ilości książek. To było tak. Cezar zawsze tkwił po uszy w długach, a równocześnie nie przestawał uczestniczyć we wszystkich intrygach politycznych ówczesnego Rzymu. W pewnym momencie jego przeciwnicy wzięli górę. Musiał uciekać z Italii, zarówno przed nimi, jak i przed swoimi wierzycielami. Żeby przeczekać zły czas, popłynął na wyspę Rodos, niby to uczyć się sztuki wymowy u sławnego mistrza Molona. Jednak pech chciał, że na statek napadli właśnie piraci, o których tyle tu mówimy. Nie obłowili się zbytnio, bo Cezar był naturalnie bez grosza, ale im nie chodziło o łup, tylko o okup. Przetrzymani swego jeńca na jakiejś zacisznej wysepce przez czterdzieści dni czekając, aż towarzysze Cezara zbiorą w krajach, do których się udali, żadaną sumę. Była wcale niemała, wynosiła bowiem pięćdziesiąt talentów, a więc ładnych kilkanaście kilogramów czystego złota. Wiemy także, że Cezar zachował przez cały czas swego przymusowego pobytu u piratów olimpijski spokój, że grał z nimi w kości i że stale obiecywał wszystkim ich ukrzyżować, z czego rabusie serdecznie się śmiali, bo stanowili wówczas na morzach prawdziwą potęgę. Tymczasem Cezar, kiedy go wreszcie wykupiono, natychmiast zorganizował ekspedycję, złapał piratów jeszcze tam, gdzie ich pożegnał, i jak obiecywał, wszystkim ukrzyżował.

— No, widzisz, tato — powiedział Bolek. — A ja sobie wyobraziłem, że to wszystko mogło się dzieć na Klio. I że piraci, chcąc zatrzeć po sobie ślady, wrzucili do wody nie tylko to, co sami zostawili, lecz także dzbany i skrzynkę z sumeryjskimi tabliczkami.

— I to jest ta twoja hipoteza, o której w nocy wspominałeś? — spytał ojciec.

— To jest hipoteza — wyręczył chłopca pan Uranis. — Trudno ją będzie udowodnić, ale równie trudno obalić. Historia zna przypadki wręcz fantastyczne, a jednak prawdziwe. Tu, na

Morzu Egejskim, nie wolno z góry odrzucać żadnej hipotezy, jeśli chce się naprawdę poznać przeszłość tego obszaru. Bo kryje ona wciąż jeszcze mnóstwo zagadek. A kiedy rozwiąże się jedną, wyskakuje natychmiast kilka nowych. Właśnie dlatego archeologia jest taka pasjonująca.

— Masz ci los! — jęknęła z udanym przerażeniem pani Pina. — Teraz ten dosiadł swojego konika.

— Będę archeologiem — rzekł w tym momencie Bolek. Zdanie to zostało wypowiedziane tak stanowczo i poważnie, że nikt się nie uśmiechnął.

— Jeszcze zobaczymy... — mruknął po dobrej chwili pan Milej.

— A czemu nie? — powiedziała ciepło Pina Uranis. — Przecież widać, że ma autentyczne zainteresowania. A jeśli tak, to powinien dążyć, żeby naprawdę nim zostać. Człowiek musi wykonywać taką pracę, jaka go szczerze pasjonuje. Myślę... — spojrzała na męża i powtórzyła ciszej: — myślę, że nam wszystkim, jak tu jesteśmy, to się udało. I że głównie dlatego czujemy się szczęśliwi. Bo przecież Alicja, choć nie jest archeologiem ani dziennikarzem — przeniosła wzrok na pana Mileja — także lubi leczyć dzieci...

— Nie zamieniłabym swojego zajęcia na żadne inne — oświadczyła mama Bolka.

Powiedziała to żartobliwym tonem, który jednak nikogo nie zmylił. Pani Alicja była lekarzem z powołania.

Bolek postanowił wykorzystać zmianę tematu:

— Mamo, wtedy w wodzie mówiłaś coś o piramidach. Że można w nich żyć wiecznie?

— Już drugi raz mi to przypominasz — stwierdziła zagadnięta. — Czyżbyś miał zamiar zbudować sobie piramidę? Oczywiście, jak już będziesz wielkim faraonem, to jest, przepraszam, archeologiem...

— Mamo! — zachnął się chłopiec. Natychmiast jednak doszedł do wniosku, że nie czas na obrażanie się i słowne potyczki. — No, powiedz — zażądał. — Czy w piramidach można żyć

wiecznie?

— W charakterze mumii zapewne tak — odezwał się wesoło Pelos.

— Zawsze musisz wtrącić swoje trzy grosze! — skarciła brata Eli.

— Właśnie w tym rzecz, że ponoć nie tylko w charakterze mumii — wtrącił ojciec Bolka. —

Niedawno oboje z mamą czytaliśmy wywiad z pewnym znanym profesorem, więc i ja wiem, o co chodzi. Otóż na jakimś naukowym kongresie ten profesor wystąpił z nową hipotezą na temat piramid.

— Nie tylko piramid — sprostowała lekarka. — Tematem owego kongresu były sprawy medyczne. Uczony, o którym mówił Henryk, twierdzi, że starzenie się człowieka, a więc i śmierć, powoduje tak zwany wiatr słoneczny, czyli pewne cząsteczki promieniowania słonecznego przenikające przez atmosferę i bardzo szkodliwe dla wszystkich żywych komórek. Od tego zaczął swoje wystąpienie. Potem przeszedł do mumii. Jak wiesz, umieszczone w piramidach ciała faraonów nie ulegały rozkładowi przez tysiące lat. Dotąd uważano, że działa się tak dzięki znakomitemu opanowaniu przez Egipcjan sztuki balsamowania zwłok. Jednak ostatnie badania dowiodły, że żadne środki i sposoby, choćby najlepsze, nie zapewniłyby egipskim mumiom przetrwania w nie naruszonym stanie setek stuleci. Wtedy ów profesor doszedł do wniosku, że cała zasługa przypada piramidom. Wykonał obliczenia, pomiary i odkrył, że zbudowano je w taki sposób, aby od ich ścian odbijały się te groźne promienie. Zjawisko to miało zachodzić, zwłaszcza gdy jedna piramida stała za drugą w ściśle określonym odstępie. Ale i w każdej pojedynczej budowli, mniej więcej na dwóch trzecich jej wysokości, jest ponoć miejsce, gdzie żadne szkodliwe promieniowanie nie dociera. Tam właśnie umieszczano sarkofagi. Obok nich znajdowano jednak także puste komory, których przeznaczenie stanowiło dotąd nie rozwiązana zagadkę. A ta nowa hipoteza zakłada, że były to jak gdyby sanatoria. Ze leczono w nich chorych i że pozwalano tam mieszkać niektórym uprzywilejowanym ludziom.

Właśnie po to, by, chronieni przed skutkami tego promieniowania, mogli żyć bardzo długo. W tym wywiadzie, który czytaliśmy z twoim ojcem, znajdowały się dokładne szkice i obliczenia. Oczywiście, wszystko to dotyczyło najdawniejszych dziejów Egiptu. Z upływem wieków zapomniano o pierwotnym przeznaczeniu piramid. Widziano w nich tylko wspaniałe królewskie grobowce. A stało się tak dlatego, że w ciągu tysiącleci oś Ziemi zmieniła swoje położenie, na skutek czego wiatr słoneczny zaczął nas bombardować pod innym kątem. Wtedy piramidy przestały dawać osłonę przed jego cząstkami i straciły swą leczniczą moc. Bo przecież nie sposób było nawet marzyć o przestawieniu takich kolosów. Cała ta historia to naturalnie tylko hipoteza, ale przyznasz chyba, że ciekawa. Zwłaszcza dla archeologów. No i lekarzy. Dlatego tak sobie powiedziałam, wtedy w wodzie — zakończyła mama. — Czy teraz możesz mi zdradzić, czemu cię to poruszyło?

Bolek zastanowił się chwilę:

— Bo... bo ja także słyszałem o tej historii — wybrnął wreszcie, jak sam ocenił, nader zgrabnie. Przecież nie skłamał. Rzeczywiście słyszał o niezwykłych właściwościach piramid. Cóż stąd, że nie powiedział, kiedy i od kogo? — Poza tym — mówił dalej marszcząc czoło i brwi, jak człowiek, który dzieli się z bliźnimi swoimi najgłębiej skrywanymi myślami — nieraz już, czytając o piramidach, zadawałem sobie pytanie, czy ci faraonowie rzeczywiście budowałiby sobie za życia aż tak ogromne grobowce, gdyby miały być tylko grobowcami. Ta hipoteza jest na pewno prawdziwa.

— Uważaj, Belik — pan Uranis uniósł dłoń i uśmiechnął się. — Uważaj. Mówisz, że chcesz być badaczem, naukowcem. Więc nie wierz żadnym hipotezom, dopóki nie zostaną sprawdzone. Istnieją wiarygodne źródła, z których czerpiemy wiedzę o sumeryjskich bogach i obyczajach, o królu Urnincie i o Luinannie. Natomiast nikt nie odnalazł jeszcze dokumentu stwierdzającego, że w piramidach mieszkali zasłużeni lub wpływowi kapłani i że mogli w nich żyć tak długo, aż

im się nie sprzykrzyło.

— To prawda — powiedziała pani Pina. — Ale przed chwilą sam mówiłeś, że prawdziwy uczonec nie powinien nigdy z góry odrzucać nowych teorii. Myślę, że dotyczy to także hipotezy tego profesora. Sumerowie wznosili piramidy bodaj przed Egipcjanami. A posiadali zupełnie zdumiewającą wiedzę astronomiczną. Wiedzieli, że Ziemia wraz z innymi planetami krąży dokoła Słońca. Wasz Mikołaj Kopernik — spojrzała poważnie na Bolka — odkrył tę prawdę dopiero w początkach szesnastego wieku naszej ery. Ile to stuleci po Sumerach? A i tak prawie nikt mu nie wierzył. Ba, uczeni, którzy podchwycili jego naukę, cierpieli prześladowania. Skoro więc my wiemy, że Sumerowie wiedzieli tak dużo, to musimy z większą uwagą traktować wszystkie, nawet najbardziej fantastyczne teorie dotyczące osiągnięć ich astronomów. Na podstawie sumeryjskiego rysunku przedstawiającego nasz układ słoneczny, który ma łącznie z księżycem dwanaście planet, niektórzy poważni uczeni święcie wierzą, że w zamierzchłych czasach było ich rzeczywiście aż tyle. Mało tego. Twierdzą, że Sumerowie mieli rację uważając, iż istoty rozumne przybyły na Ziemię z owej dwunastej planety, która na skutek kosmicznej katastrofy zmieniła orbitę i teraz na tysiące lat świetlnych oddala się od Słońca.

— To już czysta utopia — zaprotestował ojciec Bolka.

— Na razie — rzekł z naciskiem Andreas Uranis. — Cóż my właściwie wiemy o historii naszego— układu planetarnego, Ziemi i początków ludzkości? Znamy pojedyncze kosteczki rozrzuconej mozaiki, ale brakuje nam ich jeszcze zbyt wiele, abyśmy mogli ułożyć z nich logiczny obraz. Zresztą, gdyby było inaczej, nie mielibyśmy nic do roboty. Siedzielibyśmy przed telewizorami i nudzilibyśmy się śmiertelnie. Bo skoro bylibyśmy tak mądrzy, to nie tylko znalibyśmy całutką historię, ale pewnie potrafilibyśmy także wyciągnąć wreszcie rozsądne wnioski z naszej własnej przeszłości i w rezultacie rozwiązalibyśmy wszystkie problemy, które dzisiaj utrudniają nam życie. A może właśnie całe szczęście, że te problemy są. Inaczej na

imieniny moglibyśmy życzyć sobie nawzajem tylko jednego. „Drogi solenizancie, obyś miał jakieś, jakiegokolwiek pragnienia, które ewentualnie chciałbyś zaspokoić”. Brrr... strach pomyśleć! — pan Uranis otrząsnął się. — Co do mnie, dziękuję wszystkim olimpijskim bogom za to, że podobna okropność nie grozi nawet twoim praprawnukom — mrugnął do Bolka nie spostrzegłszy, że chłopiec zbladł usłyszawszy słowa ukazujące „kryształową” planetę. — Czyli możesz spokojnie studiować archeologię — zakończył uczony.

— Byłoby jednak niezłe, gdyby najpierw udało mu się zdać maturę — zauważyła rzeczowo babcia Miła.

Szczęśliwie Bolek nie usłyszał ostatniego zdania. Ochłonął z wrażenia wywołanego wizją, jaką stworzył pan Uranis, który nie miał pojęcia o tym, że gdzieś wśród gwiazd podobna wizja jest już rzeczywistością, i zamyślił się. Po tym, co mama powiedziała o piratach, a pani Pina o sumeryjskiej astronomii, otrzymał odpowiedź na niemal wszystkie pytania, jakie mógł postawić mieszkańcom Klio. On wiedział, że hipoteza dotycząca „sanatoryjnych” właściwości piramid jest prawdziwa. I co z tego? Nikt mu nie uwierzy, gdyby próbował powoływać się na swoją wędrówkę przez czas, a raczej przez światy. Musiałby być naukowcem, — autorytetem w swojej dziedzinie. Zresztą, czy ta hipoteza koniecznie musi być prawdziwa? Fakt, że Sumerowie naliczyli dwanaście planet, nie oznacza przecież, że tyle ich rzeczywiście było. Mogli się mylić, jak mylili się wszyscy astronomowie przed Kopernikiem. Tak samo z tymi piramidami. Kto wie, czy czarnobrodym mędrcom nie wydawało się tylko, że odkryli sposób na przedłużanie ludzkiego życia...

Gdzieś pod piaskami pustyni, w nie odkrytych zabytkach starożytnego Egiptu być może spoczywa taki sam szkic, jaki dziś w nocy przyniósł tutaj łysy kapłan. Trzeba by go tylko odnaleźć i dać do zbadania odpowiednim specjalistom.

Tylko odnaleźć — powtórzył w myśli chłopiec. Cóż prostszego. Wystarczy powiedzieć

czarnej piłeczce, żeby go przeniosła do świata, gdzie akurat w tej chwili ktoś chowa taki szkic w skrytkę, która przetrwała do naszych czasów. No pięknie. A potem? Czy będzie musiał wyruszyć na samotną wyprawę archeologiczną do Egiptu? Bo przecież nikt nie potraktuje go poważnie, jeśli nagle oświadczy, że wie, gdzie należy kopać, aby znaleźć potwierdzenie hipotezy owego profesora, o którym mówili rodzice.

Nagle przyszło Bolkowi do głowy, że możliwości automatu Jeden–Jeden są w gruncie rzeczy o wiele mniejsze, niż mogłoby się zdawać. Właśnie dlatego że czarna piłeczka nie zmieniała żadnego świata. Ona mogła tylko przenosić swego posiadacza do innej rzeczywistości. A dawna, prawdziwa rzeczywistość pozostawała taka, jaka była. Czyli każdy wypad, jaki człowiek chciałby sobie zafundować korzystając z usług automatu, zawsze będzie jedynie czymś w rodzaju wakacyjnej wycieczki... albo ucieczki. Czarna piłka oświadczyła przecież wyraźnie, że życie na Ziemi mogą zmieniać tylko i wyłącznie sami ludzie.

— Świecie, świecie! — jęknął cicho.

— Co tam znowu? — zaniepokoił się ojciec.

— Tato, jak zmienić świat?

— Masz ci los! — zawołała babcia załamując ręce. — I to ma być beztrioski urlop?!

— Jak widzę, przeszliśmy od historii do filozofii — Pina Uranis uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. — Odpowiedzi na to pytanie szukają także historycy...

— Zamknij oczy i wyobraź sobie taki świat, w jakim chciałbyś żyć — powiedział pan Milej.

— A potem weź czarodziejską kulę i powiedz: hop!

— Tato! — krzyknął bez zastanowienia Bolek. — Skąd wiesz? Czy ty też masz taką czarną piłkę?

Przez chwilę panowało milczenie.

— Zdaje się, że zostałem mianowany czarownikiem plemienia... jak to powiedzieć?

Klionów? Klianów? W każdym razie ludu mieszkającego na Klio.

— Tato!

— Chłopiec za długo siedział na słońcu — zawyrokowała babcia. — Podobno jest tu gdzieś jakiś lekarz.

Bolek oprzytomniał. Zrozumiał, że palnął głupstwo, i postanowił natychmiast je naprawić.

— Właśnie zamknąłem oczy — rzekł siląc się na żartobliwy ton. — Teraz wyobrażam sobie świat... — mocno zacisnął powieki — ach, jaki świat! Mmmm — wydał pomruk zachwytu. —

No i co dalej?

— Dalej? — głos ojca zabrzmiał niespodziewanie poważnie. — No, cóż. Zapamiętaj obraz tego świata i otwórz oczy. A teraz zacznij myśleć, co zrobić, aby ta wizja stała się rzeczywistością. I myśl o tym przez całe życie. Dziel się swoimi myślami z innymi ludźmi. Zarażaj ich swoją wolą. Pracuj. Przynajmniej twoje własne życie zyska sens i przyniesie ci nieco satysfakcji. A przy okazji wzbogacisz życie swoich najbliższych. W ten sposób troszeczkę zmienisz i cały świat.

— Nie wiem, jak kto, ale ja mam zupełnie dosyć — oświadczyła stanowczo babcia Miła. — Nie jedzą, nie pływają, tylko siedzą i gadają.

— O, pani mówi wierszem! — ucieszył się Pelos.

— Właśnie — babcia przytaknęła energicznym ruchem głowy. — Już i mnie udziela się wasze fiksum—dyrdum! Co za towarzystwo — wyprostowała się, po czym zgrabnie wykonała kilka przysiadów. — Idę się kąpać — zakończyła.

— Ja także! — zawołała Eli, która od dłuższego czasu milczała, przysłuchując się wywodom Bolka z trochę ironicznym, a trochę zachwyconym wyrazem twarzy. — Popływamy razem, dobrze?

— Drogie dziecko — powiedziała babcia obejmując dziewczynę ramieniem — my obie

jesteśmy jedynymi normalnymi osobami przebywającymi na tej wysepce.

— Pływać, to pływać — zgodził się pan Uranis. — Kąpiel leczy ponoć także wariatów.

Ale nie doszło do kąpieli.

— Popatrzcie! — krzyknął Pelos wskazując morze. — Okręty!

Rzeczywiście. Na tle horyzontu, jak brzydkie rysy na czystym szkle, widniały ciemne, podłużne sylwetki. Niektóre płynęły stosunkowo blisko. Inne, większe, przesuwały się powolutku za nimi. Wśród nich wybijał się jeden, ogromny jak położony na boku drapacz chmur.

— Lotniskowiec — mruknął pan Uranis. W jego głosie zabrzmiała głęboka niechęć.

Archeolog odwrócił się i wszedł do namiotu. Po chwili wrócił z lornetką. Zatrzymał się na skraju plaży i przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, obserwując groźny, milczący pochód wojennej floty.

— Daj mi popatrzeć — poprosił pan Milej. Jego grecki przyjaciel bez słowa podał mu lornetkę.

— Tak, lotniskowiec. W licznej asyście. Zauważyłeś bandery?

— Uhm...

— Chodzi o Cypr?

Pan Uranis wzruszył ramionami.

— A skąd mam wiedzieć, o co tym razem chodzi. Może to tylko manewry... — słowo „tylko” zostało wymówione z gorzką ironią. — A może znowu coś się dzieje i jacyś ludzie doszli do wniosku, że trzeba postraszyć innych ludzi? Cypr — mruknął. — Wyspa Afrodyty. Myślę, że teraz wybrałaby sobie inne miejsce, gdyby chciała znowu wyłonić się z morskiej piany. Ale raczej w ogóle zrezygnowałaby z przyjscia na świat. Przynajmniej póki Bolek choć trochę tego świata nie zmieni.

— Pięknie wyglądają, kiedy tak płyną — zauważył Pelos.

— A pewnie! — westchnął jego ojciec. — Podobno wybuch bomby wodorowej jest także zjawiskiem fascynującym. Tylko ja nigdy nie nazwałbym go pięknym.

— Wiecie co — powiedziała cicho pani Pina — odechciało mi się kąpieli. Ciągłe siedzimy na plaży. Może raz poszlibyśmy na spacer w głąb wyspy?

— Żeby nie mieć przed oczami morza? — szepnęła mama Bolka.

— Idźcie, idźcie — burknęła babcia. — Ja posiedzę w obozowisku. Rzeczywiście, może trochę za ciepło na kąpiel. Jesteśmy tacy zgrzani...

Wspięli się na wzgórze, idąc cały czas wzdłuż strumyczka, a następnie, przekroczywszy łagodną grań otaczającą półkolem nadbrzeżną łączkę, zeszli w niewielką dolinę. Okrążyli kilka pagórków z piętrzącymi się na szczytach białymi kopczykami pokruszonych głazów i znowu ujrzeli morze. Klio była naprawdę małą wysepką. Tu jednak brzeg jej urywał się raptownie i spadał do wody pionową ścianą, wysoką na kilkadziesiąt metrów.

Dolinka i zbocza wzgórz były pokryte kwiatami. Ich zapach mieszał się z ledwie uchwytnym zapachem morza. Niebo miało barwę białobłękitną. Jedyne wzdłuż linii horyzontu leżały wąziutkie pasma różowych obłoków.

Spacer udał się znakomicie. Wkrótce wszyscy zapomnieli o poważnych dyskusjach, jakie zajęły im całe przedpołudnie, i o niewesołych refleksjach wywołanych widokiem groźnych okrętów. Nawet Bolek przestał wracać myślami ku minionej nocy i swojej czarnej piłeczce, za to częściej niż zwykle zerkał w stronę Eli schylającej się co chwilę, żeby z bliska obejrzeć jakiś kwiatek, i powtarzającej od czasu do czasu jeden i ten sam okrzyk: „ach, jak tu pięknie!”

Wrócili po godzinie zmęczeni, ale pogodni. A babcia Miła powitała ich gotowym obiadem.

— To by było to — rzekł nieco później ojciec Bolka odsuwając pusty talerz. — A teraz róbcie sobie, co chcecie, ale mnie dajcie święty spokój. Idę spać. Tu grasują duchy. Skąd mogę wiedzieć, czy dziś znowu nie dadzą mi się we znaki? Muszę być przygotowany na najgorsze —

lypnął na żonę. — Zbudźcie mnie, kiedy lekarze orzekną, że można już pójść popływać.

— Na mnie nie licz — odpowiedziała mama Bolka. — Ja także się zdrzemnę.

— To rozumiem — przytaknęła z zadowoleniem babcia Miła. — Tyle gadacie o starożytnych, a to przecież oni wymyślili powiedzonko: „po obiedzie spocznij chwilkę, po kolacji przejdź się milkę”.

— O ile wiem, starożytni mówili raczej o obowiązkowym tysiącu kroków po jedzeniu — wtrącił nieśmiało pan Uranis. — Niemniej przyznaję, że i to powiedzonko wydaje się całkiem niegłupie... aaa! — zasłonił sobie dłonią usta.

Bolek też poczuł, że ogarnia go senność. Swoją drogą, kto jak kto, ale on na pewno miał prawo czuć się niewyspanym.

Ostatecznie wszyscy, nawet Eli i Pelos, postanowili poleżeć trochę w cieniu. Obozowisko na polanie zaległa głucha cisza.

Bolek wyniósł swoje łóżko przed namiot, ustawił je pod okapem, po czym wyciągnął się jak długi i zamknął oczy. Niemal natychmiast usłyszał znajomy głos:

— Zgłasza się automat jeden, jeden, dwa, jeden, dwa, dwa. Czym mogę służyć?

— O nic cię nie prosiłem — odpowiedział niechętnie chłopiec. — Czego chcesz?

— Przecież to ty chciałeś zmienić świat?

— Co takiego? A, pamiętam. Ee, tak sobie tylko powiedziałem. Zresztą nie do ciebie, ale do taty.

— Odebrałem te słowa jako twoje życzenie. Słucham?

— Mam ci powiedzieć, jaki świat powinieneś stworzyć?

— Tak jest.

— No, to na początek niech nie będzie floty wojennej ani wojska, ani wojen, i niech nam nigdy nic nie zagraża.

— Tego nie potrafię. Jeśli chcesz, przeniosę cię do wariantu czasoprzestrzeni, gdzie jest tak, jak mówiłeś. Ale z twoim obecnym światem nie mogę w ten sposób postąpić. Równałoby się to ingerencji w waszą cywilizację. Tego moim konstruktorom robić nie wolno. Tym bardziej że nie zagraża wam nic z zewnątrz. To tylko wy sami...

— Nie kończ — burknął ze złością chłopiec. — Zapomniałem. Mówiliśmy już o tym.

— Tak jest.

Przez chwilę panowała cisza.

— A zatem jaki ma być ten świat? — padło znowu pytanie.

— Odkąd to odzywasz się nie proszony?

— Od momentu, gdy... — automat raptem umilkł. Zupełnie, jakby ktoś nagle wyłączył gadające radio.

Bolka to zastanowiło. Jego kulka nigdy dotąd nie zachowywała się w ten sposób. Pomyślał i powiedział, jak mu się wydawało, nader chytrze:

— A co ty byś zaproponował? Jaki... jak ty to nazywasz? Aha, „wariant załamania czasoprzestrzeni”?

— Taki, żeby wszystkie żyjące w nim istoty rozumne miały zawsze piękne pragnienia.

Wyobraź sobie podobny świat...

Chłopiec umocnił się w swoich podejrzeniach.

— Mam sobie wyobrazić? To samo radził mi mój ojciec.

— Wiem.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Słyszałem.

— Ach tak, słyszałeś. Rozumiem. Ten świat, w którym wszyscy mieliby zawsze tylko piękne pragnienia, wyglądałby dla kogoś przybyłego z zewnątrz jak zbudowany z kryształu, prawda?

— Nie wiem... —głos rozbrzmiewający wewnątrz głowy Bolka po raz pierwszy zawahał się udzielając odpowiedzi. — Być może...

— Wcale nie jesteś automatem! Okłamujesz mnie. Więc jednak znaleźliście moją... to jest waszą piłeczkę! Ona mnie uprzedzała, że to prędzej czy później nastąpi — chłopiec sam dziwił się swojemu spokojowi. — Co teraz zrobicie? Odbierzecie, mi ten automat?

— Owszem, prędzej czy później, żeby użyć twojego określenia. Czy chciałbyś, żebyśmy ci go zostawili?

— No pewnie!

— A pomyślałeś o tym, że wszystkie zmiany, jakie możesz z jego pomocą osiągnąć, zajdą tylko w świecie geometrii n -wymiarowej, kosmicznej, której nie zna jeszcze wasza nauka? Że zawsze będą jedynie teoretyczne? Bo dla ciebie samego, dla twojej świadomości, wszystko zostanie, jak było. Teraz także jesteś tutaj, a skądinąd wiesz, że u ciebie w domu, w jednym z równoległych wariantów czasoprzestrzeni, twoja babcia nadal leży chora i że...

— Wyobraź sobie, że pomyślałem — przerwał z przekąsem chłopiec. — Powtarzasz tylko to, co już dawno przyszło mi do głowy.

— No, może nie aż tak bardzo dawno — sprostował łagodnie głos.

— Jak to? A może specjalnie podrzuciliście mi tę piłeczkę, żeby ona mnie obserwowała?!

Skoro tyle o mnie wiecie.

— Nie. Była awaria. Automat znalazł się u ciebie przypadkiem. Ale potem... No cóż. Awaria została usunięta. Wtedy wykorzystaliśmy okazję. Pewnie się już domyśliłeś, że zbieramy informacje o Ziemi i jej mieszkańcach. Wobec tego zmieniliśmy program automatu jeden, jeden, dwa, jeden, dwa, dwa, dwa. Tylko troszeczkę...

— Aha. Więc on nie jest już automatem obronnym?

— Ależ jest. Pełni tylko pewne dodatkowe funkcje.

— Wiecie co — Bolek zezłościł się na dobre — zabierzcie go sobie. Ja już go nie chcę.

— Nie chcesz pozostać dłużej na wysepce? Z rodzicami i z Eli?

— Eli?! Co wy mi tu będziecie gadać o Eli! Tego tylko brakowało! Z Eli — chłopiec zawahał się. Ale urażona ambicja nie pozwoliła mu się wycofać. — Nie chcę! — zawołał. — Nie chcę i już! Rozumiecie?!

— Nie myślisz tak, jak mówisz...

— Właśnie, że myślę! Dużo wiecie o tym, co kto naprawdę myśli — zadrwił. Starał się wszelkimi siłami nie okazać po sobie, że jednak żal mu i Klio, i babci, i tych wszystkich przygód, jakie mógłby jeszcze przeżyć dzięki czarnej piłeczce.

— Zatem mamy zabrać automat?

Bolek przełknął ślinę:

— Tak.

— Dobrze. Zabierzemy go, kiedy będziemy opuszczać wasz Układ Słoneczny. Zresztą — tu głos nabrał takiego brzmienia, jakby mówiący uśmiechnął się — i tak wzięlibyśmy go ze sobą. Nie wolno nam zostawiać przedmiotów pochodzących stamtąd, skąd przybywamy.

— Zabierzcie go już! Od razu! Jasne?! — chłopiec krzyknął tak głośno, aż otworzył oczy.

Przez dłuższą chwilę patrzył nieprzytomnie na cienką tkaninę okapu, przez którą przebijała słoneczna jasność, po czym mruknął pod nosem:

— Spałem i coś mi się śniło. Wiem nawet, co — powiedział trochę głośniej, bo nagle przypomniał sobie rozmowę, którą odbył w czasie drzemki.

Raptem zerwał się i wbiegł do namiotu. Dzień był upalny, więc leżał w samych kąpielówkach.

Teraz porwał spodnie i odetchnął z ulgą namacawszy w kieszeni znajomy kulisty kształt. Tak — pokiwał głową przyznając sobie rację. To był tylko sen... Ale ten sen pozostawił po sobie dziwne uczucie. Bolek nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zapomniał o czymś bardzo ważnym, i fakt, że

nie może sobie przypomnieć, zaczynał go drażnić, a nawet budził jakiś nieokreślony lęk.

Pozostał jeszcze przez chwilę w namiocie, zerkając na wszystkie strony, jakby szukał kogoś, kto ukrył się, by spleść mu brzydkiego figła, po czym westchnął i wyszedł na zewnątrz.

Pozostali obozowicze musieli już dawno zakończyć poobiednią sjęstę, bo całe towarzystwo, oprócz babci Miłej, było w wodzie, a głowy ojca i pana Uranisa, w białych czepkach, ukazujące się daleko od brzegu, wyglądały jak ping-pongowe piłeczki. Natomiast babcia w swoim trochę staroświeckim kostiumie szła właśnie przez plażę, zamierzając dołączyć do grona pływaków.

Powoli wkroczyła do wody. Zanurzwszy się po kolana zaczęła iść wzdłuż brzegu, w stronę zamykającej zatoczkę skały. W ten sposób zboczyła z utartej marszruty wiodącej od namiotu do morza. Nagle zachwiała się i przykucnęła wydając okrzyk bólu:

— Auu! Na pomoc! A cóż to za świństwo!

Pierwszy zdążył Bolek. Stał przecież na brzegu i nie musiał płynąć jak inni. Gdy jednak rozpędzony wpadł do wody i już, już miał chwycić babcie za ramię, ta krzyknęła nagle:

— Stój! Ani kroku!

Chłopiec dosłownie zawisł w powietrzu jak rybitwa, która nie może się zdecydować, czy już spaść na upatrzoną rybę, czy jeszcze chwileczkę poczekać. Ponieważ jednak nie był rybitwą, więc nie mógł zbyt długo pozostawać w takiej pozycji. Dał jeszcze jednego susa, wyprostował się i złapawszy równowagę zawołał:

— Co się stało?!

— Mamo! Mamo! — dobiegły strwożone głosy od strony morza. Słysząc było gwałtowne chlupotanie.

— Stój tam, gdzie stoisz, i nie ruszaj się! Auu! — surową komendę babci zakończył nowy jęk.

— Dlaczego? Co się stało? — powtórzył gorączkowo Bolek. — Babciu! Złapał cię kurcz?

— Żaden kurcz! Wlazłam na jeża. Z czego się śmiejesz, potworze! Auu! Gdybym cię nie

uprzedziła, to kwiczałbyś teraz tak samo jak ja! Tu aż roi się od tego paskudztwa. Ojej!

— Wcale się nie śmieję — chłopiec z oburzeniem odrzucił oszczerstwo. — Wcale się nie śmieję. Ale muszę przecież podejść, żeby ci pomóc.

— Na razie powiedz wszystkim, żeby się nie zbliżali — odrzekła babcia wyciągając z wody nogę i oglądając ją z boleściwym wyrazem twarzy. Widok rzeczywiście nie był budujący.

Podeszwa jej stopy przypominała kaktus obdarzony przez naturę rzadko wyrastającymi, lecz za to bardzo długimi cienutkimi kolcami.

Tymczasem na miejscu katastrofy zameldowali się pozostali mieszkańcy Klio.

— Poczekajcie — przestrzegł ich Bolek, tak jak sobie życzyła babcia. — Tu są jeże. Babcia weszła na jeża.

— Masz ci los! — zawołał pan Uranis. — To moja wina! Ja przecież znam te wody, a pozwoliłem wam kąpać się bez pantofli.

— Przy plaży nie ma jeżowców — odpowiedział nieco uspokojony ojciec Bolka. — Kto mógł przewidzieć, że mama wybierze się na spacer dookoła wyspy.

— Dobrze ci żartować — ofuknęła go nieszczęsna ofiara egejskiej fauny. — Wyrodne dziecko!

— Uspokójcie się — zażądała kategorycznie pani Pina. — Stójcie nieruchomo. Mąćcie wodę. Musi się oczyścić, żebyśmy mogli zobaczyć dno. Wtedy podejdziemy do pani Milej i wyniesiemy ją na ląd, nie narażając się na to, że jeszcze ktoś nadepnie na jeżowca.

Rada była dobra. Zapanowała cisza przerywana cichym pojękiwaniem babci.

W pięć minut później na plażę wkroczył powoli i z godnością milczący orszak, którego centralna postać płynęła w powietrzu jak posąg starożytnej bogini unoszony na ramionach wiernych wyznawców. Ci, to znaczy panowie Milej i Uranis, ostrożnie skierowali się ku obozowisku, gdzie złożyli posąg, to jest babcie, na polowym łóżku. Wtedy do akcji przystąpiła

mama Bolka.

— Brzydko wygląda — powiedziała po chwili z troską. — Niektóre kolce złamały się tuż przy skórze i trzeba je będzie wyciągnąć w szpitalu.

— W szpitalu?! — krzyknęła babcia tak przeraźliwie, jakby właśnie nastąpiła na nowego jeżowca. — Za nic w świecie!

Lekarka pokręciła smutnie głową:

— Niestety. Kolce jeżowców są niesłychanie kruche. Nie ma więc mowy, żebym tutaj oczyściła stopę. A gdybyśmy coś zostawili, to mogłoby nastąpić zakażenie.

— Wolę zakażenie niż szpital — odrzekła zdecydowanie babcia.

— Świecie, świecie! — jęknął po swojemu ojciec Bolka. To rodzinne powiedzonko otworzyło jakąś klapkę w mózgu chłopca. Odwrócił się i pobiegł co sił w nogach do namiotu. Podniósł leżące przy łóżku spodnie, chwycił kulisty automat i zawołał:

— Świecie, świecie! Bądźmy tam, gdzie babcia nie weszła na jeża.

— Służę uprzejmie — padła odpowiedź.

Bolek odczekał minutę, zanim zdecydował się ponownie opuścić namiot.

Na plaży nie było nikogo. Wszyscy najspokojniej pod słońcem oddawali się kąpielom. Pośrodku szmaragdowej zatoki widniała głowa babci Miłej. Jej czepek co chwila krył się pod wodą, bo babcia pływała żabką. Właśnie zawróciła i zaczęła zbliżać się do brzegu. Zatrzymała się i obrzuciła pogardliwym spojrzeniem stojącego na brzegu chłopca.

— A ty co właściwie robisz? Czekasz, aż ten turysta z „Egidy” wybuduje na Klio basen kąpielowy?

— Świecie, świecie! — odpowiedział Bolek, po czym roześmiał się i wbiegł do wody.

TYSIĄC I PIERWSZY.

Kolację zjedli później niż zwykle. Kiedy wstali od stołu, wielkie czerwone słońce dotykało już

linii horyzontu. Jego tarcza była dziś dziwnie ciemna i groźna. Takiego zachodu słońca Bolek jeszcze nie widział. Morze znieruchomiało i przypominało ogromną wypukłą płytę polerowanej miedzi. Ciężkie powietrze przygniatało ziemię i powierzchnię wody. Ludzie oddychali z trudem. Nad piękną Klio nie było dziś najniklejszego śladu tego chłodnego, orzeźwiającego powiewu, jaki przybywał tu zawsze ze zmierzchem.

— Znosi się na burzę — powiedział pan Uranis.

— Niech będzie burza — zgodził się Pelos. — Byle w nocy. Tak, żebyśmy rano mogli znowu wypłynąć z całym sprzętem i trochę ponurkować. Jeśli nie chcesz zaglądać do groty, dopóki nie przyplynie statek Instytutu — spojrzał prosząco na ojca — to przecież możemy pomyszkować w najbliższej okolicy. Kto wie, czy nie odkryjemy jeszcze jednej, a nawet kilku podwodnych jaskiń. A może znajdziemy coś na dnie, u podnóża skały?

— Może — odrzekł lakonicznie archeolog.

Bolek odwrócił się i powolutku zaczął iść przez łączkę w stronę żlebu prowadzącego do Gniazda. Nie skręcił jednak pod górę, tylko szedł dalej, aż natrafił na płaski gład porośnięty mchem i trawą, z której wystawały pokryte kwiatami gałązki niskich krzewów. Wspiął się na niego i usiadł na krawędzi zwrócony twarzą do obozu. Wtedy spostrzegł, że nie jest sam. Przed nim, w odległości paru metrów, stała Eli. Była wciąż jeszcze w swoim białym kostiumie kąpielowym, który teraz, na tle poszarzałej perspektywy otwartego morza, sprawiał wrażenie plamy światła.

Dziewczyna przyszła widać za Bolkiem, trzymając się trochę z tyłu, a kiedy chłopiec wskoczył na swój kamienny fotel, zatrzymała się także.

— Eli! — zawołał półgłosem Bolek. — To ty?

Nie był to szczególnie błyskotliwy sposób nawiązania rozmowy. Mimo to odezwanie się nie pozostało bez odpowiedzi, tak samo oryginalnej jak pytanie.

— Tak. A co?

Zapanowała cisza. Od strony namiotów dobiegł przytłumiony głos babci Miłej. Zadźwięczał czyjś cichy śmiech.

— Nic. Tak sobie siedzę — uznał za stosowne wyjaśnić chłopiec.

Eli poruszyła się i wolniutko podeszła do kamienia, na którym „tak sobie” odpoczywał stawiany jej za wzór znawca starożytnej historii. Kamień mógł pomieścić całą drużynę harcerską, ale Bolek usłużnie przesunął się na sam jego kraniec.

— Może usiądziesz? — zaproponował nieśmiało.

Eli po krótkim namyśle odbiła się lekko od ziemi i zajęła pozycję identyczną jak Bolek, tyle że po przeciwnej stronie głazu.

— Bo wiesz... — zaczęła po chwili i umilkła.

Chłopiec czekał.

— Pelos mówił... — podjęła dziewczyna — że na pewno się obraziłeś. Przez cały dzień zachowywałeś się tak, jakbyś nas unikał. Rozmawiałeś tylko z rodzicami... i w ogóle... To ostatnie stwierdzenie stanowiło argument, którego nie sposób było pozostawić bez sprostowania.

— Co? — zawołał szczerze zdumiony Bolek. — Że ja? Ależ skąd! Co wam przyszło do głowy? Eli...

— Belik... — przerwała cicho młoda Greczynka sprawiając, że chłopiec musiał znowu powtórzyć sobie w duchu: „Belik — Eli, Belik — Eli” rozkoszując się harmonijnym współbrzmieniem tych imion. — Belik, powiedz prawdę...

— Słowo honoru!

Po dłuższej pauzie dziewczyna odezwała się ponownie:

— Bo Pelos mówił także... ale nie będziesz się gniewał?

— Nie. Co mówił Pelos?

— Że... no, że troszeczkę zadzieraszą nosa. Bo tak mądrze mówiłeś o Sumerach i piramidach... i zawsze wszystko wiedziałeś. Ale nie miej mu tego za złe... On był zły, bo ojciec stawiał nam ciebie za przykład i mówił Pelosowi, że zbija bąki, zamiast czytać dobre książki...

— Wcale nie zadzierałam nosa! — wykrzyknął Bolek, który mimo danej obietnicy poczuł się nieco dotknięty. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że na miejscu Pelosa także nie byłby specjalnie zachwycony i kto wie, czy poprzestałby jedynie na dyskretnym podzieleniu się swoimi pretensjami z własną siostrą. — Słuchaj — powiedział ciszej — widzisz, ja sam nie wiem, co się ze mną dzieje — to zdanie wypłynęło mu prosto z serca i zabrzmiało zaskakująco smutnie. — O Sumerach i Egipcjanach mówiłem, bo byłem ciekaw... no, po prostu chciałem sprawdzić, czy się nie mylę. Ale teraz siedzę tutaj i myślę, że mi będzie bardzo żal opuścić Klio i was, i... — urwał. Eli nie odezwała się ani słówkiem. Teraz z kolei ona czekała.

— Tyle tu jest pasjonujących rzeczy — w końcu Bolek zmienił temat. — Choćby właśnie ci Sumerowie i ich tajemnice. Skąd oni wiedzieli wszystko o niebie i gwiazdach? Czy ciebie to nie interesuje?

— Mnie? A... tak, oczywiście — powiedziała po chwili Eli. — Ale przecież sam mówiłeś, że chcesz zostać historykiem i archeologiem. Będziesz stale przyjeżdżał w te strony...

— Ach! Żeby można zmienić świat! — westchnął trochę od rzeczy chłopiec. — Chciałbym być już uczonym i już znaleźć to, o czym myślę...

— O czym myślisz?

Bolek myślał właśnie o czarnej piłeczce tkwiącej w kieszeni spodni i o tym, jak by to było dobrze, gdyby mogła nie tylko przenosić go do tysiąca innych światów, lecz także ten jeden, prawdziwy, uczynić pięknym i szczęśliwym. W takim świecie Eli wcale nie musiałaby go pytać, o czym myśli, bo sama mogłaby sobie odpowiedzieć.

Westchnął raz jeszcze i szepnął:

— Myślę o powrocie do szkoły i o mieście, i o tych wszystkich latach, które muszę spędzić w szkole.

— Belik — przerwała dziewczyna — tak mówisz, jakbyś już stąd odjeżdżał. A przecież przed nami jeszcze całe wakacje. Czemu jesteś taki smutny?

— Nie wiem.

— Belik...

— Strasznie mi się podoba, kiedy mnie tak nazywasz — ni stąd, ni z owad zaczął mówić bardzo szybko i głośno. — Belik — powtórzył. — Jak jakiś ptak. O, widzisz? Naprawdę — idzie burza — wskazał dłonią linię horyzontu, która nagle rozbłysła, jakby przeleciał nad nią płonący pocisk. — Ale nie słyhać grzmotów, więc może przejdzie bokiem. O czym to ja... aha, już wiem. Belik. Kiedy wrócę, poproszę wszystkich, żeby tak mnie nazywali.

— Naprawdę? — pytanie zostało wypowiedziane szczególnym tonem, który sprawił, że chłopiec nie mógł wykrztusić słowa. Wreszcie przełknął głośno ślinę i powiedział:

— Naprawdę.

Znowu zapanowało milczenie. Teraz trwało nieco dłużej. W końcu zabrzmiał lekko drżący głosik Eli:

— Myślałam, że lubisz, kiedy to właśnie ja mówię „Belik”. Ale skoro chcesz, żeby wszyscy...

— nie dokończyła. Sekundę jeszcze siedziała nieruchomo, po czym zgrabnie zsunęła się z głazu i pobiegła w stronę obozu. Jej smukła sylwetka przemknęła na tle tylnej ściany namiotu, w którym płonęła mała kempingowa lampka.

Bolek także zeskoczył z kamienia, ale pozostał na miejscu. Nad horyzontem znowu błysnęło.

Tym razem znacznie bliżej. Ciemnoróżowe światło oblało niebo, ukazując spiętrzone chmury nadciągające od morza. Ale nad Klio świeciły jeszcze gwiazdy. Może ta błyskawica sprawiła, że

Bolek przemówił:

— Świecie, świecie! — zawołał cicho. Nagłym ruchem sięgnął do kieszeni i mocno objął kosmiczną piłeczkę.

— Słuchaj, Jeden–Jeden! Zrób tak, żeby ona wróciła. No, już!

— Nie rozumiem — odrzekł łagodnie automat. — Czym mogę służyć?

— Jak to, czym? Aha, już wiem. Uważaj: świecie, świecie! przenieśmy się tam, gdzie Eli będzie znowu obok mnie.

Nic się nie stało. Bolek rozglądał się przez chwilę, mrugając oczami, ale nigdzie nie dostrzegł białego kostiumu dziewczyny.

— Automacie! — krzyknął oburzony. — Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Nie słyszałeś, co powiedziałem?

— Bardzo żałuję — spokojnie odparł znajomy głos — ale nie mogę spełnić polecenia. Nie ma ono na celu usunięcia bezpośredniego zagrożenia żywej istoty.

Gdyby chłopiec mógł choć na moment odzyskać jasność myślenia, odrzekłby zapewne, że automat zbyt jednostronnie pojmuje kwestię zagrożenia. Bo przecież żywa rozumna istota znajduje się właśnie w niebezpieczeństwie. Nie grozi jej co prawda ani zderzenie z ciężarówką, ani porażenie piorunem Zeusa, ale zagrożenie, choć zupełnie innego rodzaju, wcale nie jest mniejsze.

Bolek był jednak zbyt zaskoczony niespodziewanym buntem czarnego automatu, by zdobyć się na subtelniejsze refleksje.

— Co to ma znaczyć? — warknął. — Przecież mówiłaś... to jest mówiłaś, że zawsze przeniesiesz mnie tam, gdzie będzie tak, jak chcę!

— Niestety, do mojego programu wprowadzono pewne ograniczenia. W momencie kiedy moi konstruktorzy mnie odnaleźli i nawiązali z tobą kontakt...

— Co?!

— ...znalazłem się pod ich kontrolą — dokończyła piłeczka.

Chłopiec potrząsnął głową, jakby chciał obudzić się ze snu.

I nagle przypomniał mu się właśnie sen. To, co mu się przyśniło w czasie poobiedniej drzemki. Ta dziwna rozmowa... No tak, ale przecież potem...

— A jak babcia weszła na jeża, to mnie posłuchałeś! — krzyknął tryumfalnie. — Od razu zmieniłeś świat na taki, w którym babci nie sterczały z pięty długie kolce!

— Owszem. Wtedy jednak żywej istocie zagrażało bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Bolek wyszarpnął rękę z kieszeni i zacisnął pięści. Jakiś czas stał kipiąc gniewem, po czym nagle oklapł i posmutniał. A więc skończyła się jego przedziwna przygoda. Nie ma już do dyspozycji wszechmocnego automatu. Nigdy nie znajdzie się w żadnej krainie, którą mógłby wyczarować w swojej wyobraźni. Nie przyjdzie mu z pomocą żadna tajemnicza siła, kiedy będzie archeologiem i zacznie pracowicie rozwiązywać zagadki przeszłości. A przede wszystkim nie usłyszy dzisiaj głosu Eli... Do licha z tymi wszystkimi kosmitami! Żeby akurat teraz, w takiej chwili!

— Ale przecież, to, że awarię statku, którym tu przybyłeś, już usunięto — ożywił się — i to, że cię odnaleziono, i to, że teraz ty służysz im do zbierania informacji o Ziemi, to wszystko mi się tylko śniło!

— Śniło? Nie rozumiem.

— No, śniło, śniło! — zawołał z rozpaczą chłopiec. — Nie wiesz, co to jest sen? Ktoś sobie leży w łóżku i śpi. A wydaje mu się, że przeżywa jakieś przygody, często zupełnie nadzwyczajne, że przenosi się z kraju do kraju, że wszystko wokół niego zmienia się jak w bajkach.

— Teraz rozumiem. Na przykład ja jestem twoim snem. Prawda?

— Jakim tam snem! Świecie, świecie! Przecież teraz naprawdę jesteśmy na Klio. Przecież

babcia Miła naprawdę wyzdrowiała. A ja rzeczywiście byłem najpierw na Olimpie, a później w przeszłości, kiedy spotkali się na tej wyspie dwaj kapłani. Bo inaczej, skąd znałbym imiona tych różnych królów i bogów? Nie jesteś żadnym snem, tylko... — Bolek urwał nagle. Przyszło mu bowiem do głowy, że w tym, co powiedziała piłeczka, tkwi jednak źdźbło prawdy. A w każdym razie uderzyło go podobieństwo swojej wędrówki po światach do pięknego, kolorowego, ale w gruncie rzeczy zupełnie zwykłego snu.

Od otwartego morza doleciał przytłumiony grzmot. Zaraz potem niebo prześwieciła nowa błyskawica. Chmury podeszły bliżej. Czoło ich pochodu docierało już nad Klio. Tylko mała część nieba pozostała jeszcze czysta. Ale i tam gwiazdy lśniły inaczej niż przedtem. Pociemniały jak grudki gasnącego żaru. Duchota stała się wręcz nieznośna.

Chłopiec otarł z czoła kropelki potu i odetchnął głęboko.

— No dobrze — powiedział znacznie ciszej, tonem, w którym brzmiały rozpacz i rezygnacja.

— Niech już będzie, że twoi konstruktorzy nawiązali ze mną ten kontakt. Gdzie oni teraz są?

Mógłbym ich zawołać?

— Nie. Nie usłyszeliby cię. To znaczy, nie odebraliby twoich fal biologicznych. Ludzie nie potrafią swoich fal wzmacniać i wysyłać w taki sposób, aby były zrozumiałe dla innych.

— A ty nie masz łączności z konstruktorami?

— Łączność jest jednokierunkowa. Mogę zareagować na ich wezwanie, ale nie mogę ich sprowadzić do siebie. Zapamiętuję tylko wszystko, co dzieje się wokół mnie.

— Po co?

— Nie wiem.

Ale ja wiem — odpowiedział sobie w duchu Bolek. Automat, który przywykł uważać za swoją własność, stał się szpiegiem obcych. Zbiera informacje o Ziemi, o ludziach, o nim... Miał rację podejrzewając wtedy, kiedy to niby spał po obiedzie, że wcale nie rozmawia z automatem.

Bo gdy była mowa o tym, jak ma wyglądać najlepszy z możliwych światów, to ten głos od razu zaczął gadać o pragnieniach. A przecież na kryształowej, planecie pierwszy osobnik, z jakim się spotkał, życzył mu właśnie miłych pragnień. Mają już wszystko — pomyślał ponuro chłopiec. Mają wszystko i teraz boleją nad tym, że niczego już nie mogą chcieć. Albo od początku chcieli za mało.

Nagle Bolek wyprostował się dumnie. Jeśli ta kulka jest rzeczywiście szpiegiem, to bardzo dobrze. Bo od kiedy wylądowała na jego balkonie, miała do czynienia tylko z ludźmi, za których Ziemia nie musi się wstydzić. No, powiedzmy, ten bałwan August... ale ostatecznie durni smarkacze trafiają się chyba w całym kosmosie. Prawda, potem był jeszcze statek z turystami i te okropne baby. I Eli, która dla żartu nagadała im tyle okropności. Piłeczka na pewno to sobie zapamiętała. Aha, okręty... Ktoś mówił wtedy o wojnach, a w każdym razie o straszaniu ludzi bronią... i wszyscy zaraz zmarkotnieli.

Hmmm.

— Wiesz — powiedział chłopiec — może masz rację mówiąc, że jesteś moim snem. Bo to wszystko, co mi się przy tobie zdarzyło, byłoby doprawdy zbyt głupie, gdyby przytrafiło się komuś w rzeczywistości. Cha, cha, cha! — zaśmiał się niezbyt wesoło, ale za to bardzo głośno. — Baśnie z tysiąca i jednej nocy. A, właśnie! — wykrzyknął ucieszony, że znalazł takie trafne porównanie. — Wiesz, był kiedyś okrutny król, któremu sprowadzono piękną niewolnicę. To naturalnie bajka — zastrzegł się na wszelki wypadek — bo na Ziemi nie ma ani niewolnic, ani takich królów. Ta niewolnica była skazana na śmierć i miała umrzeć następnego dnia rano, ale przedtem ów król kazał opowiedzieć sobie jakąś interesującą historyjkę. A ona opowiadała tak ciekawie, że król, zamiast ją zabić, kazał jej przyjść znowu wieczorem i opowiadać dalej. Tak było przez tysiąc nocy, aż wreszcie król zakochał się w niej i wzięli ślub. To miała być ostatnia tysiąc pierwsza bajka i właśnie ona najbardziej się wszystkim podobała. Bo ludzie wprost nie

znoszą, gdy komuś dzieje się krzywda. A poza tym bardziej niż bajki ciekawi ich to, co dzieje się naprawdę. Na przykład lubimy opowiadać sobie nasze sny, a potem wszyscy się z nich śmieją. Mnie także śniło się tysiąc światów, no i co z tego? Nic — chłopiec wzruszył pogardliwie ramionami. — Tak czy owak zawsze jest tylko jeden świat... ten pierwszy. Albo tysiąc i pierwszy, jeśli wolisz. I ludzie świetnie o tym wiedzą. Dlatego starają się stale ten świat ulepszać, wzbogacać... i w ogóle. A że chcą bardzo wiele dobrego, więc nigdy im nie dosyć. Ja także nie mam już ochoty słuchać twoich opowieści z tysiąca i jednej nocy — stwierdził bohaterko. — Znudziło mi się. Zwłaszcza że jeden z tych światów, do których zaprowadziłeś mnie we śnie, był taki biedny, smutny. Wiesz, tam nikt już nic nie chciał. Jego mieszkańcy nie wiedzieli, po co żyją. Pragnęli tylko czegoś pragnąć. Brrr... A Ziemia? Ziemia jest taka piękna!

— Przepraszam — przerwał dyplomatyczne zachwyty Bolka obojętny głos automatu.

— Co się stało? — burknął chłopiec zły, że przeszkodzono mu w karmieniu kosmicznego szpiega informacjami o zaletach Ziemi, przeznaczonymi dla istot z gwiazd. Bo młody, dumny obywatel pierwszego świata pomyślał sobie tak: chcą lepiej poznać ludzi? No, to ja im pomogę. Naładuję ich takimi wiadomościami, że pękną z zazdrości!

Ale teraz piłeczka przestała odpowiadać. Co gorsza, przestała też słuchać.

— Ogłuchłeś? — syknął Bolek. — Pytałem, co się stało? Czemu mi przerwałeś?

Cisza.

— Jeden–Jeden, odezwij się!

Ostatnie słowa chłopca zagłuszył potężny grzmot, od którego zadrżała cała wyspa. Niebo stanęło w ogniu. Jednocześnie od morza przywiał wiatr. Uderzył od razu z dziką furją, tak że nie spodziewający się niczego Bolek został niemal wprasowany plecami w kamienną ścianę swojego niedawnego fotela. Znowu nastał moment zupełnego spokoju. Spod namiotów dobiegło nawoływanie zmieszanych głosów.

— Idę, idę! — krzyknął chłopiec rozumiejąc, że wobec ataku burzy i tak będzie musiał odłożyć na później edukację obcych kosmicznych cywilizacji. Ale właśnie teraz piłeczka odezwała się, równie łagodnie jak zwykle:

— Odebrałem wezwanie. Wkrótce będę cię musiał opuścić.

Wiatr uderzył ponownie, jeszcze silniej niż za pierwszym razem. Bolek zgiął się wpół i nisko pochylony zaczął iść w stronę obozu. Każdy przebyty metr kosztował go tyle trudu, jakby szedł pchając przed sobą zepsutą ciężarówkę. Mimo to zdołał przekrzyczeć wycie wichru: —

Wezwanie? Od nich!

Na Klio rozległ się przeraźliwy, ogłuszający syk, po którym nastąpił potworny huk. Przez chwilę stało się jasno jak w dzień. W upiornym świetle chłopiec dostrzegł z przerażeniem, że jeden z namiotów powiewa w powietrzu jak wielka flaga, trzymająca się jeszcze masztu, ale już na ostatniej nitce. Piorun trafił bardzo blisko. Może nawet w samo Gniazdo?

Ponownie zapanowały ciemności. Bolek zebrał wszystkie siły i przyśpieszył. Nie myślał już o kosmitach, snach ani bajkach z tysiąca i jednego światów. Ziemia jest piękna, to prawda. Razem z jej pogodą i jej burzami. Ale o tym człowiek przypomina sobie po burzy.

Piorun uderzył znowu, a zaraz po nim jeszcze jeden. Wyspą targnął złowrogi łomot, przechodzący w ciągły grzmot, jakby na Klio otwierał się właśnie krater wulkanu i ryczał coraz głośniej, wyrzucając w powietrze płonąca lawę. Jednocześnie uderzyła w chłopca ściana pędzonej wichrem wody. Była tak twarda, że Bolek przeraził się, czy to nie morze zalewa ich zieloną dolinkę i czy całe obozowisko nie zostało już zmiecione z powierzchni lądu. Ale nie. To tylko ulewa.

Ulewa sprawiła jednak, że chłopiec musiał zrezygnować z dalszego marszu. Po prostu nie mógł brnąć pod wiatr dmący z siłą huraganu i zarazem pod prąd rozszalałych potoków wody.

Pomyślał, że jego rodzice oraz państwo Uranisowie, walczący teraz o ocalenie namiotów i

sprzętu oraz skarbów wydobytych z zatoki, muszą jeszcze dodatkowo martwić się o niego. Upadł na kolana i próbował mimo wszystko posuwać się dalej na czworakach. Podczołgał się w ten sposób może metr, może dwa, ale więcej już nie zdołał. Przywarł płasko do ziemi i gorączkowo zaczerpnął do płuc powietrza. Zakrztusił się wodą, zakaszłał i przez chwilę myślał, że zemdleje. Ale nawaliłem — przebiegło mu przez głowę. Powinien być z nimi. Pomagać im ratować obozowisko i sprzęt. Chociaż pewnie zawczasu zabezpieczono przynajmniej łodzie i aparaty do nurkowania. Tymczasem zagadał się jak idiota z... żeby to chociaż wiedział, z kim. Bałwan! Raz jeszcze Bolek poderwał się, żeby na przekór wszystkiemu pobiec do obozu, ale w tym momencie spadł na niego ciężar, który powalił go ponownie i przygniótł do ziemi. Podjął walkę z nowym przeciwnikiem. Wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że każdy jego ruch tylko pogarsza sytuację. W ostatnim przebłysku świadomości pojął, że ten ciężar to niesiony wichrem i nasiąknięty wodą namiot, który wylądował akurat na nim. Skłębione płachty otulały go ciasno. Zaczął się dusić. Ale nawaliłem — pomyślał jeszcze z rozpaczą i stracił przytomność. Dziwna rzecz. Brnąc przez szalejącą wichurę i ścianę ulewy, wśród huku piorunów, gnany strachem o rodziców i Eli, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, że nie wrócił w porę, Bolek nawet nie pomyślał o szukaniu pomocy u czarodziejskiej piłeczki, która przecież wciąż tkwiła w jego kieszeni. I wcale nie dlatego, że owa piłeczka zamierzała go opuścić. Po prostu nie pomyślał. To wszystko. Czuł, że jest potrzebny swoim towarzyszom, a oni są potrzebni jemu. Nawet kiedy toczył swoją ostatnią walkę o zaczerpnięcie tchu, nie przyszło mu do głowy, by mógł go uratować jakiś obcy automat. Może należy to przypisać oszołomieniu, w jakie wprawiły go burza i niebezpieczeństwo. A może w tym zapomnieniu przejawiał się głębszy sens, który dałby sporo do myślenia filozofom i innym uczonym, powtarzającym w zaciszach gabinetów odwieczne pytanie: na czym właściwie polega człowieczeństwo?

Bolek siedział w otwartych na oścież drzwiach balkonu i patrzył na cichy, rozśoneczniony

krajobraz otaczający osiedle. Upał nie zelżał ani odrobinę. W ogóle od momentu, gdy w tak niezwykle sposób opuścił swój rodzinny dom, nic się nie zmieniło. Może tylko nad jeziorkami, widocznymi pod ciemnym pasmem lasu, przybyło nieco ludzi, którzy z tej odległości i z wysokości dziewiątego piętra wyglądali jak małe mróweczki.

— Co to było? — szepnął chłopiec rozglądając się półprzytomnie. — Świecie, świecie! Co to było?

Nikt nie odpowiedział.

Bolek odruchowo wciągnął do płuc powietrze. Ciągle jeszcze podświadomie czekał na nowy grzmot, nowe uderzenie pioruna, ciągle czuł, jak się dusi, powalony przez huraganowy wiatr, ulewę i omotany ciężkim, namokłym namiotem. Ale mijały sekundy i nic się nie działo.

Wszędzie panował spokój. Na ulicach i skwerach życie toczyło się powoli i leniwie, jak zwykle w gorące dni podczas wakacji. Toteż chłopiec odetchnął spokojniej. Nagle drgnął i zaczął gorączkowo szukać w kieszeniach spodni. Ale poza chusteczką do nosa, scyzorykiem, kłębkim cienkiego drutu, dwoma guziczkami i zębatym kółkiem ze złamaną ośką niewiadomego przeznaczenia, nie znalazł absolutnie nic. Z kolei zaczął rozglądać się po balkonie. Podłoga, nie licząc dwóch doniczek czekających na lepsze czasy, także świeciła pustką.

Bolek odwrócił się i wbiegł do pokoju. Na stole leżały poskładane mapy krajów, przez które mieli przejeżdżać w drodze do Grecji, ale czarnej piłeczki nie było i tutaj.

— Halo! — zawołał zduszonym głosem. — Automacie jeden, jeden, dwa, jeden, dwa, dwa!

— chyba po raz pierwszy udało mu się tak gładko wymówić pełną nazwę kosmicznego cudotwórcy. — Gdzie jesteś?

Milczenie. Gdzieś na dole dzieci z przedszkola zaczęły śpiewać piosenkę, a właściwie jej refren, bo całą resztę ciągnął jeden damski głosik brzmiący w mieszkaniu jak bzykanie kołującego komara. Ale ten głosik na pewno nie należał do przybysza z gwiazd.

Chłopiec raz jeszcze omiół smutnym spojrzeniem pokój i balkon, po czym usiadł na krześle przybierając pozycję człowieka, który stracił więcej, niż posiadał i właśnie zdał sobie z tego sprawę. W tej pozycji pozostał do momentu, gdy wiszący na ścianie stary drewniany zegar zaczął melodyjnie wydzwaniać godzinę. Najpierw cztery uderzenia, a potem innym, głębszym tonem jeszcze dwa.

Ten dźwięk podziałał na chłopca jak zimny prysznic.

— Druga! — wrzasnął zrywając się na równe nogi. — Babcia! — wołał pędząc w stronę przedpokoju. Dobiegł do otwartych drzwi... i w ostatnim ułamku sekundy zdążył jeszcze zahamować. Doprawdy niewiele brakowało, aby biedna babcia Miła została powalona i stratowana.

— Nie! — pisnęła na wszelki wypadek niedoszła ofiara, choć nic jej już nie zagrażało. Ale wypadki rozegrały się zbyt szybko, aby zdołała zareagować we właściwym momencie. — Nie! — powtórzyła nieco grubszym głosem, w którym pojawiła się nuta oburzenia.

— Babciu! — zawołał chłopiec. — Twoje lekarstwo!

No tak. Jeżeli bowiem nic się nie zmieniło, jeżeli wraz ze zniknięciem czarnej piłeczki wszystko wróciło do stanu, jaki istniał, zanim ona się pojawiła i zaczęła przerzucać państwa Milejów z jednego świata do drugiego, to babcia dalej ma grypę i powinna już pół godziny temu zażyć swoje pigułki. A on, Bolek, miał dopilnować, aby nastąpiło to we właściwym momencie, i w tym celu obudzić babcie drzemącą w swoim pokoju.

— Babciu — wykrztusił teraz przestraszony. — Ja nie zapomniałem... sam nie wiem...

— Nie wiem! — powtórzyła z ironią babcia Miła. — Gdybym chciała czekać, aż przyjdiesz mnie zbudzić, to czekałabym do sądnego dnia.

— Babciu! — zawołał z wyrzutem chłopiec. — Jak możesz?

— Mogę, bo mi wesoło — oświadczyła babcia z przekornym błyskiem w oczach. — No, nie

rób już takiej miny — uśmiechnęła się szeroko. — Po pierwsze wcale nie spałam i połknęłam to świństwo, kiedy należało. A po drugie właśnie mierzyłam temperaturę. Mam trzydzieści sześć i sześć. Koniec z tym przeklętym łóżkiem! Rozumiesz, co to znaczy? Jeszcze dzień, dwa... no, najwyżej trzy — zastanowiła się — tak, chyba trzy, bo przecież twoja mama jest lekarzem i będzie chciała nam dowieść, że się wcale nie pomyliła stwierdzając u mnie straszną grypę. Ty tego nie słyszałeś! — wtrąciła groźnym tonem. — No, więc jeszcze trzy dni i w drogę! — złagodniała znowu. — Właśnie dzwoniłam do twojego ojca, żeby przypadkiem nie odwoływał urlopu. Z dziennikarzami nigdy nic nie wiadomo. Usłyszy, że coś ciekawego dzieje się właśnie w Pernambuco albo w Koziej Wólce, i ani się obejrzy na żonę, dziecko czy starą matkę.

— Tego także nie słyszałem? — spytał ze znaczącym uśmiechem Bolek, który tak ucieszył się z nagłego wyzdrowienia babci, że zapomniał o wszystkich doznanych przed chwilą wstrząsach.

— Co... a tak, pewnie. Zresztą, jak chcesz — zdecydowała ostatecznie babcia. — Potrafi sobie chyba z tobą poradzić. Tak czy owak, dzwoniłam do niego, a on powiedział, że zaraz wróci do domu. To tyle. Teraz wracam do łóżka, żeby nie drażnić medycyny. O, już ktoś przyszedł! Rzeczywiście. Z przedpokoju dobiegł odgłos zamykanych drzwi. W następnej chwili Bolek ujrzał rozszerzone ze zdziwienia oczy mamy.

— A ty co tu robisz? — powitała przybyłą zagrypiona babcia. — Powinnaś pracować i leczyć chorych. Tu nie masz nic do roboty.

— Obawiam się, że jednak mam — odrzekła po dobrej chwili lekarka. — Bolku, czemu pozwoliłeś babci wstać? — spojrzała z wyrzutem na syna. — Jesteście niezdolni! Mamo, proszę na mnie popatrzeć — zwróciła się ku krnąbrnej pacjentce. — Oczy mamie błyszczą. Pewnie znowu podskoczyła temperatura. Przecież prosiłam...

— Gorączka? Akurat! Cha, cha, cha! — zaśmiała się babcia. — Właśnie, że nie mam

gorączki! Gardło mnie nie boli, nie chrypię i w ogóle czuję się świetnie. Telefonowałam nawet po Henryka, żeby przyszedł do domu i zabrał się do pakowania. Pojutrze jedziemy. A jeśli nawet teraz mam trochę gorączki, to tylko dlatego, że przed chwilą twój syn napadł na mnie w drzwiach, powalił na podłogę...

— Babciu!

— Co do wyjazdu, to się jeszcze okaże — przerwała zdecydowanie pani Alicja, która niezbyt wzięła sobie do serca wiadomość o okrutnym czynie syna. — Na razie stanowczo proszę, żeby mama wróciła do łóżka. Jeśli temperatura istotnie spadła, to zmienimy kurację na czas rekonwalescencji, która i tak potrwa trzy, cztery dni. Czemu mama się śmieje? — spytała stropiona, podchwyciwszy porozumiewawcze spojrzenie, jakie wymienili między sobą jej syn i babcia Miła.

— Nic, nic — powiedziała szybko babcia. — Dobrze, położę się. Zresztą i tak miałam to zrobić. — Na razie... — odwróciła się i potulnie poszła do swojego pokoju. Mama obrzuciła Bolka podejrzliwym spojrzeniem, po czym pokręciła głową i udała się w ślad za babcią.

W pięć minut później nadszedł ojciec. Od razu wbiegł do pokoju, w którym czekał Bolek, i rzuciwszy wesoło „cześć” zabrał się do rozkładania map.

— Mama także już wróciła i jest teraz u babci — poinformował chłopiec.

— To świetnie! Wiesz, mama mówiła mi już wczoraj, że babcina grypa ustępuje wcześniej, niż się spodziewała. Zobaczymy, co powie teraz. Muszę zadeszować do Uranisów i podać im nowy termin naszego przyjazdu. Jeśli podusimy trochę naszego fiacika, to spóźnimy się zaledwie o dwa... najwyżej trzy dni. Co robisz? Mapy! Zostaw! — wrzasnął nagle, bo Bolek ni stąd, ni zowąd porwał go za ręce i ciągnąc za sobą dokoła pokoju puścił się w jakiś osobliwie skoczny taniec. Pan Milej przez chwilę próbował stawiać opór, ale wkrótce ustąpił. I sam zaczął przytupywać do taktu.

— Tato, zorbę! — wpadł na pomysł chłopiec. Zanucił nieco fałszywie, ale za to z ogniem piękną grecką melodię.

Zabawa trwała chyba pięć minut. Wreszcie pan Milej, dysząc ciężko, zwałił się na tapczan i przerywanym głosem zawołał:

— Świecie, świecie!

— Tato — wykrztusił nie mniej zasapany chłopiec — ja wiem, kto to był Urninurta! A także Luinanna! Wiem, że na tej wyspie, na której będziemy biwakować, bywali Sumerowie, Egipcjanie, piraci, a także Cezar. Wiem, jak Klio wygląda i co znajdziemy pod wodą! Tam jest jaskinia!

— Zwariował — orzekł z największym przekonaniem dziennikarz. — Skąd niby miałbyś to wiedzieć?

— Z innego świata. To znaczy, chciałem powiedzieć, śniło mi się. Zobaczysz! Ten świat był inny... Bo widzisz sen snem, ale wszystko wyglądało tak jak naprawdę. No, poza drobiazgami, że babcia już wcześniej była zdrowa, że miała trochę mniej lat, że ty nigdy nie złościłeś się na mnie... — urwał po ją wszy, że wkracza na niebezpieczne tory. — Co tam jakieś głupie kosmiczne piłeczki! — zakończył rezolutnie.

Ojciec wstrzymał oddech i okrągłymi ze zdumienia oczami wpatrywał się w zaczerwienioną z emocji twarz Bolka. Stopniowo jednak nad zdumieniem zaczął brać górę lęk.

— Ty naprawdę jesteś chory! — zawołał wreszcie ze zgrozą. — Pewnie zaraziłeś się od babci. Szybko zmierz gorączkę! Sumerowie? Jaskinie? Sny? Kosmiczne piłeczki?

— Tato, daję ci najświętsze słowo honoru, że nic mi nie jest! — chłopiec wykrzyknął to z ogromną radością, ale jednocześnie takim tonem, że ojciec przestał się martwić. — Jedno jest ważne, jedziemy!

Pan Milej zmierzył badawczym spojrzeniem stojącego przed nim syna, po czym pokiwał

głową:

— W każdym razie zwariowałeś na pewno. Ładna perspektywa! Na bezludnej wyspie w towarzystwie patentowanego szaleńca. Świecie, świecie!

— Tysięczny i Pierwszy! — dorzucił Bolek. Twarz ojca zmieniła wyraz.

— Co? Jak powiedziałeś?

— Świecie, świecie... Tysięczny i Pierwszy! — powtórzył chłopiec.

Przez chwilę w pokoju panowało milczenie.

— Wiesz — rzekł wreszcie ojciec — to nawet nieźle brzmi. Kto wie, czy nie warto by na stałe wprowadzić tego małego uzupełnienia do naszego zawołania. „Świecie, świecie, Tysięczny i Pierwszy” — powtórzył z namysłem. — Tak to było, prawda?

— Tak, tato.

— Właśnie. Owszem, owszem. Podoba mi się, zwłaszcza to: pierwszy.